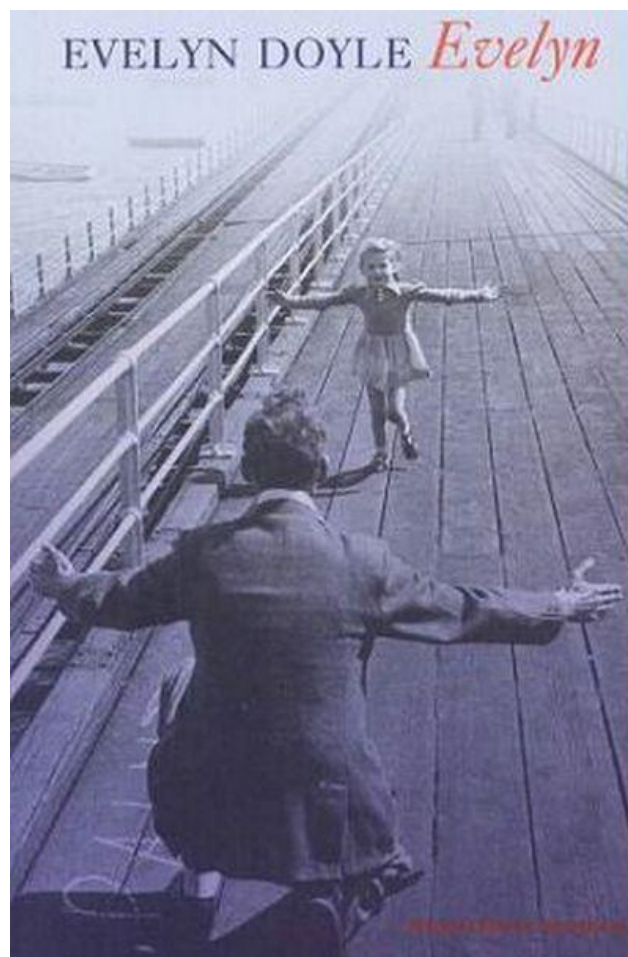




EVELYN DOYLE

EVELYN

przełożyła Ewa Penksyk-Kluczkowska



słowo/obraz terytoria

PROLOG

TLR



Na plaży. Ja, trzyletnia, kiedy nasza matka była jeszcze z nami

Od razu ją rozpoznałam, bo jakżeby inaczej? W końcu to moja matka.

Był rok 1967. Przyjechałam z Manchesteru, żeby się z nią spotkać. Po raz pierwszy od trzynastu lat. Podróż dłużyła się w nieskończoność, a kiedy pociąg zbliżał się do Glasgow, zaczęły zawodzić mnie nerwy. Kotłowały się we mnie strach, radość i paniczny lęk. Za towarzyszy podróży w przedziale drugiej klasy miałam trzech anglikańskich duchownych. Staralam się nie płakać i modliłam się, żeby nie zauważyli mojego zdenerwowania. Niepotrzebnie się przejmowałam: kiedy rzeczywiście zaczęłam płakać, nie zwrócili na to uwagi.

Pociąg zwolnił, a ja przez chwilę zastanawiałam się, czy nie uciec. Powoli zebrałam swoje rzeczy i zaczęłam, aż wysiądą duchowni. Chciałam wziąć się w garść. W głowie dudniły mi pytania. Co mam jej powiedzieć? Czy naprawdę jej wybaczyłam? Czy przyjmę jej wyjaśnienia? Czy ona w ogóle jakies mi poda? Miałam osiem lat, kiedy matka odwiedziła mnie w szkole industrialnej, i wtedy widziałam ją po raz ostatni.

Wysiadłam na długi, brudny peron, oszołomiona rzeszą ludzi i hałasem. Nie ruszając się z miejsca, przeszukiwałam tłum, póki jej nie dostrzegłam. Niewysoka, nieco tęga kobieta w średnim wieku. Od razu wiedziałam, że to ona. Kiedy mnie zobaczyła, nieśmiało pomachała mi ręką. Zrobiłam to samo i ruszyłam w jej stronę. Objęłyśmy się mocno i trwałyśmy tak przez długą chwilę, póki się nie odsunęłam.

- Cześć, co u ciebie?

Tylko tyle zdołałam wymyślić. Odpowiedziała mi, że ma się świetnie i że czuje się taka szczęśliwa, że znowu się widzimy i że teraz już wszystko będzie dobrze.

- Musimy sobie opowiedzieć wszystkie plotki - dorzuciła.

Plotki? Zabrzmiało to tak, jakby sądziła, że spotyka się ze szkolną koleżanką. O jakich plotkach myślała? Czy chciała porozmawiać o ostatniej modzie albo muzyce pop, a może o kwestii dobierania koloru szminki i lakieru do paznokci?

- Palisz? - zapytała.

Skinęłam głową. Nie tak wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Przywołała taksówkę. Uprzejmy kierowca odstawił moją torbę na ziemię i pomógł matce wsiąść do samochodu.

- Dokąd, paniusiu?

Próbowałam się nie roześmiać, bo też on nie powiedział „paniusiu” dla śmiechu. To Glasgow, przypomniałam sobie. Matka podała adres, po czym wypełniłyśmy kabinę taksówki dymem papierosów i ucięłyśmy sobie małą pogawędkę w czasie dwudziestominutowej podróży. Taksówka zatrzymała się przy furtce do ogródka bliźniaka komunalnego w stylu lat pięćdziesiątych. Zauważyłam, że ogród jest trochę nieporządkny, a firanki w oknach nie tak białe i świeże jak u sąsiadów. Zaprowadziła mnie do niebieskich drzwi frontowych, ale spostrzegłam, że zawahała się, zanim włożyła klucz do mosiężnego zamka. Nad jej górną wargą pojawiły się chyba krople potu.

- O co chodzi? - zapytałam.

Wyglądała, jakby już chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Odechnęła głęboko i otworzyła drzwi.

- Mamusia!

Śliczne, niebieskookie dziecko, pięcio-, może sześćoletnie, podbiegło do mojej matki, która wzięła je na ręce i pocałowała w czoło.

- Kto to jest, mamusiu?

Dziecko spojrzało na mnie ponad ramieniem mojej matki, wytrzeszczając wielkie oczy. Przypominało mi kogoś, ale nie mogłam wymyślić, kogo. Matka postawiła je na podłodze, a mnie poklepała.

- Gdzie reszta? - zapytała. - Wszyscy są w domu?

Podążyłam za nią do salonu. W zabałaganionym pomieszczeniu siedziała jeszcze trójka dzieci - ciemnowłosy chłopiec, mniej więcej trzynastoletni, właściwie identyczny z jednym z moich braci, nieco pulchna, ale śliczna dziewczynka dwunastoletnia, i drugi chłopiec, który wyglądał na dziesięć, może jedenaście lat. Wszyscy odwrócili się, żeby na mnie popatrzeć. Te dzieci wyglądały tak znajomo; miałam silne wrażenie, że nie są mi obce. Starszy chłopiec skierował na mnie wzrok pełen czegoś, co - jak przypuszczam - musiało być nienawiścią.

Uśmiechnęłam się do nich. Natychmiast je polubiłam i chciałam, żeby one polubiły mnie. Nikt mi nie mówił, że moja matka ma inną rodzinę, ale teraz już wiedziałam. Te dzieci to moi przyrodni bracia i siostry - od razu się ucieszyłam, że odnalazłam matkę.

Przedstawiła je kolejno po imieniu. - A to jest moje maleństwo, Angela - zakończyła.

Połaskotała małą po policzku, a dziewczynka zapiszczała z uciechy. Czekałam, aż matka przedstawi mnie reszcie (czy byli tak przejęci jak ja?), kiedy, z kuchni chyba, wyłonił się i podał mi rękę mężczyzna, którego rozpoznałam.

- Witaj, Gerry - powiedziałam, odwzajemniając uścisk.

Gerry był kuzynem mojego ojca w pierwszej linii. To z nim moja matka wyjechała wieki temu.

Spojrzał niespokojnie na moją matkę. Mięśnie jej twarzy pracowały intensywnie, a usta zamieniły się w wąską, zaciętą linię. Niemal niedostrzeżalnie pokręciła głową w odpowiedzi.

- Może napijemy się herbatki? - zapytała mnie.

Zapytała jeszcze, czy słodzę, i poprosiła Gerry'ego, żeby wszystko przygotował. Kiedy skierował się już do kuchni, jej następne słowa zatrzymały go w pół kroku.

- Dzieci - powiedziała matka - to jest Evelyn. Zajmowałam się nią, gdy była mała, a jej mamusia leżała w szpitalu.

Gerry odwrócił się i wbił w nią wzrok. Gniew wykrzywił jego łagodne rysy. Szybko wszedł do kuchni i zatrzasnął za sobą drzwi.

Trójka młodszych dzieci uśmiechnęła się i powiedziała „cześć”, ale starszy chłopiec spojrzał na matkę dziwnie, a potem wyszedł z pokoju.

Matka z kolei skierowała wzrok na mnie. Byłam jej pierwotnym dzieckiem i oto po raz drugi mnie porzuciła.

Później, kiedy zostałyśmy same, matka podała mi swoją wersję historii małżeństwa z moim ojcem. Jej opowieść różniła się od moich wspomnień tych dni, które wcale nie były takie odległe w czasie. Czy jej wytłumaczenie mogło usprawiedliwiać fakt, że nas porzuciła? Zdecydowałam, że muszę się dowiedzieć. Przez lata próbowałam rozmawiać o tym z ojcem, ale on nie chciał wspominać tamtego smutnego okresu, uwielbiał za to rozprawić o szczęśliwym dzieciństwie, spędzonym z przyjaciółmi.

Poszukiwania prawdy zaprowadziły mnie z powrotem do Fatima Mansions, gdzie raz jeszcze jadłam przy stole pani Sullivan, i nie byłam w stanie sobie wyobrazić, jak mogło mi kiedyś smakować serce wołu i specjały z rzepy. Jadłam bez narzekania, coś mi bowiem mówiło, że ona wciąż ma stary pantofel w kieszeni fartucha.

Pan Beattie był już na emeryturze, mieszkał w Sandy Cove nad Zatoką Dublińską i ucieszył się jak dziecko, że jest częścią naszej historii.

Mój ojciec już nie żyje, ale to jest jego opowieść, jego i moja; ale przede wszystkim to historia o odwadze i miłości, jedynej w swoim rodzaju, możliwej tylko między Ojcem a Córką.

ROZDZIAŁ 1

TLR



Jedynе zdjęcie nas wszystkich z matką, zrobione na krótko przed jej odejściem

Rok 1953 od początku był dokładnie taki, jaki miał zostać już do końca. Tatuś leżał w szpitalu. Nie wiedzieliśmy jeszcze, co mu dolega. Baliśmy się, że umrze, i wieczorem odmawialiśmy za niego specjalne modlitwy. Pewnego dnia w drodze do szkoły zaszłam do kaplicy. Nie miałam pensa, żeby kupić świeczkę za tatusia, ale powiedziałam Bogu, że kiedy będę bogata, oddam mu tego pensa, i zapaliłam największą, jaką zdołałam znaleźć. Nie ociagałam się. Mógł ktoś przyjść, zauważyć wielką świeczkę i domyślić się, że to moja. Podeszłam na paluszkach do drzwi i wymknęłam się, szczęśliwa, że tatusiowi wkrótce się polepszy.

Pobiegłam co sił przez Basin Street i szybko dotarłam do żelaznego mostu nad kanałem. Stopnie były bardzo śliskie, ale nie zwolniłam. Przechodziłam przez ten most codziennie od paru lat. Nasz dom, Fatima Mansions, stał po drugiej stronie kanału. Zbudowano go z funduszy rządowych na początku lat pięćdziesiątych, kiedy próbowano umieścić w domach wszystkich ludzi z dublińskich slumsów. Fatima Mansions składała się z kilkunastu szarych, betonowych, trzypiętrowych bloków, z betonowymi galeriami, biegnącymi wzdłuż każdego piętra. Bloki oznaczono literami od A do K; nasze mieszkanie było na pierwszym piętrze bloku J.

Kilku chłopców z naszego bloku łowiło ryby w kanale, a ja zatrzymałam się, żeby popatrzeć. Nagle podniósł się krzyk:

- Jezu, patrzcie no!

To Mickey Sullivan. Pokazywał palcem na kanał. Wszyscy spojrzeli w tym kierunku, a chłopcy tam pobiegli. W naszą stronę płynęła na boku wielka, zdechła świnia, z napuchniętym, różowym cielskiem i sterczącymi, krótkimi, grubymi nóżkami. Widziałam jedno, szeroko otwarte, niebieskie oko. Patrzyło prosto na mnie, kiedy świnia przepływała pod żelaznym mostem. Przeżegnałam się i co sił w nogach popędziłam przez most z powrotem do kaplicy. Wbiegłam do środka i zdmuchnęłam świeczkę. Kłęcząca obok starsza pani spojrzała na mnie gniewnie i pogroziła mi pięścią.

- Ty mała łobuziaro! Niech Bóg ci wybaczy!

Miałam nadzieję, że tak właśnie będzie. Wypowiadałam się z tego przed swoją Pierwszą Komunią Świętą i nigdy już nie widziałam martwych ciał.

Tatuś był w szpitalu bardzo długo. Dowiedzieliśmy się, że zatrzał się łożem, pochodzącym z obrazów, przy których pracował. Myślałam, że Bóg nie wysłuchał naszych modlitw. Odkąd tatuś znalazł się w szpitalu, mama często wychodziła. Pani Sullivan, która mieszkała drzwi obok, mówiła, że mama powinna się za siebie wstydić, że zostawia dzieci na łaskę losu.

- Powinna się troszczyć o dzieci - powiedziała do pani Moore.

Obie kobiety wychylały się przez balkon, obserwując swój przychówek, bawiący się na ulicy na dole.

-Ach, pani Sullivan, i w ogóle nie wiadomo, gdzie ona chodzi, przysięgam na Boga.

Pani Moore się przeżegnała, potem z kieszeni brudnego fartucha wyciągnęła paczkę papierosów Sweet Afton i poczęstowała panią Sullivan. Przez chwilę w milczeniu paliły z zadowoleniem.

- A biedny Dessie leży plackiem w szpitalu - ciągnęła pani Sullivan. - Mówią, że się zatrzał ołowiem. - Na wzmiankę o szpitalu przeżegnały się obie.

- Tak czy owak, ja tam nie lubię plotkować. A teraz lepiej zajmę się kolacją dla Joego.

Pani Sullivan utraciła żar z papierosa i włożyła niedopałek do kieszeni fartucha. Miała trzynaścioro dzieci. Wszystkie dzieciaki z naszego bloku czuły respekt przed nią i przed starym pantoflem, który nosiła w kieszeni. Chociaż była potężną kobietą, z wielkimi węzłami żyłaków na nogach, bez problemu przytrzymała nas, kiedy próbowaliśmy jej uciec. Ale pani Sullivan była też pierwszą osobą, do której się szło w razie kłopotów. Jej córka Angela była moją najlepszą przyjaciółką i czasami zakradałam się z nią na herbatę. Mieszkanie pani Sullivan było ciepłe i czyste i zawsze rozchodziły się z niego przyjemne zapachy gotowanego jedzenia. Gdyby pani Sullivan kiedykolwiek zadała sobie trud przeprowadzenia rachunków, zdałaby sobie sprawę, że żywi przynajmniej cztery dodatkowe gęby.

Zobaczyła, że siedzę u szczytu schodów. Nie obchodziło jej, że słyszałam, co mówiła o mojej mamie; i tak często powtarzała jej to prosto w oczy. Mama płakała, kiedy pani Sullivan jej wygarniała. Mówiła, że pani Sullivan nie wie, jak to z nią jest.

- No i dobrze - mawiała pani Sullivan - mój Joe pracuje, ale tylko w fabryce herbatników. Nie zarabia tyle, co twój Dessie, a też jest dobrym rzemieślnikiem. Więc pomyśl o tym!

Po wyjściu pani Sullivan mama nazywała ją „cholerną, wścibską suką” i szła wyładować się na którymś z chłopców. Mnie nic nie robiła; ja powiedziałabym tacie, a wtedy byłaby straszna wojna.

W mieszkaniu robiło się coraz ciemniej. Nie było sześciopensówki na licznik, ale miałam nadzieję, że mama wkrótce wróci. Piecyk gazowy działał, więc zagotowałam wodę. Wrócili moi bracia. W sumie urodziło się nas sześcioro, a ja przyszłam na świat pierwsza i byłam jedyną dziewczynką. Miałam siedem lat, a tuż za mną był Noel, sześciolatek. Maurice i John mieli pięć i cztery, a maluchy, Kevin i Dermot, liczyli sobie trzy latka i roczek.

Tego dnia chłopcy nie poszli do szkoły. Była kolej Maurice'a na dogładanie maluchów, więc woził je dookoła w wielkim, starym wózku. Maurice powiedział mi, że ukradł trochę herbatników ze sklepu po drugiej stronie Fatima Mansions i że go nie złapali. Był z siebie dumny, że potrafił nakarmić maluchy.

- Pomodlę się za ciebie, jak już odmówię Zdrowaś Mario za tatusia.

Gorącą wodą z czarnego czajnika zalałam liście herbaty w słoikach po dzemie, ale napój wyglądał nietęgo i żadne z nas nie chciało go pić. W końcu wróciła mama. Oczy miała czerwone, jakby płakała. Chyba znowu była zła i nie polepszyło się jej, kiedy powiedziałam, że nie ma pieniędzy

na licznik. Kazała mi iść do sąsiadów, do pani Sullivan, i poprosić, żeby pożyczeli szylinga. Nienawidziłam prosić o pieniądze, ale w końcu poszłam, bo nie chciałam, żeby mnie posłała do lombardu.

Pani Sullivan nie miała pieniędzy na zbyciu, ale powiedziała, że zostało jej trochę żeberek i kapusty i że niedługo je nam przyniesie. Zdecydowałam się pójść na zaplecze sklepu pana Hennesseya, żeby zobaczyć, czy nie ma jakichś pustych skrzynek po herbacie albo po rodzynekach. Pan Gleason z bloku K płacił za każdą trzy pensy, jeśli były w dobrym stanie, chociaż nie mieliśmy pojęcia, co z nimi robi. Kiedy byłam już prawie przy sklepie, dogonili mnie Noel i Maurice.

- Lepiej wracaj - rzucili. - Mama jest naprawdę wściekła!

Powiedziałam im, żeby poszli ze mną zobaczyć, czy nie

dostaniemy jakichś skrzynek. Zapytałam o to pana Hennesseya, kiedy wyszedł ze śmieciami. Lubiłam go. Zawsze się do nas uśmiechał i czasami, gdy mama w piątek regulowała u niego rachunek, dawał nam toffi Cleaves. Teraz popatrzył na nas i podrapał się po policzku. Zawsze drapał się po policzku, kiedy myślał. Zmrużył oczy, zupełnie jak w chwilach, w których się uśmiechał.

- Cóż, wiecie, że jest środa i że herbata i rodzynek zazwyczaj kończą mi się dopiero w piątek.

Wszyscy patrzyliśmy na niego bez słowa. Wyglądał, jakby się głęboko zastanawiał. W końcu powiedział, żebyśmy zaczekali chwilę i wszedł do sklepu. Nie mogliśmy zajrzeć na zaplecze, ale słyszeliśmy, jak pan Hennes-

sey uderza w jakieś rzeczy, mruczy i modli się. Nie mieliśmy pojęcia, dlaczego się modli.

W końcu wyszedł, ciągnąc za sobą trzy skrzynki po rodzynekach i jedną po herbacie. To był prawdziwy skarb! Na dnie i w bocznych szczelinach zawsze było mnóstwo rodzynek i mama mogłaby zrobić pudding. Zapytałam pana Hennesseya, czy ma papierową torbę, a on cmoknął i westchnął głęboko, ale wiedziałam, że nie jest na mnie zły. Wręczył mi wielką, brązową torbę papierową z trzema toffi w środku.

- Och, dziękuję, panie Hennessey.

Dałam po jednym Noelowi i Maurice'owi, a ostatni włożyłam sobie do ust, ale musiałam wypluć go w garść, żeby raz jeszcze podziękować panu Hennesseyowi.

- A teraz wynocha mi z oczu - polecił.

Uśmiechnął się pod nosem i zniknął na zapleczu. Drzwi

zatrzasnęły się z hukiem i usłyszeliśmy, jak pan Hennessey odmawia następne modlitwy.

Każdy z nas wziął po jednej skrzynce po rodzynekach i zaczął wydłubować z niej bakalie i wkładać je do torby, którą dał nam pan Hennessey. Maurice był za mały, żeby sięgnąć do dna skrzynki, więc odwrócił ją na bok i wlaź do środka. Przestrzegłam go, żeby ich nie zjadał. Chcieliśmy, żeby mama była z nas zadowolona, więc musieliśmy znaleźć jak najwięcej rodzynek.

Ciągnęliśmy skrzynie ulicami aż do bloku K. Moi bracia zaczekali u dołu schodów, a ja weszłam na górę, zobaczyć, czy pan Gleason jest w domu. Skrzynki kupowali też inni ludzie, ale do pana Gleasona było najbliżej. Po drodze odmówiłam Zdrowaś Mario, bo bałam się go śmiertelnie. O takich ludziach jak pan Gleason tatuś mówił „brudny, stary mruk”. Twarz miał ciemnosiną, z bliznami i śladami po ospie, a nos jak zwiędły ziemniak. Jego brudny płaszcz cuchnął straszliwie i nie podobało mi się, że zawsze próbował zaciągnąć mnie do mieszkania. Mieściło się ono na najwyższym piętrze. Kiedy dotarłam do jego drzwi, ledwie dyszałam.

- Wejdź do środka z tego zimna, dziewczynko - powiedział.

Uśmiechnął się, pokazując, że zamiast zębów ma ledwie jeden czy dwa brązowe pieńki. Smród, który wydobył się z mieszkania, niemal przyprawił mnie o torsje. Był gorszy niż smród fretki, którą tatuś złapał w węglu, gorszy nawet niż fetor, który latem czasami wydostaje się z kanałów. Nie chciałam wchodzić. Powiedziałam mu, że moi bracia czekają na dole i że spieszę się na herbatę. Nie dodałam, że jeśli nie kupi skrzynek, nie będzie dzisiaj wieczorem żadnej herbaty.

Kaszał bardzo długo. Jego twarz jeszcze bardziej posiniała, a gdzieś z piersi dobiegły straszliwe rżenia. Stałam tak daleko, jak się dało, żeby bardziej się odsunąć, musiałabym już wspiąć się na balustradę balkonu. Pan Gleason wypluł wielki kłęb zielonej flegmy, która niemal wylądowała mi na bucie. Znowu zebrało mi się na wymioty, ale przypomniałam sobie, po co tu jestem.

- Mam trzy skrzynki po rodzynekach i jedną po herbacie, panie Gleason. Moi bracia pilnują ich na dole. Są bardzo dobre, słowo honoru!

Zaczekałam, aż przestanie kaszleć. Staralam się nie patrzeć i wiedziałam, że zachowałam się nieuprzejmie, gdybym wsadziła palce w uszy, więc zaśpiewałam sobie w myślach piosenkę, żeby zagłuszyć dźwięki. Ale i tak wciąż słyszałam kaszel pana Gleasona.

- Dobra - powiedział. - Przynieście je na górę, to zobaczę.

W jego głosie słyhać było piski i świsty. Wychyliłam się przez balkon i krzyknęłam na dół do braci, żeby przynieśli skrzynki na górę.

- Myślisz, że jesteśmy jakieś, kurde, osły czy co? - odkrzyknął Noel.

Usłyszałam, jak ciągną skrzynki po betonowych schodach, i popędziłam na dół. Gdyby się zniszczyły, dostalibyśmy za nie mniej. W końcu ustawiliśmy je pod ścianą balkonową, żeby pan Gleason mógł je sprawdzić. Kiedy je oglądał, nie wydaliśmy żadnego głosu.

- Dam wam po dwa pensiki za każdą - zaproponował. - Nie są takie najlepsze.

Liczyłam, że dostaniemy po trzy pensy i powiedziałam mu to.

- Pan Devlin w gospodarstwie da mi trzy pensy - stwierdziłam. - To całkiem nowe skrzynki. Pan Hennessey właśnie je opróżnił. Są warte trzy pensy.

Prawie krzyczałam. Robiło się już ciemno i nie zdążylibyśmy do pana Devlina. Gospodarstwo było kawał drogi stąd, po drugiej stronie dzielnicy. Pan Gleason zakaszał i znowu splunął. Chciałam uciec. Poleciałam Noelowi i Maurice'owi, żeby wzięli skrzynki.

- No dobra, ty mały bachorze - powiedział pan Gleason - niech będą trzy pensy.

Wszedł do mieszkania i wrócił z szylingiem. Ścisnęłam ten skarb mocno w dłoni i wszyscy troje zeszliśmy po schodach na ulicę.

Kiedy zmierzaliśmy w stronę swojego bloku, powiedziałam chłopcom, że następnego dnia pójdziemy do taty do szpitala. Wiedzieliśmy, że szpital jest na Cork Street, ponieważ przechodziliśmy obok niego w drodze na darmowe obiady do Vincent de Paul. Nie lubiłam ich obiadów. Gotowali ziemniaki w mundurkach i podawali je z czarnym puddingiem i kapustą. Czasami mama miała kilka pensów, więc w drodze do domu chodziliśmy do ciastkarni i kupowaliśmy chleb wiedeński i ciastko z kremem, ale odkąd tatuś był w szpitalu, mama już nas tam nie zabierała.

Postanowiłam powiedzieć mamie, że mamy tylko sześciopensówkę, a za resztę kupimy coś dla tatusia. - Kupimy tacie jajko wielkanocne - powiedziałam chłopcom - na jutrzejsze odwiedziny.

Ufałam braciom, że nie wygadają się o szylingu. Zatrzymaliśmy się u pana Hennesseya, żeby rozmiąć pieniądze. Poprosiłam jego starą o kwaśnej minie, żeby mi dała jedną sześciopensówkę i dwie trzypensówki. Zaczęła gderać i pan Hennessey posłał jej surowe spojrzenie. Była w złym

humorze, ale w końcu rozmięła tego szylinga. Włożyłam po trzy- pensówce do każdej skarpetki i miałam nadzieję, że mama ich nie znajdzie.

Następnego dnia czekałam, aż mama wyjdzie. Nie spieszyła się, ale wiedziałam, że już niedługo to zrobi.

- Uważaj na maluchy i sprawdź, czy pani Sullivan może dać wam jakiś obiad. Niedługo wrócę.

I wyszła. Tym razem nie zrobiło mi się smutno, tak jak zwykle, kiedy wychodziła. Tego dnia wybieraliśmy się zobaczyć tatę. Włożyłam trójkę najmłodszych do „powozu”. Noel i ja popchnęliśmy go, a Maurice trzymał rączkę. Kółka były zwichrowane i trudno się pchało. Tatuś kupił ten wózek, kiedy ja się urodziłam. Człowiek w sklepie na Grafton Street powiedział mu wtedy, że mają tańsze, ale tatuś już postanowił: to był wózek dla jego nowej córki i koniec. Sprzedawca powiedział, że „powóz”, jak go nazwał, kosztuje piętnaście gwinei i jeszcze jedną za dostarczenie. To było więcej niż miesięczne zarobki taty. Tata dał temu panu funta i dziesięć szylingów jako zaliczkę i poszedł po dziadka. Razem wrócili do sklepu i zapłacili za wózek, ku wielkiemu zdumieniu przemądrzałego człowieka.

Dotarliśmy do Dolphin's Barn. Ludzie na nas klęli, bo w tłoku wpadaliśmy na nich wózkiem. Nie mogliśmy nic na to poradzić - wózek nie jechał dokładnie tam, gdzie chcieliśmy. Koń, ciągnący wóz z karmą dla świń, musiał nagle zahamować, kiedy pchaliśmy wózek na drugą stronę ulicy. Kupiliśmy tacie ślazowo-czekoladowe jajko wielka nocne w małym sklepie, któ-

ry pachniał tytoniem i lawendą. Sprzedawca pozwolił nam przez całe wieki wybierać właściwe jajko dla taty. Stańło na takim w sreberku i czerwionku.

Z prezentem w ręku wyszliśmy ze sklepu. Trochę sreberka zeszło, więc każde z nas wzięło maleńki płatek czekolady. Byliśmy pewni, że tatuś nie zauważy. Kiedy dotarliśmy do wielkiej, kutej bramy Coombe Hospital, natknęliśmy się na człowieka w małej czapce. Jego mundur miał błyszczące guziki. Noel i Maurice próbowali pchnięciem otworzyć bramę, ale była za ciężka, a nie mogliśmy puścić wózka, bo hamulec nie działał. Mężczyzna zbliżył się do bramy. Powiedzieliśmy mu, że chcemy się zobaczyć z naszym tatusiem. Człowiek w mundurze wyszedł na chodnik i połaskotał malucha pod brodą. Dermot roześmiał się i spróbował chwycić jeden z błyszczących guzików płaszcza mężczyzny.

- Dzieciom nie wolno przychodzić w odwiedziny - stwierdził. - Przykro mi.

Wpadłam w straszną wściekłość. Wyjaśniłam mężczyźnie, że nie widzieliśmy taty od bardzo dawna. W każdym razie, powiedziałam, kupiliśmy mu jajko wielkanocne i mimo że teraz właściwie było już tylko ślazowe, musimy dać je tacie w prezencie, ponieważ to pomoże mu wyzdrowieć. Wbiłam wzrok w mężczyznę i powtórzyłam, że musimy się zobaczyć ze swoim tatą.

Mężczyzna przyklęknął na jedno kolano, ujął mnie za ramiona i rzekł: - Coś ci powiem. Ja wezmę jajko dla twojego taty i dam mu je. Jak się nazywa?

Noel i Maurice patrzyli na mnie jakoś dziwnie ucieszeni. Musieliśmy podać tylko nazwisko taty.

- On się nazywa tatuś! - krzyknęli. Wiedziałam, że nazywamy się Doyle, ale nic nie powiedziałam.

Dałam temu panu jajko wielkanocne. Powiedział, że znajdzie naszego tatę i przekaże mu, że przyszliśmy się z nim zobaczyć. Poklepał mnie po głowie i włożył mi do ręki szylinga, a ja obiecałam sobie odmówić Zdrowaś Mario za tego miłego pana.

- A teraz się stąd zabierajcie - powiedział, kiedy już wszedł za bramę.

W drodze powrotnej do Dolphin's Barn kupiliśmy frytki zawinięte w gazetę i popędziliśmy do domu tak szybko, jak pozwoliły nam zwichrowane kółka wózka. Noel oddał kawałek linoleum z podłogi w ciemnym kącie pokoju i rozpaliliśmy ogień. Wszyscy siedzieliśmy na podłodze i jedliśmy frytki przy płomieniu. Byliśmy szczęśliwi i najedzeni; zrobiło się nam nawet ciepło. To był dobry dzień. Śpiewaliśmy piosenki, które znaleźliśmy od taty. Nasza ulubiona to ta o tanich jajach:

Kiedy się udasz do Kilkenny,

Szukaj paniusi, co kury ma.

Za pensa jajek dwa tuziny

I masła darmo ci da

Noel opowiedział nam dowcip, który usłyszał w szkole od jakiegoś starszego chłopca.

-Anglik, Szkot i Irlandczyk wsiedli do samolotu. Samolot miał się rozbić, a były tylko dwa spadochrony. Szkot i Irlandczyk wzięli spadochrony i poszli skoczyć. Anglik krzyczy za nimi: „A co będzie ze mną?”. Irlandczyk, już lecąc, odpowiedział mu: „Posmaruj dupę masłem i zjedź po tęczy”.

Śmialiśmy się do łez. Wydawało nam się, że „dupa” to najśmieszniejsze słowo na świecie. Mama wróciła do domu i znalazła nas tarzających się po podłodze. Już całkiem odebrało nam głos od tego śmiechu, ale nie mogliśmy jej powiedzieć, co nas tak ubawiło.

Tata wracał do domu. Mama wysprzątała mieszkanie, a pani Sullivan pożyczyła jej kilka prześcieradeł i koców. Przyszła z wizytą babcia i zrobiła gulasz i trochę kremu do szarlotki, którą mama piekła. Stałam przy stole i zjadałam skórki od jabłek, w długich skrętach spadające z owoców. Zawsze po zjedzeniu takich skórek okropnie bolał mnie brzuch, ale miałam nadzieję, że tym razem tak się nie stanie. Uwielbiałam zapach gotującego się jedzenia i czystych prześcieradeł w łóżku. Uwielbiałam mieć umyte i delikatne włosy, związane zieloną wstążką, i lubiłam, jak maluchy pachniały mydłem. Uwielbiałam móc codziennie chodzić do szkoły. Ale najbardziej ze wszystkiego cieszyło mnie to, że nie musiałam oglądać pana Gleasona.

Kiedy tata wszedł do domu, wyglądał straszliwie blado i wszędzie wystawały mu kości. Zaczęłam od tego płakać. Bałam się usiąść tacie na kolanach, żeby nie zrobić mu krzywdy. Powiedział, że jedzenie w szpitalu było gorsze niż żarcie dla świń.

- Ale teraz jestem w domu - stwierdził - i mama szybko mnie utuczy. Na pewno nie muszę prędko wracać do pracy?

Podniósł kościste ramiona, a moi bracia zaśpiewali dla niego:

Straszliwie chudy chudzielec

Chciał pójść do kina w niedzielę.

Jak siadł w fotelu, stanęło mu serce,

Bo zrobił dziury w tapicerce.

Wszyscy się uśmieśliśmy. Tata powiedział chłopcom, że wytarga ich za uszy, ale też się śmiał; nawet mama się śmiała.

Po kilku tygodniach w domu tata zaczął się robić trochę nerwowy i spędzał dużo czasu w swoim specjalnym pokoju. Bardzo głośno grał na pianinie, a pani Sullivan waliła w ścianę i krzyczała: - Matko Boska, Dessesie, dasz nam trochę spokoju?

Tatusz też tłukł w ścianę i grał jeszcze głośniej. Kiedy odwiedził nas dziadek, przyniósł wiolonczelę i obaj grali przez większość dnia. Uwielbiali marsze i bardzo starą muzykę. Pani Sullivan nazwała tatusia „pieprzonym łobuzem” i powiedziała mu, że zadzwoni po policję.

W końcu tatuś znalazł pracę przy malowaniu poza miastem. Miało go nie być przez sześć tygodni. Moje serce zamarło. Przez ostatnie kilka tygodni mama nie wychodziła w ciągu dnia i mieszkanie było czyste i posprzątane. Kiedy wracałam ze szkoły, czułam zapach jedzenia. Tata cesał moje włosy, co rano zaplatał mi warkocze i zawsze znajdował jakieś ładne wstążki, żeby zawiązać kokardki na końcach.

Pewnego dnia w szkole robiliśmy na zajęciach plastycznych modele i dziewczynka o nazwisku Chrissie Kernan pociągnęła mnie za warkocze, tak że się rozplotły. Do tych modeli używaliśmy kawałków plastiku, wyglądających jak wielkie pestki pomarańczy, a ja byłam taka zła na Chrissie, że wsadziłam jej w ucho jedną z tych pestek. Następnego dnia Chrissie i jej matka wpadły do klasy, ta ostatnia wrzasnęła na zakonnice, żądając wskazania „bachora”, przez którego jej córkę tak bolało ucho.

-Wytargam jej pieprzone uszy! Przepraszam, siostró, za mój język. -
Przeżegnała się.

Chrissie trzymała okład przy uchu, a jej policzek był czerwony i opuchnięty. Mówiła przez zatkany nos i wycierała smarki w spód rękawa. Siostra podniosła rękę, by uciszyć kobietę.

- Już dobrze, pani Kernan - powiedziała. - Znajdziemy dziecko odpowiedzialne za to zdarzenie.

W klasie zrobiło się całkiem cicho; wszystkie czekałyśmy, co się teraz stanie. To było lepsze niż recytowanie katechizmu. Czułam jednak kamień w piersi. Skoro spowodowałam, że twarz Chrissie tak wyglądała, miałam

naprawdę wielki kłopot. Zdecydowałam się przyznać. Kiedy wstawałam, moje krzesło wydało okropny odgłos, szorując po drewnianej podłodze, i wszyscy na mnie spojrzeli.

- Ona mnie pociągnęła za warkocze i zgubiłam wstążkę!

Pomyślałam, że siostra uzna to za wystarczający powód do napakowania ucha Chrissie kawałkami plastiku, ale myliłam się. Podeszła do mojej ławki i wyciągnęła mnie na środek klasy. Pani Kernan posłała mi ponure spojrzenie. Chciałam pokazać jej język, ale wiedziałam, że to nie jest dobry moment. Zakonnica zaciągnęła mnie za rękaw swetra do gabinetu matki przełożonej. Poszły też Chrissie i pani Kernan, która całą drogę narzekała na dzisiejszą młodzież. Matka przełożona powiedziała pani Kernan, żeby zabrała Chrissie do szpitala, a ona się ze mną rozliczy.

Wezwano do szkoły moją mamę, która wcale się nie cieszyła, że matka przełożona pouczyła ją, jak należy wychowywać „miłą młodą damę”. Odesłano mnie z mamą do domu. Kiedy ciągnęła mnie ulicami, krzyczała i biła mnie po uszach, a ja wrzeszczałam bardziej ze wstydu niż z bólu. W końcu dotarliśmy do domu, a tata powiedział, że jego zdaniem wystarczy tej kary. Obiecałam nigdy nikomu nie wsadzać już nic do ucha, tata wysłał mnie do pana Hennesseya po dwadzieścia gold flakesów i dał mi pensa, żebym sobie kupiła coś słodkiego.

Obserwowałam, jak tata przygotowuje się do wyjazdu. Nasypał cukru i herbaty do małych zawiniątek z szarego papieru i umieścił je w torbie płóciennej przy menażce. Do małej, brązowej walizki spakował biały kombi-
nezon i specjalne buty do wnętrza. Wyjaśnił mi, że czasami pracuje w do-

mach, w których są kremowe dywany, i one mogłyby się poniszczyć. W piersi znowu miałam kamień. Nie chciałam, żeby wyjeżdżał, ale obiecał, że co parę tygodni będzie wpadał do domu na dzień lub dwa.

- Więc bądź teraz dobrą dziewczynką - powiedział - i pomagaj mamie przy maluchach. Może nawet przywiozę ci ładny prezent.

Uścisnął nas wszystkich przed wejściem, wsiadł do czarnego austina i ruszył. Moi bracia i kilku chłopców z naszego bloku pobiegło za samochodem, ścigając się z nim aż do głównej ulicy. Tata zatrąbił klaksonem i zniknął.

Następnego dnia mama wyszła, a mnie kazała pilnować dzieci. Potem wychodziła już niemal codziennie. Znowu musiałam chodzić do pana Hennesey'a po skrzynki po herbacie i rodzynekach. Pewnego dnia, kiedy wybrałam się po skrzynki, lał deszcz. Dostałam tylko jedną i byłam w złym humorze. Kiedy wróciłam do mieszkania, zauważyłam, że nie ma jednego z maluchów.

- Gdzie Kevin? - zapytałam.

Wyglądało na to, że od dłuższej chwili nikt go nie widział. Zapaliłam piecyk gazowy i wstawiłam poczerniały czajnik na ogień. Kevin miał prawie trzy latka i bałam się, że dostanie się na główną ulicę.

- Pilnujcie reszty - powiedziałam do Noela i Maurice'a. - Idę szukać Kevina.

Włożyłam z powrotem swój mokry płaszcz i ruszyłam na dół. Pobiegłam w kierunku końca bloków, a kiedy byłam niemal przy C, zobaczyłam coś pluskającego się w wielkiej kałuży. Woda wypływała na ulicę przez jedną z kratek i tam właśnie był Kevin. Siedział w środku brudnej kałuży i bawił się, zupełnie jakby był w Dollymount Strand. Wyciągnęłam go i niosłam ten mokry tobołek do mieszkania, a on wrzeszczał, żeby go puścić do jego kałuży.

Na pierwszym piętrze zderzyłam się z panią Sullivan. Chwyciła mój płaszcz, strzepnęła go i szybko coś w niego zawinęła.

- Powiedz swojej mamie, że jestem w szpitalu z małym! - i zniknęła.

W mieszkaniu wrzeszczeli wszyscy moi bracia. Poczułam, że coś się pali. Wszędzie leżało pełno rozrzuconych kawałków nadpalonych szmat i spalonych papierów, a wózek był pełen wody. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, co się stało, ale zauważyłam, że brakuje Dermota, który miał niepełna roczek.

- Och, Matko Święta.

To Dermota pani Sullivan owinęła w mój płaszcz.

Kiedy moja mama wróciła do domu, znalazła w nim pełno krzyczących dzieci, wściekłe sąsiadki i policjanta. Jej twarz pobladła. Policjant poprosił panią Moore, żeby zabrała dzieci na parę minut. Pani Moore bardzo się ucieszyła, że uczestniczy w wydarzeniach, i zabrała dwóch najmłodszych chłopców. Zanim wyszła, spojrzała na mamę, wysyczała: - Niech Bóg ci wybaczy! - i przeżegnała się.

Mama zaczęła krzyczeć: - Na litość boską, czy ktoś mi powie, co tu się dzieje?

Kazała wszystkim kobietom się wynosić. Pani Sullivan chwyciła ją za ramię i zaciągnęła do sypialni. Słyszałam, jak mamie wygarnia. Potem rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk mamy, która po chwili znów wpadła do pokoju. Chciała wybiec na korytarz, ale policjant zaciągnął ją z powrotem. Podbiegłam do niej, a ona przytuliła mnie mocno. Obejmowałam ją w pasie; to było dziwne, ale chciałam ją chronić. Wiedziałam, że to poważna sprawa. Dziecko zostało bardzo poparzone w wózku. Policjant polecił, żeby wszystkie kobiety opuściły mieszkanie, bo musi porozmawiać z mamą w cztery oczy. Pani Sullivan wzięła za rękę Noela i Maurice'a.

- Dam im trochę herbaty - powiedziała i odwróciła się do mnie: - Chcesz coś do jedzenia, malutka?

Pokreśliłam głową; wołałam zostać z mamą. Myślałam, że będę miała kłopot z policjantem, bo powinnam przecież pilnować maluchów. Chciało mi się wymiotować. Znowu miałam kamień w piersi i zaczęłam płakać.

- Poślemy po pani męża, pani Doyle - powiedział strażnik. - On odpowiada za utrzymanie dzieci i będę musiał też zawiadomić pana Wogana z NSPCC1.

Mama bardzo się zdenerwowała i zaczęła błagać policjanta: -Na pewno musi pan przeszkadzać Dessiemu w pracy? - Taty miało nie być w domu przez następne dwa tygodnie i mama wiedziała, że to go bardzo rozzłości.

- Chce pani pojechać do szpitala, żeby zobaczyć dziecko? - zapytał policjant. - Ja sam się tam wybieram, moglibyśmy porozmawiać po drodze.

Kiedy wyszli, poszłam do pani Moore. Smażyła kielbasę.

- Pomóż mi, Evelyn. Chodź, ukrój chleba. Zaczęłam kroić wielki bochen chleba na cieniutkie kromki. Kielbasa pachniała smakowicie i przypomniałam sobie, jak bardzo jestem głodna. Pani Moore bluzgała na naszą mamę, że zostawia nas samych i mówiła, co tata zrobi, jak wróci. Wydawała się zadowolona, że mama ma kłopoty. Staralam się nie słuchać. Strasznie chciałam wiedzieć, jak bardzo chory jest Dermot, ale ona mi nie powiedziała. Przysunęłam się za nią do piecyka gazowego. Papieros, wiszący u jej wargi, miał długi wałek popiołu, i byłam pewna, że znajdzie się w kielbasie, ale trzymał się jakimś cudem i nie spadł, nawet jak mówiła. Kiedy zobaczyłam, że trąca kielbasy swoim długim, brudnym paznokciem, zrobiło mi się niedobrze i zapomniałam, że jestem głodna.

- Czy moi bracia mogą tu jeszcze zostać przez chwilę? - zapytałam. - Chcę zobaczyć, co z Noelem i Maurice'em u pani Sullivan.

Wyszłam, nie czekając na odpowiedź, i popędziłam galerią do pani Sullivan i jej ciepłego, czystego domu.

Była już noc, kiedy mama wróciła ze szpitala. Oczy miała czerwone, a pod nimi ciemne kręgi. Poprosiła panią Sullivan, żeby zaopiekowała się chłopcami chwilę dłużej. Chciała pomówić ze mną sam na sam.

- Dermot jest bardzo chory - powiedziała i zaczęła płakać.

Stałam i patrzyłam na nią, nic nie mówiąc. Wiedziałam,

że to się stało z mojej winy i że będę musiała pójść do magdalenek. To były pralnie, do których wysyłano dziewczęta, które były nieposłuszne albo popełniały przestępstwa, albo zachodziły w ciążę przed ślubem. Mama przyciągnęła mnie do siebie i mocno przytuliła. Zaczęłam trząść się ze strachu; byłam tak przerażona, że nie mogłam nawet płakać. Mama z kolei przestała płakać i postawiła mnie przed sobą, trzymając za ramiona tak, że bym musiała patrzeć jej w oczy.

- Posłuchaj mnie uważnie - zaczęła. Mówiła z taką powagą, że jeszcze bardziej się przestraszyłam. - Policja posłała po waszego tatę. Musisz mu powiedzieć, że kiedy Dermot się zapalił, ja wieszałam pranie. Słyszysz mnie?

Potrząsnęła mną mocno; jej palce boleśnie wbijały mi się w ramię. Próbowałam się wykręcić, ale nie dałam rady.

- Ale mamusiu - usłyszałam swoje słowa - przez cały dzień pada. Nie mogę mu powiedzieć, że wieszałaś pranie.

Wtedy bardzo się rozgniewała. Krążyła po pokoju, paląc papierosa, a ja wodziłam za nią wzrokiem. Mamrotała coś do siebie, ale nie słyszałam słów. Strasznie chciałam wiedzieć, jak bardzo chory jest Dermot.

- Bardzo chory! - wrzasnęła. - A gdybyś na niego uważała, tak jak ci mówiłam, nie leżałby tam teraz!

Wybiegłam z mieszkania i popędziłam do końca ulicy, gdzie była kapliczka poświęcona Matce Boskiej Fatimskiej. Uklęłam w deszczu i błagałam Matkę Boską, żeby nie pozwoliła Dermotowi umrzeć i żeby policja nie wysłała mnie do magdalenek. Obiecałam też, że nigdy już nie ukradnę świeczki z kaplicy. Patrzyłam w doskonałą twarz posągu, próbując znaleźć w niej jakieś pocieszenie, ale nie mogłam. Poszłam na plac zabaw. Furtki były zamknięte, ale wdrapałam się na płot i usiadłam na górze, zastanawiając się, co mogę zrobić, żeby Dermotowi się polepszyło. W końcu zebrałam się na odwagę i wróciłam do domu, a tam, ku mojej radości, okazało się, że z Dun Laoghaire przyjechała moja babcia. Miała na sobie fartuch w kwiaty i pachniała lawendą. Przytuliła mnie, a ja znowu zaczęłam płakać.

- Musiałam poszukać Kevina - powiedziałam. - Nie spaliłam małego. Nie pozwól wysłać mnie do magdalenek. Proszę, babciu, zgódź się, żebym mieszkała z tobą!

Babcia trzymała mnie, patrząc na mamę złym wzrokiem. Zaprowadziła mnie do łazienki i uparła się, żebym wzięła kąpiel. Włożyła pieniądze do licznika i zajęła się sprzątaniami mieszkania. Po kąpieli poczułam się lepiej, a babcia dała mi coś do jedzenia i odprowadziła mnie do łóżka. Dzieliłam wielkie łóżko z czterema braćmi. Tej nocy babcia do nas dołączyła, kiedy odmówiła cały różaniec za Dermota.

Następnego ranka leżałam w łóżku już obudzona, gdy usłyszałam znajomy odgłos samochodu taty, zatrzymującego się pod domem. - Tatuś wrócił! - krzyknęłam do braci.

Wszyscy chłopcy się obudzili. Wciąż siedząc w łóżku, zaczęliśmy śpiewać swoją piosenkę na taką okazję.

Klaszczemy, klaszczemy, bo tata już w sieni Z ciastkiem dla każdego schowanym w kieszeni.

Usłyszałam, jak mama krzyczy w korytarzu „Jezu Chryste”.

Potem przypomnieliśmy sobie o biednym Dermocie i już nie czuliśmy się tacy szczęśliwi. Ubraliśmy się na wyścigi, a Noel i Maurice się zaplątali, bo każdy z nich włożył po jednej nodze do tej samej pary szortów. Upadli, a Noel krzyknął do Maurice'a: - Masz na sobie moje szorty!

Kiedy już się pozbierali, wybiegliśmy z sypialni i skierowaliśmy się prosto do wielkiego fotela w rogu salonu.

Kiedy tatuś wszedł, był jak diabeł. Pobiełam do niego, a on uściśnął mnie szybko, potem wziął moją twarz w dłonie i usiadł. Wyglądał, jakby coś mówił, ale z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Robił się coraz czerwieńszy, aż w końcu wybuchł i zaczął wrzeszczeć na mamę. Chłopcy i ja siedzieliśmy bardzo cichutko, stłoczeni w starym fotelu. Nie rozumiałam niektórych słów, które tatuś wypowiadał, ale one sprawiały, że mama płakała.

- A co z Evelyn? - krzyknął. - Każdy inny mężczyzna sprawiłby ci lanie, tak jak na to zasługujesz.

Przerwał, żeby otrzeć ślinę z ust, a potem dalej krzyczał. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim humorze. Zakryłam uszy dłońmi, żeby stłumić krzyki. Chłopcy zaczęli płakać, a po chwili wrzeszczeli już wszy-

scy. Zobaczyłam, że mama płacze, i rozplakałam się jeszcze głośniejsze. Chłopcy wrzeszczeli coraz bardziej i wkrótce tata też zakrył uszy. Potem przestał krzyczeć. Nasze wrzaski przeszły w szloch. W końcu zapadła cisza. Mama i tata poszli do sypialni, zamknęli za sobą drzwi i znowu zaczęli na siebie krzyczeć.

Rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Tata polecił, żebym sprawdziła, kto to, i powiedziała temu komuś, kto tam jest, żeby poszedł w cholerę. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam pulchnego mężczyznę w spiczastej czapce i zielonym mundurze. Obok niego stała rudowłosa kobieta. Miała na sobie długi, niebieski płaszcz z dwoma czerwonymi paskami z przodu i niosła torbę, zupełnie jak doktor, kiedy przychodzi z nowym dzieckiem. Pomyślałam, że może przyniosła nam malutką siostrzyczkę.

- Cześć, Evelyn - odezwał się mężczyzna. - Jestem inspektor Wogan. Czy jest twój tata?

Musiał wiedzieć, że tata jest, bo cały blok słyszał jego wrzaski. Myślałam, że to policjant, więc trzasnęłam drzwiami i pobiegłam do sypialni powiedzieć tacie. Miał dzikie oczy. Powiedział, żebym usiadła z braćmi, i poszedł do drzwi. Normalnym głosem zaprosił tego pana do środka. Mężczyzna i ruda kobieta poszli za nim do salonu. Ona zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez oparcie krzesła. Ramiona i twarz miała pokryte wielkimi, rudymi piegami. Według mnie wyglądała dziwnie. Wyciągnęła rękę i zaprowadziła mnie do sypialni. Bałam się pójść, ale tatuś powiedział, że wszystko będzie dobrze.

W sypialni kobieta poprosiła, żebym zdjęła ubranie. Byłam przerażona, ale zrobiłam to. Obejrzała mnie całą, a kiedy zaglądała mi za uszy, bolało z powodu ranek. Podniosła moje włosy i przebiegła przez nie palcami, cały czas się do mnie uśmiechając. Kiedy skończyła swoją inspekcję, stwierdziła, że będę musiała pójść na Bride Road na specjalną kąpiel. Potem zaprowadziła mnie z powrotem do salonu i wzięła do sypialni wszystkich moich braci naraz. Tata i ten mężczyzna rozmawiali.

Tata powiedział: - Chcę, żeby ją oskarżono. To cud, że dzieci żyją.

Trzęsłam się na krześle i chciałam stać się jak najmniejsza.

Inspektor Wogan skulił ramiona i rozłożył ręce. - Rozumiem całkowicie, panie Doyle - powiedział - ale jako głowa rodziny to pan ponosi odpowiedzialność i to pana będę musiał oskarżyć. A to nikomu w niczym nie pomoże, prawda?

Tatusz chodził w tę i z powrotem, zaciągając się mocno papierosem. Wydmuchiwał dym przez nozdrza. Przypominał smoka z jednego z moich podręczników i kiedy to sobie uświadomiłam, prawie się roześmiałam. Pielegniarka przyprowadziła chłopców z powrotem do salonu. Powiedziała panu Woganowi, że wszyscy musimy pójść do Bride Road Baths na odwzawienie i dodała, że ja mam chyba egzemę.

Zwiesiłam głowę i wbiłam wzrok w podłogę. Wstydziałam się i miałam poczucie winy. Mama przez cały ten czas była w sypialni i ani razu do nas nie wyszła. Tatusz odprowadził pana Wogana i kobietę do drzwi i słyszałam, jak zgadza się zabrać nas do łaźni następnego dnia o dziewiątej rano. Kiedy

oni poszli, tatuś wrócił do sypialni i znowu krzyczał na mamę. Noel i Maurice uznali, że to świetnie mieć wszy i wybiegli z mieszkania, pochwalić się kolegom.

Następnego dnia wszyscy zebraliśmy się w samochodzie tatusia, wszyscy oprócz mamy. Została w domu. Tata jechał ulicami i zatrzymał się przed wielkim, czerwonym budynkiem. Kiedy wysiadaliśmy z samochodu, mruknął do siebie: „Co za wstyd” i zaklął.

Przeżegnałam się i pomodliłam, żeby tatuś nie poszedł do czyścica za przeklinanie mamy na ulicy.

W środku podeszła do nas gruba pielęgniarzka w sztywnym, białym fartuchu. Kiedy się ruszała, jej mundur skrzypiał. John i Kevin schowali się za nogami taty. Noel, Maurice i ja stłoczyliśmy się razem. Pielęgniarzka poleciła tacie, żeby za nią poszedł, a jej głos huczał pod wysokim sufitem. Weszła młodsza siostra, z miłą twarzą i zabrała mnie.

- Wszystko w porządku, mała, nie bój się - powiedział tatuś. - Będę tu na ciebie czekał.

Zaczęłam płakać. Kiedy szłam za pielęgniarzką korytarzem, pomyślałam, że to są na pewno magdalenki. Na podłodze były biało-czarne kafelki, a na ścianach zielone, i od tego wszystkiego odbijało się echo. Zatrzymałam się i wciąż płacząc, powiedziałam głośno kilka słów, tylko po to, żeby usłyszeć echo. Idąc, starałam się tupać jak najgłośniej. Weszliśmy do bardzo długiego pomieszczenia z rzędem wielkich, białych wanien na nóż-

kach, które wyglądały jak szpony zwierzęcia. Przy każdej wannie ustawiony był zielony, brezentowy parawan, rozpięty na białej, metalowej ramie na kółkach. Siostra przesunęła jedną z ram, tak żeby nikt nas nie widział, i zaczęła napełniać wannę wodą. Powiedziała, żebym się rozebrała. Drugi raz w ciągu dwóch dni musiałam zdjąć ubranie przed kimś obcym. Moje bose stopy poczuły zimno płytek na podłodze i próbowałam zasłonić nagie ciało dłońmi i ramionami. Siostra tymczasem podeszła do szafki i wyjęła stamtąd największą butlę, jaką w życiu widziałam. W środku był blad różowy płyn, którego naląła do wanny.

- Wskakuj - poleciła.

Stałam na jednej nodze i pomyślałam: „Nie uda mi się, wanna jest za wysoka”. Podskoczyłam i nie trafiłam do wanny, tylko wylądowałam na pupie, wydając krzyk, który odbił się po całym pomieszczeniu. Siostra uśmiechnęła się grzecznie.

- Na miłość boską, dziecko, nigdy jeszcze nie kąpałaś się w wannie? Włóż jedną nogę, a drugą pociągnij za sobą, i zanim się obejrzyysz, już będziesz w środku.

Zrobiłam, jak powiedziała. Woda była ciepła i gęsta jak galaretka i przypominała mi pudding, który czasami jadaliśmy. Wskoczyłam szybko z powrotem, ale siostra powiedziała, żebym nie była głupią dziewczynką i że mam zostać w kąpieli przez piętnaście minut.

- Musisz nawet na minutę zanurzyć głowę. W ten sposób oczyścimy twoje biedne ciało z tych brzydkich ran.

Woda zaczynała się robić zimna, kiedy w końcu siostra powiedziała, że mogę wyjść. Wręczyła mi stos ubrań, które nie były moje. Wszystkie okazały się całkiem nowe, a kiedy je włożyłam, bardzo się ucieszyłam. Nieczęsto wkładałam nowe ubrania. Poszłam z siostrą z powrotem do taty i zobaczyłam, że każdy z moich braci też ma nowe ubranie. Wszyscy śmialiśmy się na głos, oprócz tatusia. Wyglądał na rozgniewanego, ale wiedziałam, że to nie na nas.

Tata nie wyjechał już do pracy. Dostał natomiast zajęcie przy malowaniu kilku domów w Dublinie. Mama po tamtym dniu też już nas nie zostawiała. A ja nie musiałam chodzić do pana Hennesseya po skrzynki po herbacie i rodzynekach.

Pewnego dnia zdjęcie taty pojawiło się w gazecie. Miał zadanie pomalować wszystkie przystanki autobusowe w Dublinie, a ja udawałam przed moimi koleżankami, że tata jest słynną gwiazdą filmową, którą pokazują w takich gazetach. W jednej ręce trzymał kubełek z farbą, a pod pachą małą, drewnianą drabinę. Ubrany był w biały kombinezon, a na twarzy miał szeroki uśmiech. Kobieta z naszego bloku powiedziała, że wygląda jak Nelson Eddie. Mama odparła, że chciałaby, żeby zarabiał tyle pieniędzy, co Nelson Eddie.

Wciąż nie mogłam zobaczyć Dermota w szpitalu. Ale życie zaczynało wracać do normy. Tata i mama chodzili do Dermota codziennie. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby wyzdrowiał. Odmawiałam wiele modlitw i nawet

udało mi się zapalić za niego kilka świeczek w kaplicy. Jedna z zakonnice w mojej szkole dała mi święty medalik, żebym położyła go Dermotowi w łóżecku. Medalik był pobłogosławiony przez samego papieża Piusa XII. Przeciągnęłam przez jego uszko jedną z tatusia sznurówek i zawiązałam sobie na szyi dla bezpieczeństwa.

Pewnego dnia mama dała mi dwa pensy, żebym poszła na farmę po dwanaście jajek na gwiazdkowy pudding. Mary Flynn, która mieszkała pod nami, powiedziała, że wybierze się ze mną, bo chce wziąć psa na spacer. Rex był rudym kundlem. Mary zwykle się chwaliła, że jest czystej rasy, ale nigdy nie zdradziła, jaka to rasa.

Poszliśmy wzdłuż kanału i przez ruchliwą ulicę, po której obu stronach stały wielkie domy. Rex był podniecony, że wyruszył na spacer, i ciągnął Mary za sobą. Przeklinała go i biła po łbie łańcuchową smyczą. Mówiłam jej kilka razy, żeby przestała go bić, ale ona walnęła go strasznie w pysk. Rex zawył z bólu. Pochyliłam się, chcąc go objąć za szyję, żeby poczuł się lepiej.

Następną rzeczą, jaką usłyszałam, był krzyk Mary. Uderzyłam głową o chodnik, a nade mną stał Rex, warcząc z obnażonymi zębami. Koło mnie pojawił się wielki but i Rex, wyjąc, poszybował w powietrze. Kiedy spojrzałam w górę, zobaczyłam dookoła tłum dorosłych.

- Wynoś się! Wynoś się! - krzyczał policjant. Ukląkł, spojrzał na mnie i powiedział: - Matko Przenajświętsza, gdzie ten pieprzony pies?

Jakiś mężczyzna trzymał Rexa za łańcuch.

Mary Flynn krzyczała: - On tego nie zrobił, on tego nie zrobił! Oddajcie mi mojego psa!

Spojrzałam na Rexa - był przerażony ponad ludzkie pojęcie. Wybałuszył oczy i ledwie dyszał. Policjant włożył palce do pyska psa i coś stamtąd wydobył. Potem wyjął chusteczkę z kieszeni spodni, rozwinął ją i umieścił w niej to, co wyciągnął Rexowi z pyska. Coś ciepłego, lepkiego i wilgotnego spływało po mojej szyi i włosach. Nie mogłam się poruszyć i nic nie czułam. Z jednego z wielkich domów wybiegła do mnie jakaś pani. Miała najbielszy, najbardziej puszysty ręcznik, jaki w życiu widziałam, uklękła przy mnie i przyłożyła mi go do twarzy.

Policjant rozmawiał z kierowcą ciężarówki, którą zatrzymał. Usłyszałam, jak mówi: - Nic mnie, cholera, nie obchodzi, co musisz zrobić, zabierasz to dziecko do szpitala.

Zobaczyłam, że ręcznik tej pani robi się czerwony i bałam się, że ta śliczna, puszysta rzecz się zniszczy. Pani odparła, żebym się nie martwiła, że ręcznik jest mój na zawsze, a ona ma dużo takich. Policjant podniósł mnie i położył z tyłu ciężarówki. Czułam zapach świeżego mięsa i zimno. Zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, usłyszałam, jak policjant mówi: - Naprawdę, pani Doyle, pani córka naprawdę leży z tyłu ciężarówki i jest ciężko ranna. Lepiej niech się pani pospieszy.

Mama spojrzała na pakę ciężarówki i krzyknęła: - O mój Boże, co powie Dessie?

Zrobiła się blada i padła w ramiona policjanta, a on położył ją w ciężarówce obok mnie. Pomyślałam, że nie żyje. Kiedy się obudziła, rozplakała się. Trzymała teraz moją głowę i zaczęła boleć mnie twarz. Za każdym razem kiedy skręcaliśmy, ślizgałyśmy się po całej ciężarówce. Dojechaliśmy do szpitala Coombe, tego samego, w którym leżał tatuś, kiedy był zatruty łożem, i policjant wniósł mnie do środka. Zostałam położona w jakimś pokoju i przyszła zbadać mnie pani doktor. Powiedziała, że mnie pozszywa „tak jak mamusia zszywa ubrania”.

- Musisz być bardzo grzeczną dziewczynką - dodała - i trzymać usta zamknięte. Nie ma się czego bać, przecież dopiero co zszywałam twojego małego braciszka.

Poczułam falę radości. Może jednak uda mi się zobaczyć Dermota! Wciąż miałam na szyi medal na sznurówce.

Zapytałam panią doktor, czy pozwoli mi spotkać się z braciszkiem, jeśli będę greczna. Odpowiedziała, że muszę zachowywać się bardzo spokojnie, dopóki ona nie skończy, to wtedy może będę mogła go zobaczyć. Pracowała przy mojej twarzy bardzo długo, wydawało mi się już, że nigdy nie skończy.

Wreszcie powiedziała: - No i już, jesteś jak nowa i za kilka miesięcy ledwie zauważysz różnicę.

Założyła czterdzieści osiem szwów wewnątrz mojej buzi, a następne czterdzieści osiem przyszyło z powrotem kawałek policzka, który policjant wyratował z pyska Rexa. Nie mogłam normalnie mówić, więc bełkocząc kącikami ust, zapytałam, czy mogę zobaczyć Dermota. Pani doktor powiedziała, że mam nie mówić i zdjęła czerwony, gumowy fartuch.

- Nie dzisiaj, kochanie - stwierdziła - ale może zobaczysz go, jak przyjdiesz tu następnym razem. Więc trzymaj buźkę zamkniętą, to szybko wyzdrowiejesz.

Wpadłam w straszną złość, a kiedy pani doktor ruszyła w moją stronę, otworzyłam usta jak najszerzej, żeby wrzasnąć. Szwy się rozleciały i krew trysnęła na jej biały fartuch, i teraz ona zrobiła się strasznie zła.

-Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką - powiedziała. - Muszę to wszystko robić od początku.

Byłam zdecydowana co do jednego: moja buzia nie zostanie zszyta, jeśli nie zobaczę Dermota. Powiedziałam to pani doktor. Do pokoju weszła jedna z pielęgniarek i obiecała, że mnie do niego zabierze. Ale najpierw muszę trzymać usta zamknięte. Zmusiłam pielęgniarkę, żeby przysięgła na mój święty medalik. Pani doktor znowu mnie pozszywała i tym razem szwy wystawały mi z boku twarzy i wyglądałam jak kot z wąsami.

Przez cały ten czas mama siedziała na krześle, płacząc cicho. Kołysała się w przód i w tył i wciąż powtarzała: - Och, Boże, co powie Dessie! Och, Boże, co powie Dessie! Och, Boże, co powie Dessie!

Pielegniarka zawinęła mnie w wielki koc, usadziła w fotelu na kółkach i zabrała do Dermota. Niemal żałowałam, że to zrobiła. Jedna strona jego maleńkiej buźki wyglądała jak żywa rana, a prawe ramię całkiem zakrywał wielki bandaż. Na obu nóżkach też miał bandaże. Płakałam, ale trzymałam buzię zamkniętą, tak jak obiecałam. Zdjęłam medalik z szyi i przewiesiłam go przez barierkę łóżeczka. Potem wzięłam maleńką rączkę Dermota i prosiłam Boga, żeby mu się polepszyło.

Jeden z sąsiadów przyjechał do szpitala na wielkim motocyklu z boczną przyczepą. Włożył mnie tam, a mamę posadził z tyłu i pojechaliśmy. Kiedy dotarliśmy do domu, wolno mi było położyć się w łóżku rodziców, a mama wpuściła do domu wszystkie sąsiadki. Czułam się bardzo ważna. Wszyscy stali dookoła łóżka, patrząc na mnie. Wciąż trzymałam dwa pensy, które mama mi dała na jajka.

Wtedy w drzwiach wejściowych stanął tata. - Co, do cholery, dzieje się tym razem? - zapytał.

Pani Sullivan powiedziała, że ma się uspokoić. - Nie jest tak źle, jak wygląda, Dessie.

Przeżegnała się, kiedy tata przepchnął się obok niej do łóżka. Kobiety rozstąpiły się, żeby go przepuścić. Nikt nic nie mówił. Tata spojrzał na mnie, a ja próbowałam się uśmiechnąć, ale to za bardzo bolało. Kącikiem ust pochwaliłam się mu, że widziałam Dermota. Jego twarz była bardzo blada i wszystkie kolory zniknęły mu z ust. Cicho zapytał mamę, co się stało.

- Pies Flynnów ją ugryzł - rzuciła mu prosto w twarz. Tym razem przynajmniej wiedziała, że mówi prawdę.

Tata wybiegł z mieszkania i kilka sekund później usłyszałam, jak inni mężczyźni każą mu wrócić do środka i napić się herbaty.

- Policja już sobie z nim poradziła - zapewnili. Nie pozwolili mu dojść do schodów i musieli go zatrzymać, żeby nie przeskoczył z balkonu na dół do Flynnów.

-Zabiję tego gnoja gołymi rękami - mówił. - Puśćcie mnie!

Weszło dwóch policjantów i usiadło po obu stronach łóżka.

- To nie była wina Rexa - powiedziałam im kąciem ust. - Mary biła go łańcuchem, a ja chciałam go pocieszyć.

Jeden z policjantów zapytał, czy mam pewność, że to był Rex, a ja skinęłam głową. Zeszli na dół do Flynnów i znaleźli Rexa w skrzyni pod kanapą. Później się dowiedziałam, że go zastrzelili.

Po trzech dniach zdołałam otworzyć dłoń i wypuścić dwupensówkę. Ale teraz bałam się psów. Tatuś zabrał mnie do kina na *Lessie*, a niedługo potem pożyczył psa podobnego do *Lessie* i kazał mi przy nim usiąść. Starałam się być dzielna tak długo, jak mogłam, ale zemdlałam. Kiedy się obudziłam, psa nie było.

Dermot został w szpitalu, ale było mu lepiej. Wkrótce miał wrócić do domu i znowu bylibyśmy rodziną. Moja buzia już się goiła, nie musiałam jeść płynnego jedzenia przez słomkę. Zbliżało się Boże Narodzenie i to by-

ło podniecające, ponieważ miał do nas przyjść Mikołaj i przynieść każdemu piękne prezenty.

Najpierw jednak Mikołaj przyszedł do mojej szkoły na Basin Street. Miało być wielkie przyjęcie z galaretką i lodami i prezenty dla wszystkich. Każdy z nas przy wejściu miał dać siostrze szylinga. Mama obiecała, że spotka się ze mną pod bramą i da mi pieniądze. Czekałam i czekałam, aż zrobiło się ciemno i ludzie zaczęli wychodzić z przyjęcia. Zrozumiałam, że ona nie przyjdzie, i powlokłam się do domu.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem tata powiedział mi, żebym zajęła się chłopcami. Wychodzi na chwilę z mamą, ponieważ będzie Gwiazdka. Było ciemno i wszyscy leżeliśmy w łóżkach, kiedy rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Weszłam do holu i przez zaszyroną szybę drzwi zobaczyłam postać mężczyzny w filcowym kapeluszu. Myślałam, że to tatuś i otworzyłam drzwi, i wtedy wpadli na mnie dwaj pijani mężczyźni, których nigdy wcześniej nie widziałam. Krzyknęłam i schowałam się pod kocem z Kevinem i Johnem. Noel i Maurice też zaczęli krzyczeć, wybiegli z mieszkania i dalej do pani Sullivan, tylko w koszulkach i z gołymi tyłkami. Usłyszałam zamieszanie w salonie, a potem zrobiło się cicho. Wszedł Mickey Sullivan i powiedział, że ci mężczyźni poszli, ale on zostanie, dopóki tata nie wróci do domu.

Następnego dnia przyszli pod drzwi dwaj panowie, przepraszała i dali każdemu z nas po sześć pensów. Weszli do właściwego mieszkania, ale w niewłaściwym bloku.

Nie pamiętam zbyt dużo z dnia Bożego Narodzenia, tyle że był szczęśliwy. Mama śpiewała razem z dziadkiem i tatą. Dziadek dał każdemu z nas pomarańczę, sześciopensówkę i wielki kawałek zrobionego własnoręcznie bożonarodzeniowego puddingu. Dermot wkrótce miał wrócić do domu i czuliśmy się szczęśliwi i pełni nadziei. Tata stracił pracę kilka dni wcześniej, ale był pewien, że w nowym roku znajdzie zatrudnienie w Korporacji. Mogliśmy uznać, że ten rok mamy już za sobą.

Ale rok 1953 jeszcze z nami nie skończył!

TLR

ROZDZIAŁ 2

TLR



Maurice, Noel i ja

Dzień Świętego Szczepana zaczynał się zupełnie zwyczajnie. Ja wstałam pierwsza, bo bardzo chciałam pokazać mojej przyjaciółce Angeli nową lalkę, którą przyniósł mi Mikołaj, i sprawdzić, czy dostała wrotki, o które prosiła. Wszyscy jeszcze spali, a ja jak najciszej przekradłam się do kuchni i ukroiłam kawałek świątecznego puddingu mamy. Potem wymknęłam się przez drzwi wejściowe i poszłam do Sullivanów, ale oni też jeszcze wszyscy spali. Lał deszcz i wiał wiatr. Na piętrze było jednak sucho, więc zdecydowałam się usiąść pod naszymi drzwiami i poczekać, aż inni się obudzą. Nie miałam płaszcza, ale nie było mi zimno.

Po chwili do drzwi podeszła mama i zapytała, co robię na nogach o takiej piekielnej porze.

- Czekam na Angelę - wyjaśniłam.

- Daj z tym spokój - powiedziała - jest za wcześnie, żeby wstawać. I nie obudz taty.

Miała na sobie ubranie. Wciąż było ciemno i pomyślałam, że mama pewnie idzie na jakąś bardzo wczesną mszę. Obiecałam, że nie wydam nawet dźwięku, a ona wróciła do środka, ale zostawiła drzwi uchylone. Siedziałam na progu i ilekroć się odwracałam, ilekroć odwracam się po dziś dzień, widzę jej nogi w holu, kiedy przechodzi z pokoju do pokoju. Stąpała na palcach, tak jakby nie chciała obudzić chłopców ani taty.

Wydawało mi się, że długo tak siedzę, czekając, aż ktoś się ruszy w mieszkaniu Sullivanów. W końcu wyszła pani Sullivan. Zapytała mnie o

święta i poszła na dół. Przeszło kilka osób z wyższych pięter, przeważnie kobiety udające się na mszę.

Mama znowu wyłoniła się z mieszkania i przeszła nade mną; niosła wielką torbę na sprawunki. Spodobało mi się, że umalowała usta swoją nową, czerwoną szminką i że ma piękne buty, które przyniósł jej Mikołaj. Pochyliła się i dotknęła mojego ramienia. Jej twarz miała dziwny wyraz.

- Chcę, żebyś dbała o dzieci i o siebie - powiedziała.

- Idziesz na mszę?

- Nie - odparła - idę po sprawunki. Po chwili dodała: - Pa pa.

I odeszła. Jej obcasy budziły echo na klatce schodowej. Wstałam, wyjrzałam przez balkon i zobaczyłam, że idzie w stronę groty. Zauważyłam, że torba jest pełna. Coś się nie zgadzało.

- Mamo, zaczekaj na mnie! - krzyknęłam. Ale ona nie słyszała mnie przez deszcz i wiatr.

Nie zaprzętałam sobie głowy wracaniem po płaszczy, tylko wypadłam prosto na schody i na zawieruchę. Wiedziałam, że muszę ją jakoś złapać i biegłam za nią co sił w nogach, krzyząc: - Mamo, wróć!

Pędziłam za nią do Dolphin's Barn. Widziałam ją po drugiej stronie ulicy, ale nie mogłam tam przebiec, bo był za duży ruch. Wciąż krzyczałam: - Mamo! Mamusiu! Wracaj! - Ale ona się nie odwróciła. Patrzyłam, jak wsiada do autobusu z jakimś mężczyzną.

Stałam przez kilka minut, płacząc, nie zważając nawet, że jestem przemoknięta do suchej nitki. Muszę powiedzieć tacie, pomyślałam, odwróciłam się więc i pobiegłam do domu. Nagle zderzyłam się z kimś i upadłam na ziemię. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam panią Sullivan.

- Po jaką cholere zapierniczasz po ulicach tak o świcie? - zapytała.

Miała na sobie jak zwykle krótką sukienkę i ogromne, różowe majtki. Przez chwilę te majtki przyciągnęły całą moją uwagę i zachciało mi się śmiać. Potem pani Sullivan się pochyliła i jej twarz złagodniała.

- Ach, to ty, kochanie - powiedziała.

Podniosła mnie z ziemi i przytuliła pod wielkim, ciemnym płaszczem. Pachniała mydłem Lifebuoy. Próbowałam się jakoś oswobodzić. Wyjaśniłam, że mama odeszła i że muszę iść i powiedzieć tacie.

- Wiem, malutka - odparła. - Wiem. Bóg wam pomoże.

Uwolniłam się i pobiegłam jak najszybciej do bloku. Tata

ciągle był w łóżku, palił papierosa. Czułam ból w piersi i nie mogłam złapać oddechu przez to, że tak szybko biegłam. Stałam przy łóżku, ociekając wodą i szlochając.

Tata popatrzył na mnie i zapytał: - Co się dzieje, mała? Co się dzieje?

Kiedy odzyskałam oddech, wyrzuciłam z siebie: - Ona odeszła!

Tata odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka. Uklęknął przede mną i próbował mnie uspokoić.

- Mów powoli i oddychaj głęboko - polecił. - Powiedz tacie, co się stało.

- Mama odeszła, pobiegłam za nią, ale ona wsiadła do autobusu z jakimś mężczyzną. Myślałam, że idzie po sprawunki. Chodź, tato, pospiesz się, musimy ją znaleźć.

Ciągnęłam go za ramię. Myślałam, że jeśli się pospieszymy, może ją złapiemy, i próbowałam postawić tatę na nogi, ale on wyglądał, jakby nie mógł się ruszyć. Po prostu tam klęczał. Potem zerwał się i jak pocisk pędził po całym pokoju. Wciągnął spodnie, wrzucił szelki na podkoszulek, włożył płaszcz i wsunął nagie stopy w buty.

Kiedy wychodziliśmy z sypialni, pojawiła się właśnie pani Sullivan.

Powiedziała: - Dessie, wiem, co się stało, widziałam ją, jak wsiadała do autobusu. Zabierz Evelyn ze sobą i nie martw się o chłopców. Idź, może uda ci się znaleźć jej mamę.

Tata chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą, z powrotem schodami w dół i do samochodu. Austin nie chciał zapalić. Tatuś przeklinał. Wyjął korbę z bagażnika i zaczął nią kręcić, aż w końcu silnik zaskoczył. Tata nic nie mówił po drodze. Ulice były puste i wciąż lało, a mała wycieraczka ledwie sobie radziła z deszczem. Ruszyliśmy trasą autobusu przez Cork Street, Coombe, przecięliśmy Dame Street i minawszy Trinity College, skręciliśmy w stronę rzeki. Za mostem przejechaliśmy całą O'Connell Street, ale nigdzie nie było śladu autobusu ani mamy.

Tata wyjechał z miasta i skręcił w stronę drogi nadmorskiej. To oznaczało, że jedziemy do babci i nagle się ucieszyłam, bo uwielbiałam ją. Tatuś poznał mamusię w domu babci, kiedy miał dziewiętnaście lat i przyjechał do pracy jako dekorator. Dom był wielki, tuż nad morzem i może teraz mama tam pojechała. We wszystkich pokojach stało pełno pięknych, błyszczących mebli, których nie wolno było dotykać. Tylne drzwi wychodziły na ogromny ogród z sadem, a kuchnia babci zawsze pachniała jabłkami. Babcia była wysoka i mówiła cicho. Wiązała włosy w kok z tyłu głowy i nosiła kwieciste fartuchy, które pachniały lawendą. Na kredensie trzymała fotografie swoich wnuków. Wszystkich oprócz nas; babcia nie miała zdjęć naszej rodziny. Tatuś pokłócił się z nią dawno temu. Kiedy poślubił mamę, z początku mieszkali razem w domu babci przez krótki czas, ale pewnego dnia babcia nazwała tatę kundlem i on nigdy jej tego nie wybaczył.

Czasami mama zabierała mnie do autobusu jadącego do Dun Laoghaire, a potem siadała w kuchni babci, płacząc.

- Małżeństwo jest świętym sakramentem - mówiła jej babcia - i z Bożą pomocą poradzisz sobie.

Nie wiedziałam, o czym babcia mówi, ale mamie łatwo przychodziło płkanie, więc przyzwyczaiałam się już do tego i nie zwracałam uwagi. Przeważnie wizyty u babci były chwilami szczęśliwymi. Bawiliśmy się w sadzie albo wychodziliśmy na molo, patrzeć na statki płynące do Anglii.

Teraz znowu jechałam do babci, ale spojrzałam na twarz taty i pomyślałam, że ta wizyta nie będzie radosna. Zatrzymaliśmy się przed domem i

pobiegliśmy co sił długą ścieżką do czarnych frontowych drzwi. Były lśniące od deszczu. Tata załomotał w nie pięścią i jednocześnie nacisnął dzwonek. Przeklinał akurat, kiedy babcia otworzyła drzwi. Miała na sobie kapelusz, płaszcz i wypastowane buty, jakby właśnie wychodziła.

- Desmond! Cóż się dzieje, na Boga! Myślałam, że u drzwi jest sam diabeł. Chodźcie z tego deszczu.

Kiedy tata przeciskał się obok niej, niemal pchnął ją na ścianę i było mi wstyd za niego, że tak traktuje babcię.

- Gdzie jest ta pieprzona dziwka? - zapytał.

Warczał jak wściekły pies, jak Rex, po tym jak ugryzł mnie w buzię. Nigdy nie widziałam takiego taty. Był inny niż wtedy, kiedy Dermot się spalił. Bałam się, podbiegłam do babci i schowałam się za jej spódnicą.

- Powściągnij swój język - powiedziała babcia. Dodała, że ma się uspokoić albo wyjść. Babcia nie bała się nikogo. - Teraz jesteś w moim domu, a nie w jakimś podrzędnym pubie.

Zdjęła płaszcz i kapelusz i starannie odwiesiła je w holu, po czym założyła jeden ze swoich kwiecistych fartuszków. Włączyła piecyk i nastawiła wodę w czajniku. Tata tymczasem palił papierosa, dmuchając dymem jak smok, babcia natomiast postawiła na stole swoje delikatne, porcelanowe filiżanki.

- Daj sobie spokój z herbatą - rzucił tata - chcę wiedzieć, gdzie jest ta suka, twoja córka. Uciekła ze swoim fagasem...

Babcia zakryła twarz pomarszczonymi dłońmi. - Nie wierzę - powiedziała.

- .. i jeśli ją dopadnę, zabiję ją, ot co.

Babcia usiadła ciężko przy stole. - Nie zostawiłaby dzieci, zwłaszcza maluszka. Przecież on ciągle jest w szpitalu.

Ale to brzmiało tak, jakby babcia mówiła o sobie. Miała siedemnaścioro dzieci, a mama była z nich najmłodsza. Z pomocą babci wszystkim dzieciom wiodło się dobrze, nawet mama zdobyła zawód. Uczyła się na cukiernika, ale kiedy poślubiła tatę wbrew woli babci, musiała rzucić to zajęcie.

Tata walnął pięścią w stół, aż babcia podskoczyła. - Chcę wiedzieć, gdzie ona jest, słyszysz?

Babcia nie wiedziała, gdzie pojechała mama. Chciała, żeby tata wyszedł z jej domu. Zapewniła, że obdzwoni resztę rodziny i da tacie znać, jeśli czegoś się dowie.

- Jeśli ona nie wróci do nocy - powiedziała - przyjdę do was i zajmę się dziećmi. A jeśli nie będzie można jej znaleźć, umówimy się jakoś. Evelyn i Noel mogą przyjść do mnie, a jestem pewna, że moje pozostałe córki pomogą z najmłodszymi.

Tata wyszarpnął mnie z fotela i niemal przeciągnął przez korytarz. Otworzył gwałtownie drzwi. Kiedy wyszliśmy z domu, krzyknął przez ramię: - Ty i twoja rodzina nigdy więcej nie zobaczycie moich dzieci!

Byłam już tak przerażona, że zaczęłam płakać. Tata spojrzał na mnie i nieco się opanował. Objął mnie i przytulił mocno, tam, na ścieżce pod babci domem.

- Przepraszam, malutka - powiedział. - Nie chciałem cię przestraszyć.

Przez cały ten długi, mokry, nędzny dzień tata jeździł po wszystkich członkach swojej rodziny, i do swoich przyjaciół, i do wszystkich, którzy przyszli mu do głowy. Kiedy zapadał zmrok, zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi. Nie wiedziałam, gdzie jesteśmy, ale pomyślałam, że tatuś na pewno odwiedza znajomego. Zostawił mnie w samochodzie i powiedział, że mam z niego nie wychodzić, dopóki on nie wróci.

Siedziałam więc, czekając na niego, kiedy poczułam, że ktoś na mnie patrzy. Wcześniej tylko raz w życiu widziałam krowę i było to biedne, stare zwierzę, które stało w szopie w pobliżu bloku. Za trzy pensy można było napełnić sobie garnek tłustym mlekiem prosto z wymion. Teraz dookoła samochodu stało całe stado krów, które patrzyły na mnie. Krzyczałam i krzyczałam, ale ich wielkie, brązowe, łzawe oczy nie znikwały.

Tatuś wrócił i odpędził je, a ja pochwaliłam go, że jest bardzo dzielny, ale on tylko się roześmiał i nazwał mnie głuptasem. Ruszyliśmy w stronę miasta. Deszcz wciąż padał i na ulicach nikogo nie było. Tata zatrzymał się przed domem swego wujka, którego ja nazywałam dziadkiem Bradym. Kiedy leżałam w szpitalu chora na szkarlatynę, dziadek Brady zrobił dla mnie przepiękny domek dla lalek z dywanami i światłem elektrycznym. Kochałam go ogromnie, niemal tak samo jak swojego własnego dziadka.

W domu było prawie całkiem ciemno. Dziadek Brady i jego żona, ciocia Agnes, siedzieli przy kominku, paląc papierosy. W małym pokoju było tylko jedno źródło światła, łyśa żarówka bez klosza, zwisająca z sufitu. Kiedy tatuś powiedział im, że szuka mamy, spojrzeli po sobie nerwowo i wydawali się spięci. Ciocia Agnes schowała twarz w dłoniach jak babcia i zaczęła głośno płakać.

- Niech Bóg mi wybaczy, Dessie - powiedziała - ale powinieneś był wiedzieć, że tak się stanie. A może chodziłeś ślepy?

Dziadek Brady kazał jej być cicho. - Nastaw wodę - polecił.

Dowiedzieliśmy się, że mama odeszła z synem dziadka Brady'ego, kuzynem tatusia - Gerrym. Dziadek Brady wiedział, że oni zamierzają uciec i starał się przekonać Gerry'ego, żeby tego nie robił. Zapytał go, co za kobieta zadawałaby się z kuzynem męża, mając szóstkę dzieci i w ogóle. Dziadek Brady nie mógł powiedzieć tacie zbyt wiele; właściwie wszystko, co wiedział, to że ci dwoje uciekli do Szkocji.

- Przykro mi, synu - powiedział. - Gdybym mógł cokolwiek zrobić, żeby ją sprowadzić z powrotem, uczyniłbym to.

Tata wstał. Nie miał ochoty na herbatę, chciał tylko wyjść.

Kiedy dziadek Brady odprowadzał nas do drzwi, poklepał tatę po plecach i rzekł: - Dużo czasu upłynie, zanim znowu przyjmę Gerry'ego pod swój dach.

Kiedy wróciliśmy, w mieszkaniu było zimno i pusto. Chłopcy wciąż przebywali u sąsiadów. Tata zapalił ogień na małej kratce w salonie i żeby

go podtrzymać, podarł to, co zostało z linoleum. Płomienie rzucały ponure cienie na puste ściany. Siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na ogień, każde z nas pogrążone w swojej własnej niedoli. Tatuś nie jadł przez cały dzień, więc znalazłam kawałek świątecznego puddingu i dałam mu, ale on nie chciał go tknąć. Trudno było uwierzyć, że ledwie wczoraj to mama podawała pudding po obiedzie i wszyscy klaskaliśmy i śmialiśmy się, kiedy postawiła go na ogniu i przyniosła do pokoju.

Tata poszedł do siebie, przyniósł trzy puszki po herbatnikach i postawił je przy ogniu. Podniósł pokrywkę jednej z puszek i wtedy zobaczyłam, że w środku jest pełno zdjęć naszej rodziny.

Tatuś robił dużo zdjęć. Sam je wywoływał, a za ciemnię służyła mu łazienka. Miał tam czerwoną żarówkę i wieszał zdjęcia nad wanną. Często widziałam, jak chłopcy stoją pod drzwiami łazienki ze ściśniętymi nogami, podskakując i krzycząc, że muszą do ubikacji. A tata odkrzykiwał: - Nie otwierać drzwi!

Teraz przyglądałam mu się, jak opróżnia puszki po herbatnikach, układając na podłodze trzy kupki. Nie wierzyłam własnym oczom. Wziął wielkie nożyczki, podnosił po kolei każde zdjęcie, szybkim ruchem wycinał mamę i ten fragment z nią wrzucał do ognia. Za każdym razem, kiedy dawał kawałek do ognia, płomienie robiły się takie śliczne, niebiesko-żółte. Zobaczyłam, że jedna duża fotografia leży z dala od kupki i podniosłam ją. Na niej byli mama i tata. Obejmowali się i patrzyli na mnie radośnie. Mama wyglądała ślicznie. Miała na głowie wielki kapelusz i kwiatki w klapie żakietu. W klapie tatusia był biały goździk.

- Mogę to zatrzymać? - zapytałam. - Mama jest tutaj taka śliczna, chcę pamiętać, jak wyglądała.

- Nie - odparł - nie możesz!

Wyrwał mi zdjęcie. Patrzył na nie długo. Potem cały zaczął się trząść i łzy popłynęły mu po policzkach. Wtedy po raz pierwszy widziałam, jak płacze. Bez słowa zaczął wycinać mamę także z tego zdjęcia i wrzucił jej drobną postać do ognia. Skuliłam się na krześle, przyciskając kolana do piersi.

- Czy mama umarła? - wyszeptałam.

Tata nie odpowiedział natychmiast. Prawdopodobnie zapomniał, że tam jestem. Potem spojrzał na mnie skuloną na krześle, pochylił się i posadził mnie na swoich kolanach. Przytulając mnie mocno, szepnął mi do ucha: - Nie, maleńka, ona nie umarła, ale równie dobrze mogłaby umrzeć.

Przerwał, bo znowu zaczął płakać.

Później powiedział jeszcze: -Zapomnij o niej. Nigdy już jej nie zobaczymy.

Potem już nie płakał po mamie i nigdy nie słyszałam, żeby o niej mówił, poza tym że zabiłby ją, gdyby ją jeszcze kiedykolwiek zobaczył.

Następnego ranka tata poszedł na posterunek policji na Pearse Street. Nie był tam od dnia, kiedy brał udział w konfrontacji. Zapłacili mu pięć

szylingów, żeby stał w szeregu w fałszywych okularach. Mężczyzna, którego obrabowano, szedł wzdłuż linii i w końcu zatrzymał się przy tacie.

- To ten człowiek - oznajmił, wskazując go. - Jestem tego pewien!

Tata się przestraszył, ale policjant uznał, że to zabawne.

Przed budynkiem wahaliśmy się przez chwilę. Był taki wielki, że nawet tatuś wyglądał przy nim na małego. W środku znaleźliśmy chudego, лыsego policjanta, który pisał coś przy biurku. Tata wyjaśnił mi, że mama zaginęła i że nie wie, gdzie ona jest.

- Mam sześcioro dzieci - powiedział. - Musicie pomóc mi ją znaleźć.

Policjant podniósł wzrok znad swojego dziennika. - To nie jest sprawa policji. Idź i poszukaj gościa od przemocy². - Wskazał ołówkiem drzwi. - Molesworth Street.

Kiedy przechodziliśmy przez drzwi, tata rzucił przez ramię: - Dzięki, cholera, za pomoc, ty nadęty dupku.

Wyszliśmy na zewnątrz, minęliśmy front Trinity College, wysokie łuki Provost House, wielkie budynki, o których tata powiedział, że są jedyną dobrą rzeczą „po tych łajdakach Anglikach”. Na Molesworth Street znaleźliśmy zielone drzwi, prowadzące na wąskie, drewniane schody. Kiedy dotarliśmy na piętro, tata zatrzymał się, patrząc na drzwi opatrzone napisem PUKAĆ i CZEKAĆ. Powyżej widniały litery NSPCC wyryte na błyszczącej, mosiężnej tabliczce. To tu pracował „gość od przemocy”.

Tata wziął głęboki oddech i zastosował się do instrukcji. Inspektor, który podszedł do drzwi, był wielkim, ciężkim człowiekiem o rumianej twarzy. Rozpoznał nas natychmiast i my też go pamiętaliśmy. To był pan Wogan, który przyszedł do naszego domu, po tym jak Dermot się spalił. Usiadł za wielkim, obitym zieloną skórą biurkiem i poprosił, żebyśmy my też usiedli. Wyglądał na zaskoczonego. Nieczęsto przyjmował mężczyzn w swoim biurze. Zazwyczaj, jak mówił, jego klientkami były kobiety, które nie mogły zadbać o swoje potomstwo po tym, jak ich mężowie wyjechali do Anglii, by zarobić przyzwoite pieniądze, i wszelki ślad po nich zaginął. Niektórzy przysyłali funty angielskie bez żadnego listu. Większość mężczyzn nie wracała i często ich dzieci kończyły w szkole industrialnej.

Kiedy pan Wogan mówił, ja wyglądałam przez wielkie okno na Mansion House, i myślałam, jaki jest piękny i wielki w porównaniu z Fatima Mansions. Tata usiadł na skraju drewnianego krzesła, obracając w rękach swój filcowy kapelusz. Kiedy pan Wogan zamilkł, tata wyjaśnił, że żona uciekła z jego kuzynem do Szkocji i że on nie ma powodu wierzyć w jej powrót.

- Nie chcę, żeby ta pieprzona dziwka wracała - powiedział - ale mam szóstkę dzieci na utrzymaniu.

Byłam wstrząśnięta, że tata tak mówił o mamie, ale bardziej zastanawiałam się nad tym, jakie to dziwne, że chociaż Fatima Mansions i Mansion House tak się różnią, tak samo się nazywają.

- Nie mam pracy ani pieniędzy, więc proszę pana o radę. Co powinienem teraz zrobić?

Tata miał nadzieję zacząć pracę dla Korporacji pod koniec stycznia, ale teraz, kiedy mama odeszła, musiał się nimi zajmować i nie mógłby pracować. Pan Wogan uśmiechnął się uprzejmie i poczęstował tatę sweet aftonem. Powiedział, że jest pewien, iż mama wróci do domu, kiedy się trochę wyszaleje. Przecież żadna matka nie zostawiłaby swoich dzieci na długo? W każdym razie on żadnej takiej nie znał.

- Ma pan kogokolwiek, kto mógłby panu pomóc? - zapytał pan Wogan.
- Matkę? Siostry?

Tata pokręcił głową. - Nikogo.

Powiedział panu Woganowi, że jego mama umarła, kiedy miał trzynaście lat, a siostra Margaret niedługo potem na zapalenie opon mózgowych. Jego jedyna pozostała siostra, Annie, też umarła, cztery lata temu na gruźlicę.

- Sprzedawała pachnące mydło tym brudasom w posiadłościach ziemskich - wyjaśnił.

Mąż Annie, Milo, poszedł do więzienia. Milo był skarbnikiem związku malarzy i został aresztowany za kradzież funduszy związku. Tata nie mógł mu wybaczyć, że zostawił Annie samą z małym synkiem.

Pan Wogan połączył czubki palców i postukał się po brodzie.

- Na pewno kogoś pan ma - stwierdził. - A co z rodziną pańskiej żony?

- Nigdy! - krzyknął tata, zrywając się z krzesła.

Pan Wogan wstał i wyciągnął rękę, żeby uspokoić tatę.

- W porządku - powiedział. - Tak tylko się zastanawiałem. - Gestem poprosił tatę, by usiadł z powrotem, po czym znowu poczęstował go papierosem.

- Myślał pan o długoterminowej opiece dla dzieci? - zapytał.

Tata nie odpowiedział. Pan Wogan zapalił papierosa i wyjrzał przez okno w zamyśleniu. - Jeśli pańska żona nie wróci - rzekł w końcu - myślę, że będziemy musieli oddać dzieci do szkoły industrialnej.

Tatusz do tej pory chodził w tę i z powrotem przed biurkiem pana Wogana. Teraz zatrzymał się i odwrócił gwałtownie na pięcie.

- Nie przyjmę jej z powrotem, nawet jeśli sam Jezus mnie

to poprosi! - rzucił. Zgasił papierosa w ciężkiej popielniczce i zaczął znowu chodzić, mamrocząc: - Biedne dzieciaki, biedne dzieciaki.

Nie miał pieniędzy, żeby zapłacić opiekunce, a jedyną krewną oprócz rodziny mamy była ciocia Agnes. Ale ciocia Agnes to mama Gerry'ego, który uciekł z moją mamą i nie było mowy, żeby tata poprosił o pomoc ciocię Agnes.

- Więc - powiedział znużony - trzeba będzie do tych szkół. Ale tylko dopóki się nie zbiorę do kupy.

Pan Wogan patrzył na mojego tatę z żalnością, ale spróbował się uśmiechnąć.

- Cóż - stwierdził - najpierw sprawy najważniejsze. Przerwiemy siostrom modły. Umówię je, żeby wpadły do was jutro rano i one zadbają o dzieci, póki nie ustalimy nic konkretnego.

Wyjął jakieś oficjalne dokumenty, a tata je podpisał.

Kiedy opuściliśmy biuro, tata wsadził mnie do autobusu powiedział, że mam iść do pani Sullivan, która da mi jakiś obiad. Obiecał, że wróci nie długo.

- Wysyłasz mnie do magdalenek, tato?

Poklepał mnie po głowie i spojrzał mi prosto w oczy.

- Nie martw się o siebie - powiedział. - Idź zadbać o chłopców!

Autobus odjechał, i tata został sam na chodniku.

Tego popołudnia tata - jak wyjawiał mi po latach - wałęsał się bez celu, w zimnym północnym wietrze. Nie był ani trochę pobożny, ale rozmawiał z Bogiem, błagając o pomoc. Miał w kieszeni pół korony, wszystko, co zostało ze świąt. Pieniądzy z pomocy społecznej spodziewał się dopiero za trzy dni. Stojąc przed Mulliganem na Poolberg Street, usłyszał ze środka śmiech i odgłosy uciechy. Pchnął drzwi ramieniem i dopóki wystarczyło półkoronówki, odkładał na bok troski. Grał na pianinie i śpiewał.

Następnego ranka, tuż po siódmej na nasze mieszkanie spadły siostry miłosierdzia.

- Jak stado wron, cholera - mruknął tata. A do zakonnic powiedział: - Dziękujemy siostram. Ja muszę iść i szukać pracy, wrócę po obiedzie.

Tatuś tylko tak mówił. Nie mógł szukać pracy, nie było jeszcze nawet nowego roku. Chodził do pubu, by zejść siostram z drogi. Noel i Maurice próbowali wyśliznąć się za nim z pokoju, ale jedna z sióstr zaciągnęła ich z powrotem.

- Nigdzie me pójdziecie, jeno do wanny, chłopaczki - zaśmiała się.

Schowałam się pod kocem z Johnem i Kevinem, ale siostry nas znalazły. Wyszorowały całą naszą piątkę Lifebuoyem, aż się świeciliśmy na różowo, a potem wzięły się za mieszkanie. Wyglądały ponuro i zdecydowanie, a kiedy sprzątały, odmawiały wiele modlitw i wzywały nieustannie Matkę Boską i wszystkich świętych, których mogły wymyślić. Po tym całym sprzątaniu wszyscy zasiedliśmy do czystego stołu i zjedliśmy gorący gulasz i świeżo upieczony chleb. Przez następne kilka tygodni codziennie odwiedzały nas dwie siostry z jedzeniem, ubraniami i czystą pościelą. Każdego wieczoru modliłam się, żeby Bóg przysłał mamę z powrotem, ale nigdy nie powiedziałam tacie o tych modlitwach.

Była niedziela wieczór i wszyscy oprócz Dermota, który wciąż był w szpitalu, leżeliśmy w wielkim łóżku. Tatuś klęczał na podłodze obok nas. Śpiewaliśmy swoje piosenki, a on opowiadał nam historie, które jemu opowiadała mama, gdy był chłopcem. Wiedział, że to ostatni wspólnie spędzony wieczór.

dzony wieczór. Kiedy zaczęliśmy zasypiać, tata pocałował po kolei każde z nas w głowę i na palcach wyszedł z pokoju. Nie zasnęłam od razu i słyszałam go jeszcze. Siedział w ciemnym salonie i płakał.

Następnego ranka siostry przybyły wcześniej z nowymi ubraniami dla nas wszystkich. Ja dostałam nowe buty, i wszyscy chłopcy też. Maszerowali dookoła stołu, wymachując ramionami jak żołnierze, a ich miarowy krok wprawiał meble w drzenie.

Ramię przy ramieniu

Siłą stoimy pospołu,

By odpowiedzieć na Irlandii zew.

Tata pozwolił im tak chodzić i śpiewać głośno, i tupać, póki pani Flynn z dołu nie zapukała w sufit, krzycząc: - Jezusie, Dessie, może dasz nam trochę spokoju!

Wtedy tatuś położył palec na ustach i szepnął „ćśśś” do chłopców. Uśmiechał się, wiedziałam więc, że nie jest zły, ale i tak nie dołączyłam się do zabawy. Dzisiaj miało się coś wydarzyć i bałam się tego.

Kiedy nadszedł czas wyjścia, zeszlismy za tatą ze schodów. On niósł Johna i Kevina. Sąsiedzi stali na ulicy. Niektórzy płakali, część się modliła, a większość się żegnała. Mężczyźni poklepywali tatę po ramieniu.

- Głowa do góry, Dessie - mówili - niedługo ściągniesz je z powrotem do domu.

- Niech Bóg błogosławi te biedne, małe niewiniątka - krzyknęła jakaś kobieta.

Tata wsadził nas wszystkich do austina. Fatima Mansions zobaczyłam dopiero po wielu latach.

Siedziałam na jednej z długich, drewnianych ławek, stojących pod trzema ścianami pustej poczekalni Sądu Rodzinnego, przytulając Johna i Kevina. Tatuś powiedział nam, że niedługo wróci, a my siedzieliśmy spokojnie i cicho, czekając na niego. Wielki, zabawny mężczyzna w mundurze próbował nas rozśmieszyć. To był woźny. Wyciągnął zza ucha dwie monety szylingowe, a Noel i Maurice patrzyli na to jak na czary. Noel wspiął się na ławkę obok mężczyzny i odgiął jego uszy, szukając następnych monet. Woźny się roześmiał.

- Nie ma ich tam, mały ludziku, ale może są tutaj!

Teraz wyciągnął sześciopensówkę zza ucha Noela. Mój

brat był nowym bohaterem. Woźny podszedł do mnie. Przykucnął i próbował mnie rozśmieszyć, ale ja nawet się nie uśmiechnęłam.

- Gdzie jest mój tata? - zapytałam go.

Mimo że nie rozumiałam, co się dzieje, wiedziałam bardzo dobrze, że nie wracamy do domu. Miły pan spojrział na mnie ze smutną twarzą.

- Hej, mała- rzekł - uśmiechnij się do nas, choćby odrobinę. - Połaskotał mnie pod brodą. Podobał mi się, ale nie mogłam się uśmiechnąć.

- Powiem ci, co zrobię - powiedział. - Pójdę i dowiem się, co się dzieje, i poszukam jakiejś butelki lemoniady. Co ty na to?

Skinęłam głową na znak, że dziękuję. Nie mogłam wtedy mówić, bo zbierało mi się na płacz, a wołałam nie płakać. Chciałam być dzielna dla swoich braci. Woźny podniósł się z wielkim trudem i podszedł do drzwi.

- Teraz bądźcie grzeczni - powiedział - a ja zobaczę, czy uda mi się znaleźć słodczyce dla nas wszystkich.

Wyszedł, a kiedy zamknął za sobą drzwi, usłyszałam klucz obracający się w zamku. Postawiłam Johna i Kevina na podłodze, podbiegłam do drzwi i spróbowałam je otworzyć. Zaczęłam w nie kopać i wołać tatę. Wszyscy chłopcy zebrali się dookoła mnie i płacząc, ciągnęli za moją sukienkę.

Wtedy usłyszałam tatę. Wrzeszczał na kogoś na korytarzu. - Otwierajcie te pieprzone drzwi, łajdaki!

Zaczął kopać drzwi. Próbowałam je otworzyć, ciągnąc od środka i wszyscy krzyczeliśmy i płakaliśmy jeszcze głośniejszym głosem, wołając tatę. Pomyślałam, że jeśli nie otworzymy szybko drzwi, mężczyźni zmuszą tatę, żeby odszedł i już nigdy go nie zobaczę.

Potem wszystko na korytarzu ucichło, a ja uciszyłam braci. Słyszałam, jak pan Wogan z NSPCC mówi: - Desmondzie, tak nie pomagasz dzieciom. Postaraj się im to ułatwić.

Drzwi otworzyły się nagle i pomieszczenie wypełniło się ludźmi. Obok pana Wogana stała zakonnica w wielkim, skrzydlatym kornecie, był tam

także jeszcze jeden woźny w mundurze, razem ze śmiesznym panem, który robił sztuczki z monetami.

I był tam Dermot! Tata go trzymał. Maluch wciąż miał bandażę na ramionkach, ale urósł od czasu, kiedy go ostatni raz widziałam. Tatuś podał mi go, a sam podniósł Kevina i uściśnął go mocno. Po twarzy tatusia płynęły łzy. Zakonnica zabrała Kevina z rąk taty, który wziął z powrotem Dermota i podał go panu Woganowi. To wszystko było bardzo zagmatwane, ale wtedy zrozumiałam od razu, co się dzieje. Ci ludzie zabierali moich dwóch najmłodszych braciszków. Chwyciłam pana Wogana za nogawkę i krzyknęłam:

- Nie możecie zabrać maluchów!

Tata podniósł mnie i przytulił mocno. Pozostali trzej chłopcy przyłgnęli do jego nóg. Wszyscy płakaliśmy, zakonnica też, i nawet mężczyźni byli we łzach. Zabawny pan wydmuchał bardzo głośno nos i powiedział nie wiadomo do kogo: - Czy ta kobieta kiedykolwiek się dowie, ile bólu im dzisiaj sprawiła?

Jeden z mężczyzn zdołał oderwać chłopców od taty. Tatuś odstawił mnie, wziął za rękę i wyszliśmy za oficerem sądowym i moimi braćmi. Przed sądem czekał ogromny, czarny samochód. Pan Wogan zaprowadził do niego moich braci. Tata puścił moją rękę i podbiegł do nich. Ukląkł na chodniku i przytulił wszystkich razem. Znowu płakał i chłopcy też. Pan Wogan położył dłoń tacie na ramieniu.

- Dalej, Des - powiedział - pomóż im.

Tata wstał i westchnął głęboko.

- Patrzcie, chłopcy! - rzekł, próbując obrócić to wszystko w wielką przygodę. - Zupełnie jak samochód Ala Capone, ależ macie szczęście. Jedźcie i nie próbujcie zastrzelić sióstr w Kilkenny. - Potem ucałował ich jednego po drugim i wsadził do samochodu.

Tata i ja staliśmy na chodniku, patrząc, jak czarny samochód odjeżdża cicho. Chłopcy nam machali. Widziałam przez tylną szybę ich maleńkie, przerażone twarze. Nawet kiedy samochód zniknął, nie ruszyliśmy się z miejsca. Myślałam, że to może pomyłka i samochód za chwilę wróci. Ale w końcu tata mnie stamtąd zabrał.

Kiedy wsiedliśmy do naszego auta, powiedział, że zabiera mnie do klasztoru w High Park. Przez całą krótką podróż nie odezwał się ani słowem, a ja, jadąc na siedzeniu obok kierowcy, starałam się być jak najmniej. Wkrótce zatrzymaliśmy się przed jakąś wielką, czarną, żelazną bramą, prowadzącą na długi, żwirowy podjazd. Wyciągnęłam szyję, żeby zobaczyć więcej. Po obu stronach podjazdu były piękne, schludne trawniki i małe wysepki klombów, a na końcu znajdowała się szkoła, przylegająca do kaplicy. Po drugiej stronie kaplicy stał jeszcze jeden budynek z czerwonej cegły, z kratami w oknach, jak więzienie obok domu dziadka na Innisfallen Parade. Wtedy tego jeszcze nie wiedziałam, ale to było więzienie kobiece, w budynku za nim natomiast mieścił się „szpital dla psychicznie chorych”.

Koła samochodu zachrzęściły na czerwonym żwirze, kiedy tata zatrzymał się przed dwuskrzydłowymi drzwiami szkoły. Zaczęłam się trząść i skuliłam się na siedzeniu tak mocno, że zamieniłam się w kuleczkę.

- Chodź, malutka - poprosił tata - nie pokazujmy im, że się boisz.

Wysiadł z samochodu i otworzył moje drzwiczki, ale powiedziałam, że nie wyjdę, i błagałam go, żeby mnie do tego nie zmuszał.

Sięgnął do samochodu, podniósł mnie i postawił na nogi. Potem poprawił sobie krawat, odchrząknął i chwyciwszy mnie mocno za rękę, zaprowadził do drzwi. Pociągnął za łańcuch na ścianie i gdzieś w oddali usłyszałam dzwonek.

Ubrana całkiem na biało zakonnica otworzyła wielkie drzwi i uśmiechnęła się do nas. Wiedziała, kim jesteśmy.

- Pan na pewno nazywa się Doyle, a ty jesteś Evelyn - powiedziała. - Proszę za mną.

W środku pochyliła głowę i poprowadziła nas długim korytarzem. Po obu jego stronach stały na postumentach figury świętych naturalnej wielkości. Odgłos naszych kroków na kamiennej posadzce odbijał się echem wokół naszych głów. W końcu doszliśmy do wielkiego pomieszczenia na końcu korytarza i zakonnica poleciła nam usiąść.

-Wielebna matka wkrótce przybędzie - powiedziała i zostawiła nas samych.

Całą jedną ścianę pokoju zajmowały okna, sięgające od sufitu do podłogi. Tę zaś tak wypolerowano, że można się było w niej przejrzeć, jakby się stało nad wodą. Słabe styczniowe słońce wpadało przez okna szerokimi snopami. Wszystko to sprawiało niezwykłe wrażenie i przypomniało mi obraz, który kiedyś widziałam, z bardzo starego balu, gdzie damy nosiły suknie o ogromnych spódnicach, a mężczyźni czerwono-złote mundury wojskowe. Przez głowę przemknął mi walc *Nad pięknym modrym Dunajem*. Znałam ten utwór, ponieważ tata grał go często na pianinie w swoim specjalnym pokoju, a ja czasami siadałam i słuchałam.

- Uważaj, Evelyn!

Zakonnica o surowym wyglądzie dwa razy klasnęła w dłonie, kiedy mnie besztła. Podbiegłam do taty i przylgnęłam do jego nogi.

- Byłoby dla niej lepiej, gdyby pan szybko odjechał, panie Doyle - powiedziała zakonnica.

Tatusz przyklęknął na jedno kolano i przytrzymał mnie na odległość ramienia.

- Malutka, muszę już pójść. Ale przyjadę wkrótce, zabierzemy chłopców i znowu wszyscy zamieszkamy razem. Bądź dobrą dziewczynką - wyszeptał. Powiedział, że mnie kocha i że nie zostawi mnie ani trochę dłużej, niż będzie musiał. - Obiecuję.

Potem wstał i zwrócił się do zakonnicy: - Nie obcinajcie jej włosów, słyszy siostra?

Chciałam iść za nim do drzwi, płakałam, żeby nie odchodził, ale siostra złapała mnie i przytrzymała. Tata nie odwrócił się, kiedy opuszczał pokój, ale widziałam, że drżą mu ramiona i wiedziałam, że znowu płacze.

Zostałam sama. Siostra chwyciła mnie za nadgarstek i pociągnęła za sobą, recytując mi regulamin i szarpiąc mnie przy tym.

- I do wszystkich sióstr masz mówić „matko” - dodała.

Przekazała mnie dwóm zakonnicom, noszącym śnieżnobiałe fartuchy, które całkowicie zakrywały ich habity.

Matka Imelda i matka Bernadette szerokimi, drewnianymi schodami zaprowadziły mnie na górę do dormitorium. Nie widziałam tak ogromnego pomieszczenia od dnia, kiedy byłam na kąpieli przy Bride Street. Wzdłuż dwóch przeciwległych ścian stały rzędy wąskich, metalowych łóżek, a pomiędzy nimi długi stół. Na nim znajdowała się wielka, emaliowana umywalka, a naprzeciwko każdego łóżka szklanka, szczoteczka do zębów i złożony ręcznik. Na podłodze leżało lśniące, czerwone linoleum. Wszystko to przyprawiło mnie o drżenie. Przypominała mi się sala szpitalna, w której leżałam, kiedy miałam szkarlatynę.

- Będziesz spała tutaj - matka Imelda wskazała łóżko stojące najbliżej drzwi.

Wręczyła mi długi szlafrok z tego samego materiału, co ręczniki i powiedziała, że mam pójść do łazienki i zdjąć ubranie. Wyglądało na to, że za każdym razem, kiedy widzę zakonnicę albo pielęgniarkę, muszę się rozbiierać. Tym razem odmówiłam. Kiedy dwie zakonnice nie zdołały mnie prze-

konać, bym wykonała ich polecenie, jedna z nich weszła do łazienki. Słyszałam płynącą wodę. Och nie, pomyślałam. Zastanawiałam się, czy moi bracia też się kąpią, i przez chwilę poczułam się szczęśliwa, wyobrażając sobie, jaki sprawiają kłopot siostrze w Kilkenny. Zaciągnęły mnie do łazienki i rozebrały. Woda była za gorąca, więc wyłam, ale one zawzięcie mnie szorowały.

- Czystość jest następna po Pobożności - stwierdziła matka Imelda, a ja pomyślałam, że jeśli to prawda, to moi bracia i ja musimy być bardzo daleko od Boga.

Kiedy kąpiel dobiegła końca, matka Imelda wręczyła mi stos ubrań i powiedziała, że zaczeka za drzwiami.

- Na wypadek gdybyś nie mogła sobie poradzić - dodała.

Rozłożyłam ubrania na ławce w łazience. Rozpoznałam podkoszulek i majty do kolan, ale cóż to było, na miłość boską? Jakby bardzo krótki żakiet bez rękawów, zrobiony z szorstkiego, wełnianego materiału w kolorze kremowym. Z przodu od góry do dołu miało gumowe guziki. Zdecydowałam się zostawić to na koniec. Włożyłam czarną sukienkę z żółtym stanikiem, długie, grube, brązowe pończochy i buty z metalowymi zelówkami. Potem, na to wszystko, włożyłam tę wełnianą rzecz i zapięłam ją po szyję. Kiedy zaprezentowałam się dwóm zakonnicom, obie przyłożyły dłonie do ust.

- Och, dziecko! - krzyknęła matka Imelda.

Próbowaly się nie roześmiać, muszę przyznać, a ja zdenerwowałam się na nie i domagałam się wyjaśnienia, co je tak śmieszy. Matka Bernadette uklękła przede mną i zaczęła rozwiązywać zakiet. Teraz już śmiała się głośno.

- Evelyn, to jest koszula i wkładasz ją na podkoszulek, moja droga, nie na sukienkę. Pomaga utrzymać w cieple klatkę piersiową - wyjaśniła.

Poprawiły mój strój i zaprowadziły mnie z powrotem na dół schodami i innym korytarzem, póki się nie zatrzymałyśmy pod drzwiami. Po drugiej stronie słyszałam śmiechy, rozmowy dziewcząt i stukanie naczyń. Matka Bernadette otworzyła drzwi i dwukrotnie klasnęła w dłonie. Natychmiast zapadła cisza. Znajdowałyśmy się w refektarzu. Stały tu długie, nagie, drewniane stoły, które po każdej stronie miały ławki. Wydawało mi się, że w pomieszczeniu są setki dziewczynek. Każda z nich była ubrana dokładnie tak jak ja. Wszystkie miały włosy obcięte na pazia, z wyjątkiem jednej czy dwóch, które nie miały włosów wcale. Na stołach stały wielkie, białe, emaliowane dzbany z dymiącym kakao i talerze z kromkami chleba z masłem. Dziewczynki odwróciły się wszystkie naraz, żeby na mnie spojrzeć, a ja się przestraszyłam i zrobiło mi się niedobrze.

- Siobhan O'Neill! - zawołała matka Imelda.

Od jednego ze stołów wstała dziewczynka mniej więcej czternastoletnia i szybko do nas podeszła.

- Zajmiesz się Evelyn - poleciła matka Imelda. - Ona jest u nas nowa, a ty powiesz jej, co ma robić, i upewnisz się, że właściwie rozumie cały regulamin.

Popchnęła mnie lekko w stronę Siobhan.

Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie; od razu ją polubiłam. Miała bardzo białą skórę, bardzo niebieskie oczy i lśniące, czarne jak smoła włosy. Zaprowadziła mnie do swojego stołu i powiedziała innym, by się ścięsnili i zrobili dla mnie miejsce. Wszystkie się jej posłuchały. Nalała kakao do jednego z emaliowanych kubków i podała mi go.

- Nie lubię kakao - powiedziałam - chcę herbaty.

Niektóre dziewczynki przy stole zachichotały, ale

Siobhan je uciszyła.

- Dostajemy herbatę tylko na śniadanie - wyjaśniła - ale spróbuję się wystarać o trochę mleka.

Rozplakałam się. Nie podobało mi się to miejsce, gdzie nie można było dostać nawet kubka herbaty. Siobhan zapewniła mnie, że się do tego przyzwyczaję. Powiedziała, że kiedy siostry nie patrzą, można nawet trochę narozrabiać.

Reszty popołudnia nie pamiętam. Wszyscy dookoła się spieszyli, jakby mieli coś ważnego do zrobienia. Trzymałam się blisko Siobhan, póki nie nadszedł czas udać się do wielkiego pokoju, tego, w którym po raz ostatni widziałam tatę. Wszystkie ukłękłyśmy w rzędach na nagiej podłodze, a sio-

stra o srogiej twarzy poprowadziła różaniec. Kolana mnie bolały i wydawało mi się, że różaniec ciągnie się w nieskończoność.

Kiedy wreszcie nadszedł czas pójścia do łóżek, Siobhan pokazała mi, która z misek na wielkim stole jest moja i jak wszystkie musimy po kolei napełniać miski gorącą wodą z dzbanów, stojących rzędem w łazience. Na moim łóżku leżała długa, biała, flanelowa koszula nocna. Nigdy wcześniej nie widziałam koszuli nocnej, a jak zapytałam, do czego to służy, niektóre dziewczynki się roześmiały. Kiedy już wszystkie byłyśmy w koszulach i klęczałyśmy obok swoich łóżek, odmawiając pacierz, matka Bernadette weszła sprawdzić porządek w dormitorium.

- Niech Bóg błogosławi nasze mamy i naszych tatów, braci i siostry.

Te słowa przypomniały mi, dlaczego tu jestem i zaczęłam płakać, ale tylko trochę. Matka Bernadette ułożyła mnie w łóżku i zapewniła, że wszystko będzie dobrze. Powiedziała, że Bóg będzie czuwał nad moimi braćmi i nad tatą.

Byłam umyta i najedzona, było mi ciepło, ale pragnęłam znaleźć się z powrotem w mieszkaniu w Fatima Mansions. Chciałam, żeby byli przy mnie moi mali braciszczkowie. Leżałam na brzuchu, myśląc o nich i płacząc w poduszkę, kiedy ktoś zdarł ze mnie kołdrę. Nade mną stała jakaś obca zakonnica.

- Nie sypiamy w tej odrażającej pozycji! - zagrzmiała.

Bardzo brutalnie odwróciła mnie na plecy, skrzyżowała mi ręce na piersi i powiedziała: - Tak oto śpimy, aby nie kusić szatana!

Z tymi słowy narzuciła na mnie kołdrę i tak zostawiła, przerażoną.

Jak szatan mógłby się przemknąć przez te wszystkie zakonnice, zastanawiałam się. Jak miałam go kusić, nie leżąc na plecach? Przecież wszystkie się modliłyśmy od chwili, kiedy tu trafiłyśmy. Modlitwa przed i po herbacie, różaniec przed pójściem spać i jeszcze pacierz tuż przed położeniem się do łóżka. Diabeł na pewno nie był tu mile widziany.

Kiedy w końcu zasnęłam, śnił mi się diabeł i biedny Rex, i mama, jak odchodzi, i jak biegnie drogą coraz dalej i dalej.

Pierwszego wieczoru po tym jak nas oddał, tata nie wrócił od razu do domu. Nie mógł znieść tego, że jest sam, więc poszedł do dziadka. Tata miał na świecie tylko dziadka. Kiedy był młody, dziadek posłał go do szkoły muzycznej. Najstarsza siostra taty, Margaret, była pianistką koncertową, a sam dziadek przez ponad trzydzieści lat grał pierwszą wiolonczelę w orkiestrze Gaiety Theatre. Ale tata zostawił szkołę, kiedy zaproponowano mu terminowanie na malarza i dekoratora w firmie Michaela Feeneya. Dziadek próbował go przekonać, żeby kontynuował naukę muzyki, ale tata chciał jak najszybciej zarabiać pieniądze. I wtedy poznał mamę.

Teraz dziadek stał, patrząc na tatę, i nie wiedział, jak ulżyć mu w cierpieniu, zresztą jego też bolało serce.

Babcia Doyle umarła, kiedy tata miał trzynaście lat. Dziadek wyrzeźbił jej popiersie na nagrobek z wielkiego kamienia, który wziął z ukochanego ogrodu babci. Urzędnik na cmentarzu powiedział, że popiersie jest nie-

zgodne z przepisami. Nie- zniechęcony dziadek wyciągnął tatę z łóżka w środku nocy, razem załadowali kamień na wózek i wepchnęli go na cmentarz. Przeskoczyli ogrodzenie i przetargali przez nie popiersie, które ważyło jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt funtów. Postawili je na grobie babci Doyle i dziadek nigdy już nie poszedł na cmentarz. Ufał, że jego żona w spokoju przebywa w niebie.

Po śmierci swojej mamy tatuś chował się sam. Dziadek, chociaż był dziwakiem, chciał spokojnego życia, i uznał, że z trudem przyjdzie mu dbać o dorastającego chłopca. W końcu on i tatuś dali sobie radę, częściowo dzięki temu, że nauczyli się schodzić sobie z drogi.

Teraz dziadek chciał spokojnej starości. Patrzył na swojego syna i westchnął. Zacytował Szekspira:

Żal mąci godziny spoczynku

I myli czas;

Z nocy czyni poranek i z południa noc.*³

Dziadek zawsze cytował literaturę. Czasami tłumaczył wersy Szekspira na irlandzki, często z interesującymi rezultatami. Poklepał tatę po ramieniu i powiedział: - Proszę, Dessie. Idź, napij się i odpręż trochę.

Dał tacie monetę dziesięcioszylingową, a tata odwrócił się na pięcie i poszedł szukać cichego pubu, gdzie mógłby zapomnieć o swoim cierpieniu.

Kilka godzin później wczołgał się po schodach do domu. Było już dobrze po północy. Znalazł "w pubie kompanów i zaczął od rumu. Był to je-

dyny trunek, który mógł zwalić go z nóg, więc z zasady go nie ruszał. Ale tego wieczoru zrobił wyjątek. W mieszkaniu padł na wielkie łóżko i po raz pierwszy od tygodni spał mocno.

Kiedy się obudzi! następnego ranka, był zmarznięty i miał zamęt w głowie; przez kilka sekund zastanawia! się, czy śnił mu się jakiś koszmar. Nastawi! czajnik i zapalił papierosa. Zrobił herbatę w słoiku po dżemie. Ogolił się i umył. Potem wyciągnął spod łóżka sponiewieraną walizkę dziadka i wrzucił do niej wszystkie ubrania, jakie miał, wszystkie ocalałe zdjęcia i świadectwa urodzenia każdego z nas. Zapakował też swój biały kombinezon i płócienną torbę, w której trzymał pędzle i narzędzia malarzkie, po czym przewiązał walizkę sznurkiem. Rzeczy ze swojego specjalnego pokoju, razem z pociągiem Hornby, który przyniósł chłopcom Mikołaj, poukładał w pudełkach. Potem wsadził to wszystko do bagażnika czarnego austina.

Zanim odjechał, poszedł do mieszkania pani Sullivan. Wpuściła go do środka, poklepując dobrodusznie swoje potomstwo starym kapciem, kiedy prowadziła tatę korytarzem.

- Uciekajcie, cholerne zbóje - skrzeczała.

Potem odwróciła się do taty i zapytała: - Mogę w czymś pomóc? – W jej głosie brzmiała troska.

Tata poprosił ją, by wzięła klucze od mieszkania i zaniósł je do Korporacji, powiedział też, że gdyby chciała cokolwiek z mieszkania, może sobie wziąć.

- Może pani dostać kilka szylingów za pianino i za porcelanową ga-
blotkę - powiedział. - Ale większość jest niewiele warta.

Pani Sullivan zaproponowała mu herbatę, ale odmówił.

- Dziękuję pani za wszystko - rzekł tatuś. - Teraz zabieram się z tej
gównianej dziury.

Pożegnali się. Kiedy tata ruszył w kierunku schodów, pani Sullivan
pobłogosławiła go i powiedziała: - Niech cię Bóg prowadzi, mój synu.

- Cóż, ostatnio nie za bardzo się mną przejmował, prawda? - rzucił tata
przez ramię.

Potem pojechał do domu dziadka.

- Wybieram się do Anglii - oznajmił. - Tam jest praca i dobrze płacą.

Podał dziadkowi kawałek papieru. Widniało na nim ogłoszenie, które
wyciął z gazety. POTRZEBNI MALARZE - DOBRA PŁACA. Poniżej
podany był adres w Yorkshire, w Anglii. Kiedy tata patrzył, jak dziadek
czyta ogłoszenie, załamał się. Dziadek stał bezradnie, czekając, aż tata
przestanie płakać. Mimo że był jeszcze ranek, podał mu trochę brandy i
powiedział, żeby się uspokoił. Tacie zrobiło się trochę lepiej, dzięki temu,
że sobie popłakał i dostał brandy, i zapewnił dziadka, że czuje się dobrze.

- Jestem gotów do drogi - powiedział. - Napiszę, gdzie tam dostanę
pracę. Będiesz odwiedzał Evelyn zamiast mnie? Bacz pilnie, jak ona się
tam trzyma.

Dziadek pojechał z tatą na przystań w Dun Laoghaire. Zanim tata wsiadł na statek, uścisnęli sobie ręce i dziadek włożył tacie do kieszeni banknot funtowy. Żaden z nich nic już nie mówił.

Tata przechylił się przez reling statku wypływającego z Dublina. Widział samotną postać dziadka, stojącą z dala od tłumu młodych żon i rodzin, zebranych na nabrzeżu. Tacie zrobiło się smutno na widok tych kobiet na molo. Niektóre z nich miały przy sobie kilkoro małych dzieci. Maluchy nosiły wyświechtane płaszczyki; walczyły z zimnem, żeby zobaczyć, jak ich tatusiowie wyruszają za wodę. Nawet kiedy statek odpływał, tatuś wyobrażał sobie, że jest z powrotem w Dublinie ze swoimi dziećmi.

Stał na pokładzie jeszcze długo po tym, jak Dublin zniknął mu z oczu. Pod pokładem mężczyźni trzymali się swojej kompanii, ale tatuś nie był w towarzyskim nastroju. Wyjął kawałek papieru z ogłoszeniem. Miejsce, do którego zmierzał, nazywało się dokładnie Holmfirth w Yorkshire. Nie miał pojęcia, gdzie jest Yorkshire, nie mówiąc już o Holmfirth.

ROZDZIAŁ 3

TLR



Maurice, Noel i ja podczas kąpieli

Tata był w Anglii przez całą wiosnę i długie lato. Chłopcy nadal przebywali w Kilkenny, a ja w klasztorze. Tata przysyłał listy i paczki, a siostry pozwalały mi zabierać je na plac zabaw, gdzie dookoła mnie gromadziły się inne dziewczynki, piszcząc z podniecenia tak jak ja. Kiedy tata przysyłał lizaki, zawsze było ich tyle, że wystarczało dla innych.

Szybko przyzwyczaiłam się do klasztornej porządku. Zrozumiałam, że najlepiej robić to, co każą, i wmieszać się w tłum. Oprócz matki Paul, lubiłam większość sióstr. Matka Paul prowadziła chór i czasami odmawiała z nami modlitwy. Często besztła mnie za to, że nie chciałam „wychwalać Boga”, i moje kolana były czerwone od krwi od błagania o wybaczenie.

Z terenu klasztoru widziałyśmy zakład karny i szpital psychiatryczny. Razem z klasztorem stanowiły część High Park. Większość z nas przebywała tutaj, ponieważ była sierotami albo dlatego, że ich rodzice nie mieli środków do życia albo porzucili swoje dzieci, i prawie każda miała tu zostać, aż skończy szesnaście lat albo będzie na tyle duża, by podjąć pracę w mieście. Pracowałyśmy w pralni i na farmie, która należała do klasztoru. Niekiedy kobiety z zakładu pracowały w pralni razem z nami i od czasu do czasu udawało nam się rzucić okiem na którąś z „wariatek”, stojących w oknie szpitala. Nie poświęcałyśmy im jednak specjalnej uwagi, po prostu uważałyśmy je za swoje sąsiadki.

Wszystkie dziewczynki w wieku powyżej sześciu lat chodziły do szkoły Lark Hill poza terenem klasztoru. Siostry ustawiały nas w długi ogon i pod ich eskortą szłyśmy przez farmę i ogród, aż do małej, zielonej bramy, prowadzącej na Collins Avenue. Wiele dziewcząt w Lark Hill, tych które

mieszkały w domach, nie zadawało się z nami, tymi z klasztoru. Nasze mundurki były inne, nosiłyśmy zielone płaszcze i czarne, skórzane, nabijane ćwiekami buty, a nasze rodziny, jeśli jakieś w ogóle miałyśmy, zniknęły nie wiadomo gdzie. Przyjaźniłam się z kilkoma dziewczynkami, które nie mieszkały w klasztorze, ale musiałyśmy uważać, żeby nauczyciele się o tym nie dowiedzieli; oni nie aprobowali takich przyjaźni.

Po szkole z ociąganiem wracałyśmy do klasztoru i miałyśmy zajęcia z chóru. Czasami pracowałam na farmie. Pomagałam ubijać masło, gotowałam karmę dla świń i goniłam kurczaki, żeby je wsadzić na noc do kojców. Kiedy nie mogłam ich dopaść, szarpałam się za włosy i krzyczałam z wściekłości.

- Musisz mieć cierpliwość, moje dziecko - mawiała matka Bridget z uśmiechem.

A ja się zastanawiałam, skąd się bierze to coś o nazwie cierpliwość i jak to wygląda.

Lubiłam pracować na farmie, a w nagrodę każdego dnia dostawałam wielki kubek tłustego mleka. Byłabym szczęśliwa, gdybym tak bardzo nie tęskniła za tatą i braćmi. Dziadek przynosił mi wycinane z gazety komiksy, a ja wysyłałam je chłopcom razem z listem. Ale matka Aloysius powiedziała mi, że to nie jest dobry pomysł, bo wtedy tylko ich denerwuję.

- Lepiej zaczekać, aż znowu będziecie wszyscy razem - poradziła.

Każdej niedzieli z Dun Laoghaire przyjeżdżała w odwiedziny babcia i przywoziła mi zielone wstążki do włosów i ćwierć funta herbaty Barry'ego.

Na Dzień Świętego Patryka dała mi piękny bukiet koniczyny. Jej prezenty sprawiały, że czułam się bardzo ważna. Szczególnie uwielbiałam wstążki. Zawsze je nosiłam i przypominały mi o życiu sprzed klasztoru.

Czasami, kiedy babcia przyjeżdżała do klasztoru z herbatą i wstążkami, spotykała tam dziadka - ojca taty. Nie siadali razem, a mnie było trudno podzielić się pomiędzy nich; kochałam ich oboje. Na swoich odzianych w pończochy stopach ślizgałam się po pokoju odwiedzin, od babci do dziadka i z powrotem.

W lecie raz czy dwa razy wielkim autobusem przyjechał Alfie Byrne, burmistrz Dublinu. Siostry zastawiły pralnię koszami z kanapkami i spędziłyśmy wspaniały dzień na plaży. Alfie Byrne miał wielkie wąsy, które zawijały się na końcach. Zastanawiałam się, czy pomaduje je każdego ranka. Na plaży bawił się razem z nami, a w drodze powrotnej do klasztoru śpiewał piosenki w autobusie. Tym przypominał mi tatę, który uwielbiał śpiewać.

Pewnego piątku po szkole bawiłam się w ogrodzie z przyjaciółkami, kiedy usłyszałam, jak matka Bridget wywołuje moje imię. Pobiegłam ścieżką łączącą farmę z ogrodem i wpadłam prosto na siostrę, która śpieszyła w moją stronę.

- Szybko, dziecko! - Wzięła mój płaszcz i tornister i popchnęła mnie na ścieżkę. - Biegnij jak najszybciej do gabinetu wielebnej matki. Masz bardzo specjalnego gościa.

- Tatuś! - krzyknęłam.

Wiedziałam, że to tatuś, musiało tak być. Powiedział mi, że wróci. Siobhan zawsze mówiła, że jej tata ma przyjechać. Ale Siobhan była w klasztorze od czasu, gdy miała dwa latka, a on jeszcze nigdy się nie pojawił. Kiedy modliłam się wieczorem, prosiłam Boga, by sprowadzi! mojego tatusia i tatusia Siobhan też.

Dobiegłam do gabinetu wielbnej matki i zahamowałam ślizgiem, żeby zatrzymać się na lśniącej podłodze. Biegłam tak szybko, że niemal walnęłam o drzwi. Zatrzymałam się, żeby złapać oddech i wtedy zapukałam tak, jak mnie uczono: nie za głośno i nie za długo.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, usłyszałam, jak wielbna matka mówi: - Proszę.

Obróciłam mosięzną klamkę ciężkich drzwi i otworzyłam je. Siedziała za swoim wielkim biurkiem i uśmiechała się do mnie. Nie widziałam taty, bo zasłaniało go wysokie oparcie krzesła.

- Masz bardzo specjalnego gościa - powiedziała i gestem wskazała, że bym weszła do środka. - Wejdz i usiądź.

Kiedy zbliżyłam się do biurka i mogłam już zajrzeć za oparcie wysokiego krzesła, zobaczyłam, że to wcale nie tatuś. To była mama. Miała na sobie futrzany płaszcz, który wyglądał, jakby był na nią za duży i płakała cicho.

- Czego chcesz? - zapytałam.

Byłam na nią zła, że nie okazała się tatą i za tych wszystkich chłopców, których umieszczono w Kilkenny, i za to, że nie jesteśmy razem. Chciałam wyjść z gabinetu i odwróciłam się do drzwi.

Wielebna matka wstała z krzesła. - Siadaj, dziecko! Jak ty się zachowujesz?

Ciekawa byłam, czy po całym tym czasie ona nadal nie zna mojego imienia.

Mama wyciągnęła do mnie ręce, ale ja zostałam na miejscu.

Mimo że jej nie pytałam, wyjaśniła: - Nie miałam wyboru, malutka, przykro mi. Kiedy będziesz starsza, może zrozumiesz.

Wtedy znowu zaczęła płakać, ale już głośniej.

Wielebna matka wyszła zza biurka, podała jej chusteczkę do nosa i próbowała uspokoić. Stałam i przyglądałam się im. Wielebna matka powiedziała, że wyjdzie i przyniesie kubek herbaty.

- Obie musicie sobie wiele powiedzieć - rzekła do mamy, a mnie rzuciła spojrzenie, które mówiło: „Lepiej się zachowuj”.

Mama wytarła oczy i posłała mi słabiutki uśmiech.

- Mam coś dla ciebie. - Podała mi długie pudełko, zapakowane w brązowy papier.

Prezent! Zerwałam papier. W pudełku leżała najpiękniejsza lalka, jaką w życiu widziałam. Miała kręcone blond włosy i okrągłe, niebieskie oczy z powiekami, które się otwierały i zamykały.

- Ona chodzi i mówi - wyjaśniła mama.

Wpatrywałam się w lalkę w pudełku. Niemal bałam się ją wyjąć. Mama podniosła ją i pokazała mi, jak ona chodzi. Kiedy pochyliła lalkę do mnie, ta powiedziała: - Ma-ma, ma-ma.

Byłam taka szczęśliwa, że wybuchnęłam płaczem i rzuciłam się mamie na szyję. Tuliła mnie, ale nic nie mówiła. Płakałam i w tym samym czasie myślałam, jak to zrobić, żeby mama do nas wróciła. Ale im bardziej gorączkowo się starałam, tym bardziej mieszały mi się myśli i w końcu nic nie powiedziałam.

Mama nie została długo tego popołudnia; twierdziła, że nie może. Ale miała przyjść w odwiedziny następnego dnia, a wielebna matka pozwoliła jej zabrać mnie do miasta. Tej nocy puściłam lalkę w obieg i wszystkie dziewczynki były tym szalenie podniecone. Każda uściskała lalkę i zdecydowałyśmy się dać jej na imię Molly.

Następnego ranka matka Teresa, która doglądała pokoiów krawieckiego i szycia, ubrała mnie w nową czarno-żółtą sukienkę i dała mi przepiękny, szmaragdowy płaszcz, bym go założyła na wierzch. Czulałam się prześliczna i usiadłam, czekając na mamę.

Przyjechała tuż po śniadaniu taksówką, która zabrała nas do centrum Dublina. Poszliśmy na zakupy na O'Connell Street. W dziale zabawek Clery's mama kupiła mi wrotki.

Czułam się tak podniecona, że nie mogłam mówić; nigdy nie byłam w sklepie tak pełnym zabawek i pomyślałam, że musiał zjawić się tu święty Mikołaj, chociaż nie było to Boże Narodzenie.

Człowiek w sklepie starannie zapakował wrotki w brązową paczkę i związał różowym sznurkiem, i razem z mamą szliśmy z naszym pakunkiem ruchliwą ulicą. Chociaż moje piękne, nowe wrotki były zapakowane, wyobrażałam sobie, że wszyscy je widzą.

Poszliśmy na kawałek ciasta i lemoniadę do Bewley's, a potem na tramwaj.

- Pojedziemy do babci do Dun Laoghaire - powiedziała mama.

Dzień robił się coraz lepszy.

Tramwaj zatrzymał się nad morzem, a tę niewielką odległość do domu babci pokonałyśmy na piechotę. Babcia objęła mnie, podziwiała mój nowy płaszcz i powiedziała, że jestem śliczną dziewczynką. Dom był pełen cioć i wujków, którzy przyszli z wizytą, i poznałam kuzynów, o których istnieniu wcześniej nie wiedziałam. Zjadłyśmy obiad, który przygotowała babcia, a potem mama zabrała mnie na spacer nad morze.

- Nie możesz zdradzić tacie, że przyjechałam do ciebie - powiedziała.

Poprosiłam, żeby podała mi swój adres, ale ona nie zrobiła tego.

- Nie będziesz go potrzebować, maleńka - odparła. - Zamierzam cię często odwiedzać.

Zanim wsiadliśmy do tramwaju jadącego z powrotem do Dublina, zrobiło się ciemno. Mama zaprowadziła mnie do restauracji w centrum, gdzie każdy stół znajdował się w osobnej loży. W każdej na ścianie była mała maszynka. Jeśli włożyło się do niej pieniądze, można było sobie wybrać muzykę. Mama wetknęła kilka monet i wybrała *Anniversary Waltz*. Człowiek, który go śpiewał, sprawiał wrażenie bardzo przygnębionego. Mama włączała to raz za razem, aż zaczęła smutno wyglądać.

Potem poszliśmy z powrotem do klasztoru. Po drodze mama zaczęła się uśmiechać i znowu była szczęśliwa.

- Zobaczymy się jutro - powiedziała. - Przyjadę w porze obiadu. Dobrej nocy i niech cię Bóg ma w opiece.

Kiedy tej nocy poszłam do łóżka, wiedziałam, że gdy mama pojawi się następnego dnia, przekonam ją, żeby została w Dublinie, i wtedy znowu wszyscy będziemy razem. Przez cały dzień wydawała się taka młoda i szczęśliwa, oprócz chwil, kiedy brzmiał *Annroersary Waltz*. Ledwie mogłam się doczekać jutra.

Następnego dnia było ciepło i słonecznie i wszystkie dziewczęta wyszły na dwór, bawić się na placu za klasztorem. Każda przymierzała nowe wrotki. Ponieważ było nas tak dużo, ustaliłyśmy, że nosimy tylko jedną na raz, i w ten sposób jeździmy najlepiej, jak umiemy. Usłyszałam, że ktoś woła moje imię i zobaczyłam mamę, jak idzie ścieżką w stronę boiska. Zo-

stawiłam wrotki i wybiegłam jej na spotkanie. Niosła białe pudło i postawiła je na ziemi, żeby mnie uściskać.

Potem poleciała mi, żebym wzięła pudło. - Przyniosłam lody dla wszystkich - powiedziała.

W środku był stos lodów w wafelkach. Zaniiosłam pudełko tam, gdzie się bawiły dziewczęta, i wszystkie usadowiłyśmy się na trawie, zjadając lody. Mama usiadła na środku, snuła historie o Szkocji i odpowiadała na pytania o najmodniejsze ostatnio przeboje. Po chwili powiedziała mi, że musi już iść.

Wstała i zapytała: - Odprowadzisz mnie do bramy?

Wzięłam ją za rękę, a kiedy oddaliśmy się trochę od dziewczynek, zapytałam ją, dlaczego wyjeżdża.

- Nie idź, mamó, proszę. Zostań z nami, wtedy wszyscy wrócą do domu ze szkół i znowu będziemy razem.

Uklękła przede mną i powiedziała, że to niemożliwe. Stwierdziła, że nie może żyć z tatą i że już nie będziemy rodziną.

- Lepiej ci tu, gdzie jesteś - rzuciła.

- Ale mamusiu...

Uścisnęła mnie i powiedziała: - Muszę już iść, malutka. Uważaj na siebie i powiedz chłopcom, że myślę o nich. Ale nie mów tacie, że tu byłam - przypomniała mi.

Wstała, odwróciła się i odeszła szybko przez bramę. Stałam, płacząc i patrzyłam, jak odchodzi, mówiąc: - Mamusiu, wróć, wróć - zupełnie jak w Dzień Świętego Szczepana.

Zupełnie znikąd pojawiła się matka Bernadette. Wzięła mnie delikatnie za ramię i zaprowadziła do klasztoru. Próbowła mnie напоić ciepłym mlekiem, ale było w nim coś okropnego i zwymiotowałam na całe łóżko. Tej nocy znowu miałam koszmar, ale tym razem mama leciała nad morzem, a moich braci pochłaniały płomienie.

Potem siostry były dla mnie szczególnie miłe, a stałam się bardzo sławna, ponieważ miałam wrotki i nową lalkę i nie miałam nic przeciwko temu, żeby się nimi dzielić.

Pewnego wietrznego dnia pod koniec września pomagałam matce Bridget zbierać owoce w ogrodzie, kiedy pojawiła się matka Imelda.

- Masz specjalnego gościa - powiedziała i dodała, że muszę szybko pójść do gabinetu wielbnej matki.

Tym razem nie czułam się tak podniecona i zajęło mi trochę czasu dotarcie na miejsce. Byłam już w holu, ale wciąż w znacznej odległości od drzwi gabinetu, kiedy usłyszałam krzyki.

To był tatuś! Przyjechał z Anglii! I krzyczał na wielbną matkę. Nawet przeklinał przy niej.

- Ty stara, pieprzona suko - mówił tata - to moja córka i zabieram ją.

Stałam skamieniała po drugiej stronie drzwi i wstrzymałam oddech. Tatuś na pewno pójdzie do piekła za mówienie takich rzeczy.

- I ani ty, ani sam Jezus Chrystus mnie przed tym nie powstrzymacie!

Tym razem nawet nie zapukałam, tylko po prostu wpadłam do środka. Twarz taty była ledwie parę cali od oblicza wielebnej matki. Miał dzikość w oczach i ślinę w kącikach ust. Wielebna matka stała prosto jak pogrzebacz i wydawała się spokojna, pewnie rzeczywiście taka była. Oboje odwrócili się do mnie. Przez kilka sekund nikt się nie ruszał. Potem tatuś przebiegł przez gabinet i porwał mnie w ramiona. Przyłgnęłam do jego piersi i rozplakałam się. Byłam przerażona, ale pomyślałam, że może całe to zamieszanie oznacza, że wracam do domu.

Za mną stały matka Bernadette i matka Imelda; nie słyszałam, jak weszły. Wielebna matka powiedziała do matki Bernadette: - Zabierz Evelyn do świetlicy.

Siostry próbowały odebrać mnie tacie, ale on trzymał mnie mocno. Nie wiedziałam, co się dzieje, ale pomyślałam, że to coś złego.

Tatuś spojrzał na matkę Bernadette i matkę Imeldę, które trzymały mnie za ramiona. - Czy jesteście oblubienicami Chrystusa, czy nie, nie dostaniecie mojej małej dziewczynki. A teraz spieprzajcie, stare źdźziry!

Wielebna matka bardzo spokojnym tonem powiedziała tacie, że ona chętnie by mnie zwolniła, ale ma związane ręce.

- To prawo - wyjaśniła. - Zarówno pan, jak i pańska żona musicie zwrócić się do sądu. Do tego czasu Państwo, w tym wypadku reprezento-

wane przeze mnie, sprawuje opiekę nad wszystkimi pańskimi dziećmi, w tym nad Evelyn, dopóki nie osiągną wieku szesnastu lat. A jeśli zabierze pan Evelyn z klasztoru, policja będzie pana ścigać i doprowadzi ją tu z powrotem.

Tatuś wciąż mnie trzymał, wpatrując się dzikim wzrokiem w wielebnią matkę. Przerażliwie bałam się o jego duszę z powodu tych wszystkich przekleństw i wiedziałam, że to ode mnie zależy, czy ją uratuję. Powiedziałam tacie, że muszę teraz iść na różaniec, ale że wrócę. Wyśliznęłam się z jego ramion, a kiedy dwie zakonnice popychały mnie w kierunku drzwi, usłyszałam, jak wielebna matka mówi do taty, że może teraz powinien sobie pójść i odwiedzić mnie, kiedy będzie w lepszym stanie ducha.

Tej nocy poszłam spać bardzo szczęśliwa. Tatuś przyjechał do klasztoru po raz pierwszy od dnia, kiedy mnie tu zostawił, i to na pewno oznacza, że wkrótce zobaczę moich braci i że wszyscy znowu będziemy razem.

Tatuś nie wrócił z Anglii sam. Przywiózł kogoś ze sobą - kobietę, która miała mu pomóc troszczyć się o jego dzieci, jak już znowu będzie z nami w domu.

Kiedy zszedł ze statku w Liverpoolu, udał się dalej pociągiem i autobusem pod adres z wycinka gazety, który wciąż miał w kieszeni. Był to plac budowy w Huddersfield, na północ od Holmfirth. Powiedziano mu, że ma zacząć od następnego poniedziałku. Kiedy zapytał majstra, czy zna jakieś kwatery w okolicy, ten wspomniał mu o pani Brown, która prowadzi schludny dom w Holmfirth. Majster nie znał adresu, ale zasugerował tacie, żeby w wiosce pytał o pub.

Tata zrobił, jak mu kazano. Stał przy barze, kiedy dostrzegł grupę starych kompanów, grających w domino z atrakcyjną kobietą. Miała ona na ramionach męski płaszcz. Podeszła do baru i zamówiła kolejkę napitków dla siebie i dla graczy.

Tatusz powiedział jej, że szuka pani Brown i zapytał, czy ma ona jakieś pojęcie, gdzie może tę osobę znaleźć.

Kobieta odeszła krok od baru i trochę obcesowo obejrzała tatę od stóp do głów. Szorstkim i nieprzyjaznym głosem zapytała: - A kto chce wiedzieć?

Tata odparł, że on. Szuka schludnego pokoju, a majster w nowej pracy polecił mu panią Brown.

- Wiecie może, gdzie mogę ją znaleźć? - zapytał raz jeszcze.

Kobieta dalej przyglądała się tacie. W końcu powiedziała: -Jajestem pani Brown i mam pokoje, ale nie lubię Irlandczyków. Pijecie za dużo i przynosicie kłopoty.

Ale przez to całe przypatrywanie zauważyła jego czyste ubranie i błyszczące buty.

- Jednakże - oznajmiła - dam ci szansę. Biorę dwa funty, dziesięć szylingów tygodniowo za łóżko ze śniadaniem, cztery funty za cały tydzień. I za dwa tygodnie z góry.

Tata wprowadził się tego samego wieczoru.

Tatuś mieszkał u pani Brown - albo u Jessie, jak potem o niej mówił - przez ponad sześć tygodni, a ona nie wiedziała o nim prawie nic. Po latach powiedział mi dużo o tych czasach. Był wtedy porządny, wychodził z domu każdego ranka tuż po szóstej i płacił czynsz co piątek po powrocie z pracy. Nie miał żadnych przyjaciółek, o których ona by wiedziała, ale co wieczór na kilka godzin szedł do pubu, gdzie grał na pianinie i wypijał kilka pint. Kobiety w wiosce dokuczały jej na jego temat. Wszystkie mówiły, że jest przystojny i tajemniczy.

Pewnej nocy, kiedy Jessie przechodziła obok pokoju taty, usłyszała cichy płacz. Przez chwilę stała, nie wiedząc, czy zapukać, czy udawać, że nic nie słyszała. Zdecydowała się wrócić do łóżka, ale większość nocy leżała bezsennie. Pomyślała, że może tatuś dostał złe wiadomości z domu, ponieważ zawsze widziała go tylko, jak się śmieje, żartuje i zachowuje się, jakby nie miał żadnych trosk.

Następnego dnia był Dzień Oślego Kamienia, kiedy wszystkie kobiety na całej ulicy na kolanach szorują frontowe schody. Zawinięte w kwieciste fartuchy, w chustach zawiązanych jak turbany, plotkują i narzekają na mężów. Jessie była żoną mężczyzny o imieniu David, który za dużo pił i za mało pracował. Większość czasu spędzał w pubie. Kiedy był w domu, tatuś starał się go unikać.

Jessie szorowała właśnie schody, kiedy usłyszała za sobą głos taty.

- Mogłabyś ze mną pogadać, jak już skończysz - powiedział.

Jessie wstała. On znowu mówił swoim zwykłym, wesołym głosem, więc na myśl o ostatniej nocy, kiedy płakał w pokoju, poczuła się zmieszana.

- Co cię przywiodło o tej porze dnia? - zapytała. - Wyrzucili cię, co?

Wylała żółtą wodę na chodnik, przypadkowo mocząc taty buty. Tatuś powiedział, że chce z nią porozmawiać, a ona odparła: - W porządku. Nastawię wodę. Ale: wytrzymaj nogi dokładnie. Dopiero co oporządziłam hol.

Tatuś pomyślał, że ona śmiesznie mówi. „Oporządzić” w jego rodzinnych stronach znaczyło zająć się na przykład świniami. Jessie przygotowała tacę z herbatą, zdjęła brudny fartuch i mokre buty i dołączyła do taty w salonie.

Twarz taty zrobiła się poważna. Powiedział Jessie, że musi jechać do Irlandii na kilka tygodni i poprosił ją, żeby zatrzymała dla niego pokój.

- Oczywiście, że to zrobię, Dessie.

Nie mogła zagrać w otwarte karty i zapytać go, jakie ma kłopoty; nie chciała sprawić wrażenia wścibskiej. I na pewno nie mogła wspomnieć o poprzedniej nocy i o tym, że stała pod jego drzwiami. Ale powiedziała: - Gzy coś się stało? Rano wyglądałeś bardzo blado.

Tatuś milczał przez kilka minut.

W końcu odrzekł tak: - Jessie, mam w Irlandii sześcioro dzieci i rozpaczliwie za nimi tęsknię. Są zamknięte w szkołach, ponieważ ich cholerna matka opuściła nas. Potrzebuję kogoś, kto się o nie zatroszczy.

Jessie wiedziała już więc, dlaczego płakał, i bardzo mu współczuła, ale nie rozumiała, jak mogłaby pomóc.

Tata mówił dalej. Powiedział jej, że bardzo ją polubił. Potem dodał: - Nie masz tu życia z tym leniwym, zachlanym gnojkiem. Co ty na to, żeby pojechać ze mną do Irlandii?

Jessie była wstrząśnięta, ale nie dała tego po sobie poznać. Nie raz myślała o tym, żeby zostawić Davida, i może to była jej szansa. Tata wydawał się miły i łagodny i zawsze dowcipkował. Ale ona była o dziesięć lat starsza od niego, i jak miałyby sobie poradzić z szóstką dzieci?

- Pogadamy należycie, jak wrócisz z Dublina - tylko tyle powiedziała.

Tata próbował wyciągnąć z Jessie coś bardziej obiecującego, ale ona się nie dała. Wciąż tylko powtarzała: - Porozmawiamy, jak wrócisz.

Tatusz zdecydował się nie jechać do Dublina, w każdym razie nie w tym momencie. Był ośmielony, nawet niepewnością Jessie, i został, żeby ją przekonać.

Mijały tygodnie. Tata poszedł do pracy, a Jessie wypełniała swoje obowiązki. Propozycja taty wisiała między nimi w powietrzu. Pewnego dnia tata był w drodze z pracy do domu. Padało, a od strony Gór Pennińskich wiał przenikliwy, zimny wiatr. Majster w pracy tatusia wysłał wszystkich wcześniej do domu. Robota była wtedy już prawie na ukończeniu.

Tatusz wysiadł z autobusu i zobaczył Jessie, dźwigającą dwie wielkie torby z zakupami. Dogonił ją, wziął torby i w milczeniu poszli do domu ra-

zem. Tata odprowadził ją do małej kuchni w tyle domu i patrzył, jak rozpakowuje zakupy. Zapalił dwa papierosy i podał jej jednego. Powiedział jej, że ostatecznie wraca do Irlandii, kiedy robota się skończy. I dodał, że się w niej zakochał.

- Jedź ze mną - rzucił.

Kiedy Jessie w końcu udzieliła odpowiedzi, jej głos był tak cichy, że tata nie miał pewności, co powiedziała. Spojrzał na nią i zapytał jeszcze raz.

Podeszła do niego i powtórzyła, teraz już śmieiej: —W porządku więc. W porządku, pojedę z tobą.

Tata był wniebowzięty. Porwał ją w ramiona, obracał nią po maleńkiej kuchni i obiecał jej, że nigdy tego nie pożałuje.

Zanim dokądkolwiek pojechali, musieli się rozmówić z Davidem. Tataś obiecał Jessie, że będzie tuż przy niej, kiedy mu to powie. David był drobnym mężczyzną, ale sprowokowany, mógł użyć siły.

Kiedy David wrócił z pubu tego wieczoru, Jessie wyjawiała mu swoje plany. Ledwie skończyła mówić, mąż rzucił się na nią i powalił na podłogę, krzycząc: - Ty cholerna dziwko!

Reakcja Davida była tak błyskawiczna, że tata nawet nie miał czasu go powstrzymać, ale teraz jego pięść wylądowała na nosie mężczyzny. Krew popłynęła po twarzy Davida, który zatoczył się do tyłu i padł na krzesło. Jessie pobiegła do kuchni, by przynieść ręcznik.

-Jeśli jeszcze kiedykolwiek jej dotkniesz - zagroził tata - zabiję cię.

David wyrwał Jessie ręcznik. Wycierając krew z twarzy, błagał ją, by nie odchodziła.

- Daj mi jeszcze jedną szansę, kochana - powiedział. - Wszystko się zmieni, przysięgam.

Jessie spojrzała na tatę, błagając go o wskazówkę, ale on nie mógł jej pomóc. To musiała być jej decyzja. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Tatuś zapalił papierosa i wyjrzał przez okno, paląc i słuchając, jak stary zegar bije głośno na gzymsie kominka. David pomyślał, że wahanie Jessie oznacza, iż może ona zmienić swój zamiar. Wstając z krzesła, potrząsnął zakrwawionym ręcznikiem do taty i krzyknął: - Wynoś się z mojego domu, ty brudna irlandzka świnió! Dalej, wynoś się! Ona jest moją żoną i zostanie ze mną w domu.

Przysunął się do boku Jessie i objął ją władczo. Smród krwi i odór alkoholu to było dla Jessie zbyt wiele. Przypomniały jej, jakie życie wiodła z Davidem, i wiedziała, że jeśli z nim zostanie, reszta jej dni będzie taka sama. Odsunęła się od niego i podeszła do taty.

- To koniec - powiedziała do męża. - Przykro mi, to koniec.

Przebiegła przez pokój i poszła pakować swoje nieliczne rzeczy.

ROZDZIAŁ 4

TLR



Jedyna fotografia mojej ukochanej babuni. Na zdjęciu ma pięćdziesiąt lat, zmarła dwa lata później

Tata i Jessie wprowadzili się do czteropokojowego mieszkania dziadka przy Innisfallen Parade, a tata od razu zaczął się starać o odzyskanie dzieci. Napisał do samego ministra edukacji, wyjaśniając, że wrócił do Irlandii z gospodynią i że mieszkają z jego ojcem. Doniósł ministrowi, że zabroniono mu zabrać córkę z klasztoru do domu, żeby z nim mieszkała. Napisał też: „...będę więc zobowiązany, jeśli zechce Pan wydać nakaz natychmiastowego zwolnienia mojej córki”.

Wiedział, że kiedy minister wyda polecenie w mojej sprawie, chłopcy też zostaną zwolnieni. Podpisał list „W. P. Desmond Doyle” i wrzucił go do skrzynki, pewien, że wrócimy do domu natychmiast.

Kiedy znowu przyjechał do klasztoru, zabrał Jessie ze sobą. Do niej mówił Jessie, ale mnie powiedział: - Evelyn, to jest twoja nowa mama.

Uśmiechnęłam się słodko do swojej nowej mamy, ale ignorowałam ją przez resztę wizyty.

Tata zabrał nas do Strawberry Beds, rejonu na zachód od Dublina, nad Liffey, gdzie dorastał. Jako chłopiec, łowił tu ryby, szwendał się, żeby zarobić kilka pensów, i zrywał dziką gipsówkę ze swoim najlepszym przyjacielem, Gussie Pomadą. Gussie i tatuś sprzedawali gipsówkę kwiaciarkom, które przejeżdżały przez miasteczko w drodze na swoje stragany na dublińskim targu.

Szliśmy wzdłuż brzegów Liffey. Pobiegałam w podskokach do przodu, ale w którymś momencie odwróciłam się i zobaczyłam, że tata i Jessie

trzymają się za ręce. Zatrzymałam się i poczułam, jak wzbiera we mnie złość. Nawet jeśli nasza stara mama odeszła, nie potrzebowaliśmy nowej. Zwłaszcza nie takiej ze śmiesznym angielskim akcentem, zwracającej się do mnie „kochaniutka” i „skarbeńku”. Co tata sobie myślał? Pobiełam z powrotem i wdarłam się pomiędzy nich. Jessie podała mi rękę, a ja ją odepchnęłam. Przez resztę popołudnia pilnowałam, żeby tych dwoje nie zbliżało się do siebie.

Kiedy wróciliśmy do klasztoru, tata pożegnał się ze mną i obiecał, że w najbliższym tygodniu przyjedzie i zabierze mnie do domu. Płakałam i powiedziałam, że chcę z nim jechać natychmiast.

- Musimy poczekać na ministra - odparł.

Zapytałam go, kim jest minister.

- Minister to człowiek, który podpisze dokumenty, żebyście wszyscy mogli wrócić do domu. Więc czekaj cierpliwie i bądź dobra dla sióstr.

Ale tata nie zabrał mnie do domu w następnym tygodniu, ani nawet w tym jeszcze późniejszym. Minister był bardzo zajęтым człowiekiem i nie odpowiedział na list taty.

Trzy tygodnie później do domu dziadka dotarł list z urzędową pieczęcią. Tatuś rozerwał kopertę, spodziewając się w środku nakazu zwolnienia. Zamiast tego znalazł wiadomość, która mówiła, że nie można mnie zabrać z klasztoru.

Odczyta! list Jessie i dziadkowi. - Tu piszą, że muszę „dostarczyć dowody, że zapewniam odpowiednie warunki bytowe i kobietę do opieki nad dziećmi” i że przywiezienie Evelyn teraz do domu „nie leżałoby w interesie dziecka”. Nie leżałoby w interesie dziecka! Co to znaczy, do jasnej cholery? Co on sobie myśli - że kim jest?! I skąd on wie, co jest najlepsze dla mojego dziecka?

Tatuś chodził po salonie dziadka wielkimi krokami. Jessie nigdy nie widziała go tak wściekłego, nawet w trakcie zajścia z Davidem przed ich wyjazdem z Anglii. Dziadek pozwolił mu się wyładować. Kiedy gniew w końcu uszedł z tatusia, dziadek położył mu rękę na ramieniu i delikatnie zmusił, by usiadł na krześle.

- Jutro pójdziemy do mojego adwokata - powiedział. Potem skinął głową Jessie, która siedziała w kącie, i poszedł do swojego pokoju grać na wiolonczeli.

Następnego dnia tata i dziadek zanieśli list ministra Michaelowi Beatty, adwokatowi dziadka. Pan Beatty był specjalistą od prawa rodzinnego, chociaż sam nigdy się nie ożenił ani nie miał rodziny. Poświęcił się całkowicie swojej pracy.

Zasrożył się, czytając list, potem oddał go tacie i powiedział: - Wygląda na to, Desmondzie, że ktoś wprowadził ministra w błąd, doradzając mu, by poprosił cię o dowód, że spełniasz odpowiednie warunki bytowe i masz zapewnioną pomoc kobiety. Ponieważ nawet jeśli dostarczysz taki dowód, minister nadal nie będzie miał prawa rozważyć twojej prośby o zwolnienie Evelyn.

- A to dlaczego? — zapytał tatuś.

- Ponieważ do zwolnienia dziecka potrzebna jest zgoda obojga rodziców, twoja i twojej żony. Mówi o tym Ustawa

Dzieciach, paragraf 10. Ten ustęp upoważnia sędziego, by wysłał do szkoły industrialnej dziecko pozbawione środków do życia, ale niebędące sierotą, jeśli rodzice nie mogą go utrzymać. Sędzia może zezwolić, by zgodę na powierzenie dziecka opiece państwa wyraziło jedno z rodziców, tak jak się stało w twoim wypadku. Ale jeśli chodzi o zwolnienie tego samego dziecka ze szkoły, to wymagana jest zgoda obojga rodziców.

To samo powiedziała wielebna matka, a tata dostawał szału, słysząc, że potrzebuje zgody mamy na zwolnienie mnie ze szkoły.

- Pozwól, że ja napiszę do ministra - zaproponował pan Beatty. - Wyjaśnię mu, co się stało, i podkreślę twoje zdenerwowanie spowodowane rozstaniem z dziećmi. A teraz porozmawiajmy o twoich warunkach bytowych.

Tata wyjaśnił, że dostał pracę w Korporacji Dublińskiej

że zarabia 8 funtów, 7 szylingów i 6 pensów tygodniowo. Jessie jest jego gospodynią i płaci jej dwa funty tygodniowo.

Pan Beatty notował, po czym powiedział tacie, żeby poszedł prosto do Departamentu Spraw Mieszkaniowych.

- Złóż podanie o mieszkanie. Dom twojego ojca będzie za mały, kiedy wszystkie dzieci wrócą do domu.

Tata znalazł wydział kwaterunków w Departamencie Spraw Mieszkaniowych i usiadł na jednej z długich, drewnianych ławek w poczekalni. Pomieszczenie było pełne kobiet i krzyczących dzieci, a wszyscy roztaczali zapach, jakby nie myli się od wieków. Plakaty na ścianach przedstawiały powiększone muchy i inne insekty, o których tata nigdy nawet nie słyszał, i informowały o zabójczych korzyściach działania DDT. Wszystkie matki z dziećmi czekały na swoją kolej, siedząc na ławkach, więc tata co jakiś czas wstawał i przesiadał się na następną. Po jakichś dwóch godzinach przesuwania się cal po calu, usłyszał znudzony głos, mówiący „następny”, i to była jego kolej.

Tata podszedł do biurka. Był zawstydzony, że każdy w pokoju może słuchać o jego osobistych sprawach, więc jak najciszej wyjaśniał urzędnikowi, że kiedy jego dzieci wrócą do domu, nie zmieszczą się wszystkie u dziadka.

- Proszę mówić głośniej - rzucił urzędnik, nie podnosząc wzroku nad papierów na biurku.

Tata i tak był już w złym nastroju. Przez to czekanie stracił pół dniówki. Teraz nastawienie tego człowieka zirytowało go jeszcze bardziej.

- Potrzebuję domu, żeby odebrać dzieci ze szkoły - powiedział, zgrzytając zębami.

Mężczyzna nie zareagował, nie podniósł nawet wzroku. Przesunął jedynie po biurku zielony formularz i dalej robił notatki. Tata zaczął wypełniać formularz na miejscu, przy biurku urzędnika.

- I chcę taki z ogrodem - dodał.

To przyciągnęło uwagę urzędnika. Zdjął okulary i spojrzał prosto na tatę.

- Panie Doyle - powiedział - pańskie obecne warunki wydają się wystarczające do aktualnych potrzeb. - Skinął w stronę pozostałych, wciąż czekających na ławkach. - Niektórzy z tych ludzi mieszkają w dziesiątkę w jednym pokoju. O ile więc nie ma pan zdrowotnych podstaw do swojego żądania, będzie pan długo czekał. A teraz proszę odejść, wypełnić ten formularz, następnie zwrócić go do tego biura. Damy panu znać, jaka jest odpowiedź.

- Jak długa jest lista oczekujących? - zapytał tata, teraz już naprawdę wściekły. Stracił po próżnicy zarobki z połowy dnia.

- Panie Doyle, ja nie ustalam przepisów. Jeśli nie jest pan zadowolony, proszę napisać do cholernego taoiseacha*⁴! - Spojrzał ponad ramieniem taty i powiedział: - Następny!

- Szanowny panie Costello, chcę śliczny dom w Dollymount dla szczęścia moich dzieci i mojej pięknej „gospodyni” i pragnę też, żeby płacił pan za mnie czynsz.

Tata, dziadek i Jessie padli ze śmiechu, kiedy tata powiedział im o urzędniku w Departamencie Spraw Mieszkaniowych.

- Wyobraźcie sobie - mówił tata - pieprzony *taoiseach*.

Śmiali się do rozpuku, a potem poszli do pubu i zapomnieli o wszystkich swoich troskach.

W listopadzie pan Beatty poprosił tatę, żeby przyszedł do jego biura. Otrzymał odpowiedź od ministra. Tata siedział, nerwowo obracając w dłoniach kapelusz, a tymczasem adwokat wertował stosy papierów na biurku. W końcu pan Beatty wyciągnął list z rozgardiaszu, który nazywał swoim systemem segregowania.

- Cóż, Desmondzie - powiedział. - Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości.

Zaczął głośno czytać list. Był pełen „wyrazów poważania” i „wyrazów żalu” i „okoliczności”. Tata się zniecierpliwił.

- Przetłumacz mi to może na ludzki język - poprosił.

Pan Beatty podał mu list. „Z żalem zawiadamiam więc, że Pańskie podanie o ponowne rozpatrzenie sprawy zwolnienia dzieci zostaje odrzucone”.

Minister po prostu powtórzył to, co napisał w pierwszym liście, odwołując się do „interesu dziecka” i sugerując, żeby tata dostarczył „należyte dowody”, iż jest w stanie zapewnić warunki bytowe i pomoc kobiety, a wtedy sprawa zostanie ponownie rozpatrzona.

Tata zmiął list i rzucił go na biurko pana Beatty. Wyszedł bez słowa.

Niespełna tydzień później tata i pan Beatty siedzieli w poczekalni przed biurem TJ Conolly'ego, jednego z naj- znaczniejszych adwokatów w Dublinie. Pan Conolly słyszał o tacie od Nicka Barrona, który był starym przyjacielem pana Beatty. Spędził kilka ostatnich lat, pracując jako adwokat w Ameryce. Teraz był z powrotem w Dublinie i praktykował prawo rodzinne. Wraz z nim przyjechała do domu dwójka jego dzieci, ale żona nie; o potomstwo troszczyła się „gospodyni”. Ludzie dokuczali mu na temat atrakcyjnej gospodyni, ale Nick się tym nie przejmował.

Poprzedniego dnia Nick przypadkiem natknął się na pana Beatty pod Czterema Sądami, centrum prawniczym Irlandii. Pan Beatty bronił tam w sprawie Rosemary Eileen Dolores Maloney, zwanej „Czerwoną” Maloney, która była jego klientką od czasu swego pierwszego aresztowania za nabywanie w wieku siedemnastu lat. To się wydarzyło zaledwie kilka lat temu, ale „Czerwona” bardzo wynędzniała i wyglądała, jakby była dwa razy starsza. Pan Beatty niemal życzył sobie, żeby dla jej własnego dobra sędziowie orzekli wyrok długiego więzienia, a nie kolejny krótki pobyt w Zakładzie Karnym w High Park.

Kiedy Nick i pan Beatty stali na stopniach Czterech Sądów i gawędzili, adwokat dziadka wspomniał o problemach taty. Nick natychmiast wyraził zainteresowanie; słynął z podejmowania się najtrudniejszych spraw. Pan Beatty pokazał mu list ministra, a Nick zabrał go prosto do pana Conolly'ego do pokoju obrońców.

Czasami pan Conolly uznawał entuzjazm Nicka dla spraw beznadziejnych za nieco męczący, ale przeczytał list i powiedział: - Jezu Chryste, mu-

szę się temu przyjrzeć. Niech Beatty i Doyle przyjdą do mojego biura, kiedy sąd zakończy posiedzenie.

Tata i pan Beatty czekali pod biurem pana Conolly'ego. Ściany w pomieszczeniu były pokryte boazerią i obwieszane portretami uroczyście i ważne wyglądających ludzi. Na wielkim, okrągłym stoliku do kawy leżały w idealnym porządku magazyny o łowieniu na muchę strzelectwie. Petenci mieli do dyspozycji tuzin krzeseł wyściełanych kosztowną, bordową skórą. Na podłodze leżał gruby perski dywan, a w kominku płonął ogień. Nieskazitelnie ubrana sekretarka patrzyła na tatę z dezaprobatą.

- Cokolwiek będzie się działo, Desmondzie - szepnął pan Beatty - nie trać równowagi. Jeśli TJ weźmie twoją sprawę, bądź pewien, że zrobi, co w jego mocy. To może potrwać, ale nie mógłbyś sobie wymarzyć lepszego adwokata.

W końcu sekretarka oznajmiła, że pan Conolly może się już z nimi spotkać, i zaprowadziła ich do biura starymi, wielkimi schodami.

Pan Conolly był ogromny i cokolwiek rozczochrany. W kręgach prawniczych miał przydomek „Dynamit”. Mógłby zostać sędzią, gdyby nie pogrzebał swych szans na ten tytuł, unikając rozgrywek politycznych. Szorstko przeszedł od razu do rzeczy:

-Wygląda na to, że nasz przyjaciel minister, pan Mulcahy, ma własną interpretację warunków, których wypełnienie pozwoliłoby mu zwolnić Evelyn. Jego list ignoruje czynniki, które rzeczywiście dałyby mu tę moż-

liwość. A jedynym warunkiem - powiedział, patrząc na tatę - jest podanie o zwolnienie Evelyn, podpisane zarówno przez pana, jak i pańską małżonkę.

Przed nim leżała otwarta gruba, prawnicza księga, a obok niej wygładzony list od ministra, zmięty wcześniej przez tatę w biurze pana Beatty.

Pan Conolly mówił dalej: -Zarabia pan ponad osiem funtów tygodniowo i dzieli z ojcem mieszkanie na Innisfallen Paradę. Oto co zrobimy. Poprosimy o *mandamus*. To powinno przyciągnąć uwagę ministra.

Tata spojrział na pana Beatty, ale ten podniósł dłoń, by go uciszyć. - To się zapowiada na długi proces - powiedział pan Conolly. - Przykro mi, panie Doyle, ale niewielkie są szanse, że przywiezie pan dzieci do domu na Gwiazdkę. Dam panu znać, kiedy odbędzie się przesłuchanie.

Wstał na znak, że spotkanie dobiegło końca. Tata spodziewał się bardziej obiecujących wieści od takiego ważnego człowieka.

Kiedy znaleźli się z powrotem na ulicy, tata powiedział panu Beatty: - Obiecałem Evelyn, że będzie w domu na Boże Narodzenie. I co to, do cholery, jest ten *mandamus*?

- *Mandamus* - wyjaśnił pan Beatty - oznacza, że sąd nakazuje komuś, by robił to, co ma robić. W tym wypadku rozkazą rządowi, by wykonywał przypisane mu prawem obowiązki. Minister będzie musiał wyjaśnić, dlaczego nie rozważy twojego podania o zwolnienie Evelyn. Ale - dodał - musisz zrozumieć, że kiedy na biuro Mulcahy'ego spadnie ten nakaz, wystawią bardzo dobrego adwokata i natychmiast zauważą, jaki jest warunek: potrzebujesz podpisu żony.

- Ale ona zniknęła!

Pan Beatty pokręcił głową: - Nie widzę żadnego innego sposobu na sprowadzenie dzieci do domu.

Minął prawie rok, odkąd mama odeszła.

W klasztorze huczało od przygotowań do Bożego Narodzenia. W głównym holu stała szopka. Figury były naturalnej wielkości, a ukryte za nimi światła sprawiały, że postacie wyglądały, jakby mogły ożyć w każdej chwili.

Wszystkie dziewczynki dostały nowe płaszcze, ponieważ Alfie Byrne, burmistrz, zabierał szkoły industrialne z całej Irlandii do Gaiety Theatre na ostatnią próbę kostiumową bożonarodzeniowej pantomimy. Pomagałam matce Teresie wypisać tasiemki z nazwiskami i naszyć je na nowe płaszczyki, kiedy w jej gabinecie zadzwonił telefon.

To była wiadomość dla mnie, żebym przyszła do gabinetu wielbnej matki, ponieważ czeka tam tatuś. Pognałam długim korytarzem, pewna, że przyjechał zabrać mnie do domu, ale kiedy tylko otworzyłam drzwi, wiedziałam, że coś jest nie tak. Nawet się nie uśmiechnął na mój widok.

- Tatusiu - powiedziałam - jedziemy do domu na święta?

- Przykro mi, maleńka - odparł - nie mogę cię jeszcze zabrać do domu.

Po raz pierwszy od miesiący się rozplakałam. Przytuliłam się do niego, a on próbował mnie pocieszyć. Stwierdził, że będzie walczył do ostatniego tchu, żeby zabrać do domu mnie i chłopców. Ale teraz, wyjaśnił, rząd mnie

jeszcze nie wypuści, nawet na święta. W mojej piersi znowu pojawił się wielki kamień. Tatuś powiedział, żebym była dzielną dziewczynką.

- Przyjadę jak najszybciej - obiecał - a po świętach zabiorę cię do chłopców do Kilkenny.

Po powrocie do domu tata poinformował dziadka i Jessie o swoim nowym planie, na wypadek gdyby minister zdecydował się nie zwolnić nas.

- Kiedy wezmę Evelyn na spotkanie z chłopcami - wyjaśnił - zabiorę ją i troje najstarszych do samochodu i pojedziemy do Belfastu. Uciekniemy, zanim w ogóle nas zauważą. Potem, kiedy się osiedlimy, wrócę po maluchy.

Dziadek wlepił w niego wzrok. - Nie mówisz poważnie! Możesz zabrać czwórkę z Wolnego Państwa, zgadza się, ale nie zdołasz już postawić nogi w tym kraju. A twoje szanse na to, żeby znowu zobaczyć maluchy, będą zerowe.

Tatuś zastanowił się przez chwilę. - Dobrze - powiedział - ty zabierzesz maluchy.

Dziadek palił sweet aftona i przez chwilę milczał. W końcu przemówił w swój powolny i rozważny sposób, który doprowadzał tatę do szału.

- Oto co zrobimy - rzekł. - Ja zabiorę Evelyn do Belfastu po świętach, kiedy ty będziesz się woził z prawnikami. Jak już ustanie cały zamęt, jeśli w ogóle ustanie, będziesz mógł pojechać i zabrać chłopców.

Dziadek nigdy nie był poza Irlandią i nienawidził wszystkiego, co angielskie. Ale jeśli trzeba było tak właśnie uczynić, to trudno.

W dniu bożonarodzeniowej pantomimy miałyśmy na sobie nowe zielone płaszcze. Specjalne autobusy, ustawione w konwoju, zabrały nas do teatru i czułyśmy się bardzo ważne. Zanim wsiadłyśmy, matka Bernadette pouczyła nas, jak mamy się należycie zachowywać i pokazywać wszystkim, że jesteśmy młodymi damami. Śmiałyśmy się w czasie tej przemowy, ale siostra nas przekrzyczała.

- Wsiądziemy z autobusu w pewnej odległości od teatru. Musicie więc, dziewczęta, pilnować się nawzajem.

Klasnęła dwukrotnie w dłonie, a my ustawiłyśmy się w długi ogonek wzdłuż ścieżki. Ludzie na ulicy zatrzymali się, by przyjrzeć się sierotom na wychodnym, a my pomachałyśmy im, wsiadając do autobusu.

Przejechaliśmy przez rzekę i dalej do St Stephen's Green, gdzie było jeszcze więcej autobusów, a w nich jeszcze więcej dzieci. Nigdy nie widziałam tylu autobusów. Jedne stały już przy parku, a za nimi wciąż podjeżdżały następne. Wsiadłyśmy ze swojego pojazdu, a matka Bernadette ustawiła nas w parach, policzyła i kazała iść za sobą.

- I trzymajcie się razem, dziewczęta - krzyknęła.

Ruszyła szybkim krokiem na czele dwuszeregu dziewcząt w zielonych płaszczkach. Wciąż byłam oszołomiona wszystkimi autobusami i przyglądałam im się, kiedy nas mijaly. Kątem oka dostrzegłam, że coś rusza się w

tylnym oknie jednego z pojazdów. Podbiegłam trochę do przodu zobaczyć, co to jest, a tam machali do mnie Noel i Maurice! Oni także szli na pantomimę. Biegłam wzdłuż ich autobusu, ale kiedy ten skręcił w ulicę od północnej strony parku, matka Bernadette złapała mnie i kazała wracać do szeregu.

Po wejściu do Gaiety Theatre wszystkie dostałyśmy papierowe torebki w wąskie paski, zawiązane kolorowym sznurkiem. W środku były słodycze i owoce. Pani w ciemnoczerwonej sukni ze złotymi wstawkami na ramionach zaprowadziła nas na miejsca. Miała kapelusz w kształcie statku i na tym kapeluszu też były kawałki złota. Natychmiast zdecydowałam, że chcę pracować w teatrze, żebym mogła nosić taki piękny strój jak ona. Prowadziła nas w dół czymś, co wyglądało jak setki drobnych stopni i wskazała pusty sektor na środku. Usiadłam tuż przy przejściu, żeby widzieć swoich braci, jak będą wchodzić.

Kiedy zgasły światła i zagrała orkiestra, wymknęłam się ze swojego miejsca. Przez minutę moje oczy przyzwyczajały się do ciemności, ale potem widziałam tylko wielkie, kolorowe sektory: szare, czerwone, niebieskie, czarne i we wszelkich odcieniach zieleni, jakie można sobie wyobrazić. Nie pamiętałam, jakiego koloru ubrania mieli na sobie moi bracia. Kilkakrotnie przebyłam drogę do ubikacji, za każdym razem obierając inną trasę, w nadziei, że może zobaczę chłopców, ale nie udało mi się. W końcu poddałam się, siedziałam, płacząc w foyer i ominęło mnie całe przedstawienie.

Wszystkie dziewczęta z klasztoru mogły iść na pasterkę. Zakonnice pięknie śpiewały kolędy, a mnie było smutno. W Boże Narodzenie do klasztoru przyszedł zespół i śpiewaliśmy wszyscy razem. Przy „Nosila czerwona wstążkę i spódniczka hula-hula”, pomyślałam sobie, że spódniczka hula- -hula musi być czymś wspaniałym, ale nie umiałam sobie wyobrazić, jak takie coś wygląda.

Na obiad był kurczak, kiełbaski, bożonarodzeniowy pudding i ciasto z kremem. Zjadłyśmy tak dużo, że siostry zmusiły nas później, żebyśmy wyszły na dwór i się rozruszały. Tego wieczoru przyszli w odwiedziny tata i dziadek i przynieśli mi w prezencie zestaw do herbaty dla lalek i kuchenkę, w której można było palić spirytus i watolinę. Siostry poprosiły tatę, by kuchenkę zachował dla mnie w domu, żebym nie spaliła całego klasztoru. Tata powiedział, że posiedzenie sądu odbędzie się za kilka tygodni i potem może będę mogła wrócić do domu. Ale tak czy inaczej, stwierdził, po Nowym Roku pojedziemy odwiedzić chłopców w Kilkenny.

Babcia nie przyjechała do mnie na święta. Nigdy już jej nie zobaczyłam.

Pod koniec stycznia tata i jego adwokat stawili się przed sądem na posiedzeniu *mandamus*.

Prośba o moje zwolnienie, poparta zaświadczeniem o dochodach tatusia i jego sytuacji mieszkaniowej, została uznana za nieważną i w związku z tym sędziowie zdecydowali, że minister nie uchybił swoim obowiązkom.

Obrońca taty wiedział, że prośba była nieważna, ponieważ warunki, których wypełnienia wymagał minister, nie miały nic wspólnego z moją sprawą. Chcieli jednak, żeby orzekł to sąd i żeby ustalono, jakie warunki tata naprawdę musi spełnić.

Teraz pan Conolly zaczął się spierać z trzema sędziami o paragraf Ustawy o Dzieciach, wymagający obopólnej zgody „rodziców”, aby minister mógł zwolnić dziecko ze szkoły industrialnej. Wykazał, że interpretacja Ustawy gwarantuje, że „każde słowo, oznaczające liczbę mnogą, o ile nie jest to dodatkowo określone, należy odczytać tak, jakby oznaczało również liczbę pojedynczą”. W tym wypadku, dowodził, prowadzi to do substytucji „rodzica” względem „rodziców”. Pan Conolly wiedział, że wynik posiedzenia jest już przesądzony, ale jeszcze radował się walką.

Tata zerwał się z siedzenia i wypadł z sali sądowej. Chodził po holu w tę i z powrotem, zaciągając się mocno papierosem, kiedy dołączył do niego pan Beatty.

- Desmondzie, musisz się hamować albo popadniesz w kłopoty z sądem i stracimy usługi najlepszej ekipy w tym kraju.

- Pomogłoby mi, gdybym wiedział, co się dzieje - odparł tata.

- No cóż - powiedział pan Beatty- adwokat ministra stwierdził, że twoje zarobki i warunki bytowe są niewystarczające.

Tata był zrozpaczony. - Więc dlaczego oni wciąż mnie o to pytają?

-Jedyną rzeczą, która ma dla nich znaczenie, jeśli chcesz odzyskać swoje dzieci, jest to, czy masz pozwolenie swojej żony i jej podpis. O ile, oczywiście, twoja żona żyje.

Tata robił się chory od słuchania o mamie i jej podpisie; zaczynało mu to przypominać zacinającą się płytę. Pan Beatty patrzył na niego z ukosa. Poznał już tatę na tyle, by wiedzieć, co mu chodzi po głowie. Uśmiechnął się pod nosem; lubił tatę i podziwiał jego zdecydowanie.

Wkrótce pan Conolly i Nick dołączyli do nich w holu. Pan Conolly szedł przygarbiony i zacierał ręce.

- Przegraliśmy, prawda? - zapytał tata. - Więc dlaczego, do cholery, pan się tak szczerzy?

Tata myślał nie tylko o tym, że przegrali. Dręczył go jeszcze jeden problem: ile to wszystko będzie kosztować. Ci ludzie wydawali na wystawny posiłek tyle, co on zarabiał przez cały tydzień. Dziadek zaproponował, że będzie płacił rachunki za prawników, ale tata nie wiedział, na ile jego ojca stać. A poza tym, jeśli zamierzali wywieźć nas z kraju, będą potrzebowali wszystkich pieniędzy, jakie zdołają zdobyć.

- Musieliśmy doprowadzić ich do tego, by oświadczyli przed sądem, czego dokładnie od ciebie chcą - powiedział pan Conolly. - Teraz, skoro to zrobili, możemy należycie przygotować naszą sprawę. - Poklepał tatę po plecach. - Głowa do góry, Desmondzie. Podejrzewam, że wkurzyliśmy ich trochę. Czy dołączysz do nas na szklaneczkę?

Jessie wychodziła od dziadka pewnego ranka, kiedy w progu natknęła się na mężczyznę, który właśnie miał zapukać do drzwi. Uchylił kapelusza.

- Ach! Dzień dobry pani. Zechce pani poświęcić kilka minut na ankietę?

Jessie wpuściła go, myśląc, że jest z biura spisu ludności. Zadawał jej pytania o dom i o to, kto w nim mieszka. Był uprzejmy i dowcipny. Pomyślała nawet, że trochę z nią flirtuje - większość mężczyzn, których spotkała w Dublinie, była czarusiami - i to jej schlebiało. Gawędzili nad dzbankiem herbaty.

Kiedy mężczyzna wysączył ostatnią kroplę naparu i odstawił filiżankę, powiedział niejako przypadkiem: - Zakładam, że wszyscy państwo jesteście wierzący?

- Tak - odparła Jessie - z tym że ja jestem wyznania anglikańskiego.

Pytanie wydało jej się niewinne i przez jakiś czas w ogóle o nim nie myślała.

Jessie miała trudności z przystosowaniem się do nowego życia w Dublinie. Tata spędza! długie godziny w pracy, a potem na ogół szedł na pintę. Jessie sama próbowała znaleźć zajęcie, ale jej angielski akcent odstręczał wszystkich, więc w końcu zrezygnowała. Modliła się, żeby tata jak najszybciej sprowadził dzieci do domu, żeby znowu była użyteczna. Miała jedynie trzy pokoje do sprzątnięcia i tylko tatę i dziadka do doglądania, więc dni jej się dłużyły. Na ogół spędzała je, chodząc po sklepach i targach. W domu nie włączała radia, z obawy, że będzie przeszkadzać dziadkowi i

wywoła jeden z napadów migreny, które często miewał. A kiedy dziadek miał migrenę, błąkał się po domu z brudną szarfą na głowie. Upierał się, że pot ze szarfy, jako niezwykle intensywny, jest jedynym skutecznym sposobem na ukojenie bólu.

Jessie często nie umiała się z dziadkiem dogadać. Tolerował niewiele prac domowych, patrzył więc z niechęcią, jak robi za dużo zamieszania, zamiatając, polerując i szorując. Od lat mieszkał sam, radził sobie na swój sposób i niczego tak nie pragnął, jak tej spokojnej rutyny. Cierpiał już upokorzenia wspólnego mieszkania, kiedy przed laty zajmował lokal na pierwszym piętrze kamienicy przy North Circular Road. Dzielił umywalkę z kobietami z drugiego piętra i kran kapał nieustannie tuż przy jego drzwiach. Dziadek wstawał wczesnym rankiem, zakręcał kran, a następnie główny zawór, odcinając dopływ wody i zmuszając kobiety, żeby się fatygowały na parter. Krzyczały na niego codziennie, przechodząc pod jego drzwiami, ale ich narzekania były niczym wobec kapiącego kranu. Jeśli chodzi o wspólne toalety, dziadek nigdy nawet nie rozważył możliwości korzystania z czegoś takiego. Używał zamiast tego butelki po mleku, w zaciszu swego własnego mieszkania, a w sprawach poważniejszych chodził do pobliskiego pubu.

Po trzech takich latach zdołał kupić dom na Innisfallen Parade. W tym czasie grał już pierwszą wiolonczelę w Gate Theatre. Dorabiał sobie, dorywczo podejmując się malowania i dekorowania, przy czym często pracował razem z tatą. Obaj malowali na zamku dublińskim tego dnia, kiedy Bren- dan Behan próbował zastrzelić tatę.

Tatuś był majstrem i jego ludzie malowali hol świętego Patryka, najważniejsze miejsce apartamentów reprezentacyjnych na zamku. Rozstawili swoje drabiny i pomiędzy nimi umieścili deski szerokości jednej stopy, żeby po nich chodzić. Tego ranka Brendan stawiał się w pracy dopiero po dziesiątej i, nawet według jego standardów, był pijany w trupa. W normalnych okolicznościach tata odesłałby go do polerowania listew przypodłogowych - pewien stopień upicia stanowił w końcu akceptowaną praktykę w fachu budowlanym - ale tego dnia było inaczej. Wszyscy pracowali sześć czy siedem stóp nad ziemią i garnek emalii, wylanej na drogi dywan, oznaczałby przepadek zarobków całej ekipy. Tata powiedział Brendanowi, żeby poszedł do domu i wrócił rano, kiedy będzie trzeźwy.

- Oskarżasz mnie, że jestem, kuwa, pijany? - zapytał Brendan.

- Zgadza się - odparł tata - jesteś, kuwa, pijany. A teraz idź do domu.

- Zmuś mnie - powiedział Brendan.

Tata nie miał na to czasu; malarze dostawali swoje zarobki za to, że byli szybcy i czyści.

- Możesz więc zabrać swoje narzędzia - polecił Brendanowi.

Brendan chciał się bić, ale pozostali ludzie powstrzymali go i przekonali, żeby odszedł w pokoju.

Następnego dnia, kiedy cała ekipa siedziała w korytarzu, jedząc kanapki, pojawił się Brendan, nieco niepewnie trzymając się na nogach i wymachując pistoletem.

- Chodź no, Doyle - krzyknął. - Zastrzelę cię. Zasłużyłeś na kulkę w nagrodę.

Tata rzucił swoją kanapkę z pomidorem i cebulą i uciekł. Po latach, kiedy Brendan zdobył sławę jako pisarz, tata zobaczył go w telewizji i powiedział: - To ten łajdak, który próbował mnie zastrzelić, kiedy go wylałem.

Tata i Jessie przyjechali wczesnym rankiem pewnego lutowego dnia, żeby zabrać mnie do Kilkenny na spotkanie z chłopcami. Tata wiozł dla nich piłkę do nogi, a Jessie zapakowała kosz piknikowy i wszyscy mieliśmy świętować.

Kiedy zmierzaliśmy do samochodu, tata powiedział: - Możesz iść do tyłu, malutka. Twoja mama usiądzie z przodu obok mnie.

Byłam wściekła. To ja zawsze siedziałam z przodu obok taty. Przez całą drogę do Kilkenny prawie się nie odzywałam.

Klasztor moich braci znajdował się na wsi. Było tam pięknie i spokojnie. Tata wszedł do środka, żeby zebrać pięciu chłopców, zostawiając mnie samą z Jessie na wielkiej, przeszklonej werandzie. Nie mówiłyśmy dużo i siedziałam tam, zastanawiając się, jak moi bracia i ja możemy odzyskać prawdziwą mamę i zmusić Jessie, żeby pojechała sobie do Anglii.

Kiedy na werandzie pojawili się moi bracia, ledwie ich poznałam - tak bardzo urosli. Wszyscy mieli na sobie krótkie, szare spodenki, nosili krawaty i czyste białe koszule, szare podkolanówki i solidne buty. Trzej najstarsi

chłopcy nabrali wiejskiego akcentu, a Kevin i Dermot stali się blondynami. Podbiegli mnie przywitać, ale dwaj najmłodszy schowali się za nogami taty. Minął ponad rok, odkąd maluchy widziały mnie ostatni raz, i teraz mnie nie poznały. Tata zabrał czterech najstarszych chłopców, żeby pograli w piłkę na trawniku przed klasztorem, i zostawił Dermota z Jessie i ze mną. Natychmiast wzięłam brata na kolana i trzymałam go blisko; nie chciałam, żeby siedział z Jessie.

Podrzucałam małego na kolanach, kiedy z dachu spadł na werandę wielki martwy motyl. Dermot wrzasnął i krzyczał, póki z klasztoru nie przybiegła zakonnica, która wyrwała mi go z ramion. Natychmiast zamilkł i przytulił się do niej. Patrzyłam na zakonnice tulącą Dermota i poczułam zazdrość i smutek. To do mnie zawsze przychodzili bracia, kiedy coś im się stało albo mieli problem. Nasze życie zmieniło się na dobre i to mnie przerażało.

Tata grał z chłopcami w nogę, i ja dołączyłam do nich na chwilę, a Jessie została na werandzie z zakonnice i Dermotem. Potem mieliśmy piknik i opowiadaliśmy sobie, jak wygląda życie w klasztorze. Moi bracia wydawali się szczęśliwi tam, gdzie są. Wszyscy zgodnie twierdzili, że ich ulubioną zakonnice jest siostra Imelda, a ja powiedziałam im, że też mam matkę Imeldę. Tata nie mówił zbyt wiele, tylko patrzył, jak siedzimy razem i rozmawiamy o zakonnice, naszych nowych przyjaciółach i co jedliśmy na obiad. Kiedy nadszedł czas odjazdu, Noel i Maurice zdołali powstrzymać się od płaczu. Johnowi zadrżała broda, a maluchy cieszyły się, że wracają do siostr.

Ryczałam przez całą drogę do Dublina. Tego wieczoru modliłam się, żebyśmy wszyscy znowu byli razem. Upewniłam się nawet, że leżę na plecach z rękoma złożonymi na piersi, tak żeby nie kusić diabła.

Tata przyjeżdżał do mnie tak często, jak mógł. Czasami siostry pozwalały mi wyjść z nim na cały dzień. Nie zawsze przyprawdzał Jessie, a dni, kiedy miałam go tylko dla siebie, były najlepsze ze wszystkich. Babcia nigdy mnie już nie odwiedziła, bo tata jej tego zabronił, ale co miesiąc przysyłała mi paczkę herbaty i zielone wstążki do włosów. Zawsze dołączała pogodny list, a siostry pozwalały mi odpisać. Nigdy nie powiedziałam tacie o paczkach i listach od babci. Wiedziałam, że tak będzie lepiej.

Na koniec tego miesiąca umarła jedna z sióstr. Była to matka Ignatius. Klasztor zrobił się bardzo cichy, wszyscy mówili prawie szeptem. Cisza była niesamowita. Pewnej nocy wyobraziłam sobie, że matka Ignatius szybuje po dormitorium. Przybył biskup odprawić nabożeństwo żałobne, potem wszyscy poszliśmy na mały cmentarz za kaplicą i otoczyliśmy kręgiem grób matki Ignatius, modląc się cicho, a różańce zwisały nam z dłoni. Nie modliłam się jednak za matkę Ignatius; nie znałam jej. Odeszła na emeryturę, zanim przybyłam do klasztoru, a potem leżała chora w infirmaryum. Zamiast tego modliłam się, żeby tata zmusił ministra, żeby mnie sprowadził do domu. Kiedy wszyscy jeszcze staliśmy kręgiem nad grobem, dostrzegłam wzrok biskupa i szybko zmieniałam modlitwę. Modliłam się za duszę biednej, świątobliwej matki Ignatius i skierowałam wzrok ku niebu, starając się samej wyglądać na świątobliwą.

Wciąż tęskniłam za swoimi braćmi i czasami też za mamą, ale nie miałam już więcej koszmarów i zaczęłam zapominać, jak wyglądało życie w Fatima Mansions. Miałam w klasztorze przyjaciółki i czyste ubrania, a moje włosy zawsze lśniły. Byłam jedyną dziewczynką z długimi włosami. Tata zabronił zakonnicom obcinania ich, tego pierwszego dnia, kiedy mnie przywiózł do klasztoru, i one się posłuchały. Dziewczęta w dormitorium na zmianę je szczotkowały i na różne sposoby wiązały moimi wstążkami. Uwielbiałam te zabiegi. Dostałam nawet podwiązki do długich, brązowych pończoch. Na początku spadały i zwisały mi wokół kostek, kiedy szliśmy do szkoły.

Nie znałyśmy w klasztorze uścisków ani pocałunków, ale czułyśmy się kochane i stanowiłyśmy rodzinę. Rozmawiałyśmy o naszych prawdziwych rodzinach i o tym, jak nasze mamy i nasi tatusiowie zabiorą nas pewnego dnia do domu. Nie mogłyśmy się doczekać wieczorów w szwalni, kiedy matka Teresa uczyła nas dziać skarpety czterema drutami, zaczynając od dwóch, i dodając potem pozostałe, tak że mogłyśmy zrobić cylinder z wełny. Opowiadała nam historie ze swojej młodości w Connemara. Miała różowe policzki i bardzo niebieskie oczy i wyobrażałam ją sobie na farmie, w pobielonej chałupie, jak piecze chleb i robi dżem truskawkowy. Kochałam większość sióstr, ale matka Teresa była moją ulubioną. Zakonnice czasami nas karały. Jeśli jedna z nas zrobiła coś złego i żadna się nie przyznała, musiałyśmy wszystkie stać w szeregu, a nasze nogi związywano taśmą. Matka Bernadette była naszą ulubioną wiążącą, ponieważ nigdy nie ścisnęła nas tak mocno jak inne i wydawała się cierpieć bardziej niż my. Jeśli chodzi o mężczyzn, nie odgrywali większej roli w naszym klasztorowym życiu,

oprócz księży, którzy przyjmowali spowiedź i odprawiali mszę, i Starego Joe, złotej rączki.

Stary Joe krążył pomiędzy klasztorem, zakładem kobiecym a szpitalem dla psychicznie chorych, nosząc rzeczy tam i z powrotem i naprawiając, co się da. Dziewczęta w klasztorze robiły pranie i nasza farma dostarczała wszystkim trzem instytucjom jajka, mleko i masło. W zakładzie pieczono orzechy kokosowe, kwadraty dżemowe i inne ciastka, a Stary Joe zawsze przynosił nam trochę w wielkim koszu na pranie, który przetaczał za boiskiem w sobotnie poranki.

Pewnego ranka, kiedy Jessie i tata przyjechali zabrać mnie na cały dzień, Stary Joe pchał drogą kosz. Oderwałam się od tatusia i pobiegłam złapać Starego Joe. Wzięłam go za rękę i zaciągnęłam do taty, żeby się przywitał. Byłam bardzo dumna, że mój tata odwiedza mnie co tydzień i uwielbiałam przedstawiać go wszystkim. Stary Joe zdjął kapelusz i wymienił uścisk ręki z tatą i Jessie. Kiedy odszedł do swoich zajęć, Jessie mruknęła coś o nim do taty. Nie zrozumiałam, co, ale wiedziałam, że to było nie-miłe. Bardzo się na nią zezłościłam i powiedziałam jej, żeby wracała do Anglii.

- Nie jesteś moją prawdziwą mamą - krzyknęłam - nie lubię cię!

Tata pociągnął mnie za ramię i kazał mi przeprosić moją nową mamę.

- Nie! - szarpnęłam się. - Chcę, żeby ona sobie poszła, nie lubię jej!

Płakałam już, głównie dlatego, że tata był na mnie zły, ale także dlatego, że kiedy spojrzałam na Jessie, coś w jej oczach mówiło mi, że ona wygra.

- Jeśli nie przeprosisz nowej mamy - powiedział tata - nie wyjdiesz dzisiaj z nami. - Gestem wskazał mi Jessie.

Minęłam ją i pobiegłam do klasztoru, i dalej na górę do dormitorium. Padłam twarzą na łóżko. Nie obchodziło mnie, czy kuszę diabła. Po chwili do dormitorium weszła matka Bernadette i stanęła nade mną. Powiedziała, że tata czeka na mnie na dole.

- No chodź. Umyj buzię, pójdziemy razem i przeprosisz swoją nową mamę.

Zastanawiałam się, dlaczego ona, u diabła, chce, żebym umyła buzię i przeprosiła Jessie. Odmówiłam pójścia. Za bardzo się wstydziłam zobaczyć tatę i wiedziałam, że nie będę w stanie przeprosić Jessie. Ale matka Bernadette nie odeszła, póki nie ustąpiłam.

Tata siedział sam w pokoju odwiedzin. Nie wyglądał już, jakby był na mnie zły. Podbiegłam do niego, a on uścisnął mnie mocno. Potem powiedział: - Musimy poważnie porozmawiać, malutka.

Ale tego dnia nie rozmawialiśmy poważnie. Poszliśmy natomiast do kina i obejrzelśmy film z Royem Rogersem, taty ulubionym śpiewającym kowbojem. W przerwie każde z nas zjadło lody czekoladowe, a w trakcie filmu cukierki. Jessie zniknęła i byłam pewna, że tata odeśle ją z powrotem do Anglii. Dzień zrobił się doskonały.

Przez kilka następnych tygodni tata przyjeżdżał do mnie sam i nie wspominał o Jessie. Zaczęłam wierzyć, że ona naprawdę odjechała do Anglii. Nie było jej nawet w domu dziadka, kiedy tata zabrał mnie tam w odwiedziny. Siedzieliśmy, słuchając, jak dziadek gra, a ja śpiewałam *Ave Maria* i zastanawiałam się, dlaczego nie może tak być przez cały czas.

Pewnego ranka w marcu tata miał wpaść po mnie o dziewiątej. Matka Teresa przygotowywała mnie do wyjścia, starając się to zrobić jak najsprawniej, i jakoś bardzo się denerwowała. Po całym obrzędzie wiązania, gładzenia i błagania „stój spokojnie, dziecko”, odsunęła się i obejrzała mnie od stóp do głów. Zadowolona, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do gabinetu wielbnej matki. Był tam tata, który wyglądał bardzo poważnie. Wielbna matka uśmiechnęła się do mnie zza swojego biurka. Kiedy wstała, górowała nad wszystkim i przypominała mi wielkoluda. Stałam przed jej biurkiem, z rękoma za plecami, próbując sobie wyobrazić, co się wydarzyło, albo - co gorsza - co miało się wydarzyć.

- Usiądź, Evelyn, moje dziecko. Twój ojciec i ja chcemy z tobą porozmawiać.

Nie mogłam sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek wcześniej zwróciła się do mnie po imieniu i zastanawiałam się, czy to dobry znak, czy zły. Usiadłam, a tata westchnął głęboko.

- Ebbs, malutka - powiedział - musimy porozmawiać o twojej nowej mamie.

Wytrzeszczyłam na niego oczy. Więc Jessie nie wróciła jeszcze do Anglii?

- Zgodziła się ona zostawić swój dom, przyjaciół i rodzinę, tylko po to, żeby dbać o nas. Bez niej nie będę mógł zabrać ciebie i chłopców do domu. Po prostu musisz to zaakceptować, rozumiesz?

Nie mogłam patrzeć ani na tatę, ani na wielbłądzą matkę. Było mi niedobrze.

- Dlaczego nie możemy mieć w domu z powrotem naszej prawdziwej mamy? - zapytałam.

Tata odparł, że nie wie, gdzie ona jest, ale że i tak do nas nie wraca.

- Ona ma teraz nowe życie, maleńka, i ja nie mogę już z nią być. - I wtedy, zupełnie jak mama, powiedział: - Zrozumiesz to, jak dorośniesz.

Ale ja czułam się dorosła. Wiedziałam, czego chcę, i to nie była dziwna angielska pani zamiast mamy. Miałam też pewność, że chłopcy myślą tak samo. Wielbłądza matka wyszła zza biurka. Uklękła przede mną i wzięła moje dłonie. Wielbłądza matka nigdy wcześniej mnie nie dotykała. Jej dłonie były zimne i ze zdziwieniem poczułam ulgę.

- Evelyn, moje dziecko - powiedziała - musisz dać tej pani szansę. Nasz Pan mówi, że powinniśmy być wyrozumiali i życzliwi. A ty pomożesz w ten sposób swojemu tacie.

Wstała i poklepała mnie po głowie, a potem zostawiła samą z tatą. Nie pobiegłam do niego jak zawsze, tylko zostałam na swoim krześle. Coś w

jego zachowaniu albo w oczach było dzisiaj inne, i pomyślałam, że może zdecydował, że przestanie mnie kochać. Zastanawiałam się, czy mam winić siebie za to, że moi bracia zostaną w klasztorze w Kilkenny, a potem przyszło mi do głowy, że chłopcy też nie będą mnie już kochać. Czułam się tak, jak wtedy, kiedy musiałam postanowić, czy zanieść skrzynki do pana Gleasona, którego nienawidziłam, czy udać się w długą drogę do farmy. Namyślałam się mocno.

- Dobrze, tato. Postaram się ją polubić.

Tata powiedział, że jestem dobrą dziewczynką i że łatwiej, niż mi się zdaje, przyzwyczaję się do nowej mamy.

- Ona nie wyjdzie i nie zostawi cię samej, żebyś się zajmowała chłopcami - zauważył. - Wszyscy będziecie pod opieką. I posłuchaj mnie, malutka. To ważne, żeby minister wiedział, że będziemy razem szczęśliwi i że nie możesz się doczekać powrotu do domu. Rozumiesz?

Ja wiedziałam tylko tyle, że moja prawdziwa mama nie wraca, że nowa mama ma tu zostać i że, z nieznanej przyczyny, muszę ją lubić. Nadal nie rozumiałam, kim lub czym jest minister, ale z jakiegoś powodu o nim też musieliśmy myśleć. Zapytałam, czy minister będzie z nami mieszkał, a tata się roześmiał.

- Matko Przenajświętsza, mam nadzieję, że nie. Nie mamy na tyle wielkiego krzesła, żeby zmieściło jego tłusty tyłek! A teraz chodź.

Wyszliśmy do samochodu i skierowaliśmy się do centrum. Tata powiedział, że jedziemy się spotkać z jego drużyną prawniczą, a ja zapytałam, co to za gra ta prawnicza.

Spojrzał poważnie. - To są ludzie, którzy walczą z rządem w moim imieniu, żebym mógł was sprowadzić z powrotem do domu.

Dojechaliśmy na ruchliwą, szeroką ulicę nieopodal St Stephen[^] Green i tata zaparkował przed wysokim budynkiem. Zadzwoił do drzwi wejściowych i kiedy czekał, aż ktoś nam otworzy, ja patrzyłam na lśniąca, mosiężną kołatkę w kształcie kobiecej twarzy. Miała smutny wyraz, a w jej włosach były winogrona i pióra. Chciałam zapukać nią w drzwi, ale tata mnie powstrzymał.

Otworzyła nam prawdziwa kobieta. Miała drogą spódnice i bluzkę, a jej włosy były związane na karku w doskonały kok. Poszliśmy za nią imponującymi schodami do biura na pierwszym piętrze. Dywan był tak gruby, że nasze nogi nie powodowały żadnego hałasu, a ja zastanawiałam się, czy nie znaleźliśmy się w jakimś pałacu. Tata powiedział, że będzie tu cała drużyna, ale kiedy otworzyły się drzwi do biura, w środku zastaliśmy tylko jednego człowieka. Był ogromny, nawet większy od wielebnej matki. Miał zmierzwioną, białą brodę i krzaczaste brwi, które stykały się ze sobą u nasady nosa, i niebieskie, sympatyczne oczy. Ukłonił się i przywitał mnie uściskiem ręki. Dłonie miał wielkie i bardzo czyste, ale nie tak delikatne, jak ręce księży, którzy odprawiali msze w klasztorze. Wyczuwałam zapach whisky, tytoniu fajkowego i mydła.

-Więc to ty jesteś ta mała flirciara, która wszystkim sprawia kłopoty! - powiedział wielki człowiek, uśmiechając się do mnie.

- Evelyn, to jest pan Conolly - rzekł tatuś. - On nam pomaga.

Pan Conolly podał rękę tacie i zaprosił nas oboje, byśmy usiedli. Ja zajęłam jedno z wyściełanych skórą krzeseł i przesunęłam się do tyłu, tak że moje stopy sterczały znad przedniej krawędzi siedzenia. Kiedy próbowałam podciągnąć się z powrotem, żeby siedzieć jak należy, stwierdziłam, że utknęłam. Musiałabym postawić stopy na siedzeniu, by na powrót wstać. Bałam się to zrobić i nie chciałam wspominać tacie, że utknęłam, więc siedziałam po prostu spokojnie i słuchałam, co mówi pan Conolly.

- Desmondzie, dlaczego nie powiedziałeś mi, że pani Brown nie jest katoliczką?

Tata wyjął paczkę gold flakesów i zaproponował je panu Conolly'emu. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko, zastanawiając się nad pytaniem.

Kiedy minęły całe wieki, odparł: - Nie wiem, jak oni mogli to odkryć, pewnie przez to, że nie chodzi do kościoła. Ale co z tego, że nie jest katoliczką? Jaki to ma, cholera, związek z ceną chleba?

Och nie, tata teraz już na pewno pójdzie do czyścica, jednym tchem przeklinając i wspominając kościół. Przez długie lata będę się modlić o zbawienie jego duszy, póki się nie zestarzeję, ale tak czy owak kim jest pani Brown?

Pan Conolly spojrzał teraz na mnie. Uśmiechnął się uroczo i zaczął mnie pytać o siostry i klasztor. Powiedziałam mu, że siostry są bardzo miłe

i codziennie chodzimy do szkoły i gotują dobre jedzenie, oprócz sobót, kiedy dostajemy czarny pudding, a jeśli się zaraziło grzybicą, to trzeba mieć ogoloną głowę i bawić się samemu na podwórku z węglem.

- Więc mam nadzieję, że nigdy nie będę miała grzybicy - dorzuciłam.

Powiedziałam mu też, że wpadłam w kłopoty, ponieważ nie chodziłam na zajęcia z chóru i że matka Bemadette kazała mi pracować na farmie.

-Wyznaczyła mi taką karę, bo nie wiedziała, że ja uwielbiam pracować na farmie.

Spojrzałam na tatę. Uśmiechał się do mnie.

- Nie wydaj mnie - powiedziałam mu - bo będę musiała pracować w buciarni.

- Nie martw się, malutka - odparł. - Nie wydam cię.

- A teraz, Evelyn - wtrącił pan Conolly - powiedz mi taką rzecz. Lubisz swoją nową mamę?

Jego pytanie mnie zszokowało. Patrzyłam na niego, zapadnięta w skórzane krzesło. Czy pan Conolly był ministrem? Spojrzałam znowu na tatę. Zapalał kolejnego papierosa i nasze oczy się spotkały. Wiedziałam, co chce ode mnie usłyszeć, ale ten wielki pan był taki miły i przyjacielski, że miałam ochotę wyznać mu prawdę: że nienawidzę Jessie i że pragnę powrotu mojej prawdziwej mamy.

- No dalej, malutka - ponaglił pan Conolly. - Możesz mi powiedzieć.

Wszystko, co tata mówił rano, huczało mi teraz w głowie. Powinnam skłamać, dla dobra nas wszystkich, i pójść do spowiedzi w niedzielę przed mszą.

- Tak - powiedziałam. - Bardzo ją lubię. Jest śliczna i sprawia, że tata czuje się szczęśliwy, i nie będę musiała już chodzić do pana Gleasona.

Nie byłam pewna, czy to wystarczy. Miałam nadzieję, że tak, bo nie mogłam wymyślić więcej miłych rzeczy o nowej mamie. Pan Conolly poklepał mnie po głowie i podszedł do swojego biurka. Zdołałam się uwolnić z wielkiego krzesła i krążyłam po pokoju, kiedy tata i pan Conolly rozmawiali jeszcze ze sobą. Nadstawiłam uszu, gdy usłyszałam, że wspomniano ministra.

- Domyślam się - mówił pan Conolly - że minister tam będzie. I ktoś z naszych kościelnych przyjaciół. Teraz próbują zwrócić uwagę, że oprócz tego, iż nie ma tu twojej żony, żeby razem z tobą prosiła o zwolnienie Evelyn, kobieca pomoc, którą zapewniłeś, jest nieodpowiednia.

Podniósł list i odczytał tacie jego fragment: - „Chociaż pański klient wykazał, że zapewnił odpowiednie warunki bytowe i ma stałe zatrudnienie, nie udało mu się zagwarantować kobiecej pomocy zgodnie z Ustawą o Dzieciach z 1941 roku”.

Wręczył list tacie, który przejrzał go i z obrzydzeniem rzucił z powrotem na biurko. Widziałam, że próbuje zapanować nad wściekłością.

- Więc co to znaczy? - zapytał.

- To znaczy - powiedział pan Conolly - że zamierzają sięgnąć po każdą najbrudniejszą sztuczkę. Mój przyjaciel w Leinster House był mi winien przysługę. Udzielił mi poufnej informacji, że pewien dżentelmen odbył pogawędkę z panią Brown. I to ten dżentelmen odkrył, że pani Brown nie jest katoliczką. Dlatego właśnie pani Brown okazała się „nieodpowiednia”. To oznacza, Desmondzie, że kler jest zainteresowany twoją sprawą.

Tata nazwał kogoś przeklętym łajdakiem. Jego ramiona opadły, westchnął głęboko i przeczesał włosy palcami. Wyglądał na zmęczonego.

- Co teraz zrobimy? - zapytał.

- Idziemy dalej - odparł pan Conolly. - W końcu „odpowiedniość” pani Brown nie jest czynnikiem decydującym.

Dał mi lizaka i stwierdził, że jeśli ktokolwiek zapyta mnie o nową mamę, mam mówić dokładnie to, co powiedziałam jemu.

- I póki co - dodał - zostawiamy to tak, jak jest.

Odprowadził nas na dół i kiedy szłam za nim i tatą, wyobrażałam sobie, że zjeżdżam po długiej, lśniącej, drewnianej balustradzie.

ROZDZIAŁ 5

TLR



Nad rzekę Lessy w Strawberry Beds

T L R

Z biura pana Conolly'ego poszliśmy przez St Stephen's Green w stronę samochodu, a tata powiedział, że musi się napić. Wsiadliśmy do austina i skierowaliśmy się na zachód, poza centrum. Jechaliśmy wzdłuż Liffey i minęliśmy Phoenix Park. Tata nie mówił, dokąd zmierzamy, ale ja wiedziałam i się cieszyłam. Zdążyliśmy do Strawberry Beds, gdzie tata mieszkał jako chłopiec. Kiedy jeszcze wszyscy byliśmy razem, zanim mama odeszła, w niedzielne poranki tata pakował nas do austina i spędzaliśmy długie słoneczne dni na brzegu rzeki w Strawberry Beds. Chłopcy i ja zbieraliśmy patyki i suche gałązki, a tata rozpalał ognisko. Mama piekła kiełbaski i biały pudding. Potem w kocherze robiła dla taty herbatę. Reszta z nas gasiła pragnienie tylko wodą, ale ta smakowała szczególnie, ponieważ piliśmy ją nad rzeką i na wspaniałej wycieczce.

Potem tata wyciągał swój worek na ryby, ukryty w krzakach. Trzymał go tam, ciągle ten sam od czasu, gdy miał szesnaście lat. Był to stary worek na ziemniaki, przecięty w jednym miejscu. Po każdej stronie rozcięcia miał przymocowane dwie długie rączki od pędzli. Tata zdejmował buty i skarpetki, podkasywał spodnie do kolan i siedł płytką stroną rzeki, trzymając worek przed sobą i podrywając płotki na przynętę. Potem wrzucał je do starej, wyczyszczonej puszki po farbie. Myślałam, że to okrutne wkładać małe, wijące się rybki na haczyk, żeby je zjadła większa ryba, ale tata powiedział, że one nic nie czują.

- A kiedy połyka je łosoś albo pstrąg - dodał - natychmiast giną.

Pewnego dnia kiedy tata poderwał worek z wody, ten podskakiwał i wiercił się. Zebraliśmy się wszyscy dookoła, żeby zobaczyć, co sprawia, że worek żyje własnym życiem. Tata przewrócił go nad puszką po farbie i wysliznął się z niego wielki węgorz, który przewrócił pojemnik na trawę. Wpełznął z powrotem do rzeki, a my wszyscy pobiegliśmy z krzykiem do mamy, wołając, że tata złapał węża.

- To wcale nie był wąż - powiedział tata ze śmiechem. - To taka ryba.

Ale my nie daliśmy się przekonać i dużo czasu minęło, zanim którekolwiek z nas poszło brodzić sobie w rzece.

Jeśli tata łapał tłustego pstrąga albo łososia, mama stawiała na ogniu starą, czarną patelnię. Biedna ryba skwierczała na złoty brąz i kładliśmy jej kawałki pomiędzy kromki chleba z pomidorami i cebulą. Potem jedliśmy szarlotkę, którą mama przygotowywała poprzedniego dnia. Za każdym razem, kiedy mieliśmy świeżą rybę, tata cmokał ustami i mówił: - To najlepszy obiad, jaki w życiu jadłem.

Potem kładł się na trawie i zapalał papierosa, a mama i ja zwijałyśmy obóz i myłyśmy w rzece patelnię i naczynia. Potem tata zabierał nas do Wren's Nest. On i mama brali piwo i siadali w środku pubu, a ja i chłopcy braliśmy swoje torby chrupek i butelki z lemoniadą i siadaliśmy na zewnątrz.

Mama zawsze mówiła: - Uważaj na dzieci!

Ale my zawsze byliśmy zadowoleni, kiedy jechaliśmy do Strawberry Beds, i siedzieliśmy szczęśliwi na trawniku, nie sprawiając najmniejszego

kłopotu, czekając, aż mama i tata skończą swoje napitki. Czasami wracaliśmy potem nad rzekę i biegaliśmy na oślep przez resztę popołudnia, a tata łowił jeszcze ryby.

Pewnego dnia w Strawberry Beds narobiłam sobie kłopotów. Kiedy ruszyliśmy naszą wydeptaną ścieżką nad brzeg rzeki, tata powiedział mi, że bym trzymała Johna za rękę, ponieważ jest malutki.

- I pilnuj, żeby ci nie uciekł - dodał.

Ale John się wysliznął i wpadł prosto w kępę pokrzyw. Wydał rozdzierający uszy krzyk, a tata pędem go stamtąd wyciągnął. Mama uderzyła mnie po nogach za to, że pozwoliłam Johnowi upaść, i ja też zaczęłam krzyczeć. Tata się wtedy zezłościł, ale kiedy mama zaczęła smażyć kielbasę, wszyscy odzyskaliśmy humory. Tata zawiązał Johna w liście szczawiu od stóp do głów i zrobił mu zdjęcie. Ja też byłam na fotografii razem z moim braciszkiem i wciąż dąsałam się za to, że mama mnie zbiła. Uwielbiałam dni w Strawberry Beds, nawet tamten, i czasami myślałam o nich, kiedy tęskniłam za braćmi i mamą.

Teraz tata i ja byliśmy znowu w Wren's Nest. Tata zaparkował samochód na trawniku i weszliśmy do środka. Moje oczy musiały się przyzwyczaić do mroku. Siedziało tu przy barze kilku starszych mężczyzn, gawędząc i paląc fajki. Wszyscy mieli przed sobą pintowe szklanki portera. Jeden czy dwóch podniosło wzrok, żeby zobaczyć, kto wchodzi, i skinęło tacie głową. Przez drzwi za barem weszła niska, gruba kobieta, a tata zamówił piwo.

- Dessie Doyle! To ty? - zapytała kobieta, patrząc na niego w zdumieniu, z uśmiechem.

- To ja - odparł tata. Ale przyznał, że nie może przypomnieć sobie, czy ją zna.

Okazało się, że tata i ta kobieta chodzili razem do szkoły. Przez kilka minut wspominali stare czasy. Śmiali się z tego i owego, a niektórzy z mężczyzn przy barze dołączyli do nich. Wyglądało na to, że każdy w pubie pamięta tatę z chłopięcych czasów.

- Przypominam sobie twoją biedną mamę i piękną siostrę - rzekł jeden ze starców. Pokręcił głową ze smutkiem i dodał, że to była wola Boga, żeby umarły tak młodo.

Tata powiedział, że jego druga siostra, Annie, umarła na gruźlicę, a mężczyzna przeżegnał się i wziął łyk portera.

Nie mogłam sobie wyobrazić taty jako chłopca. Teraz wydawał się bardziej odprężony niż w biurze pana Conolly'ego. Szybko wypił swojego portera, a pani za barem zaprosiła go, by został na herbacie, ale on odparł, że musi odwieźć mnie do klasztoru. Wszyscy wiedzieli, co to znaczy.

- Masz jakieś kłopoty, Des? - zapytała kobieta.

Tata powiedział jej, że mama zostawiła rodzinę i że ten „pieprzony rząd” nie pozwala mu zabrać dzieci do domu.

Skończyłam swoją lemoniadę, a tata pożegnał się ze starcami. Wszyscy życzyli mu powodzenia, a gruba kobieta obiecała, że będzie się za niego modlić.

W drodze powrotnej do klasztoru tata znowu zamilkł. Kiedy ścisnął mnie na pożegnanie, czułam w piersi ten kamień, co dawniej. Tego dnia usłyszałam wiele rzeczy, których nie rozumiałam, ale wiedziałam, że rząd jest potężny i że tata z nim walczy.

Tej nocy śnił mi się koszmar. Byłam na brzegu rzeki w Strawberry Beds, a tata leżał pod wodą i miał bardzo smutną twarz. Mama stała boso na brzegu, a ja nie mogłam jej ominąć, żeby pomóc tacie wydostać się z rzeki.

Pewnego ranka, kiedy wychodziłyśmy z bramy ogrodu do szkoły, usłyszałam, jak pewien człowiek z aparatem pyta matkę Bridget, czy mogłaby mnie wskazać. Matka Bridget powiedziała mi, żeby sobie poszedł i że jeśli spróbuje zrobić mi zdjęcie bez zgody wielebnej matki, będzie miał poważne kłopoty. Kiedy mężczyzna zniknął, zapytałam matkę Bridget, dlaczego ten człowiek chciał mi zrobić zdjęcie.

Ona zawołała moją koleżankę Siobhan i powiedziała: - Biegnij natychmiast z Evelyn do szkoły i nie rozmawiaj z nikim ani nie zatrzymuj się po nic.

Siobhan i ja biegłyśmy co sił całą drogę do Lark Hill i zanim dotarłyśmy do placu zabaw, nie mogłyśmy złapać tchu. Kiedy przybyła reszta

dziewcząt, stłoczyły się dookoła mnie i zapytały, co się dzieje, ale nie mogłam odpowiedzieć. Zresztą to nie wydawało się bardzo ważne.

Następnego ranka matka Bernadette powiedziała, że mam przyjść do niej, zanim wyruszę do szkoły, i przyprowadzić ze sobą Siobhan. Wyglądała bardzo poważnie i zastanawiałam się, czy dowiedziała się o naszej bandzie, która wśliznęła się do dormitorium zakonnicek.

Nie dotykałyśmy niczego, tylko rzuciłyśmy okiem. Nie znalazłyśmy tam za dużo do oglądania; wszystkie łóżka były ukryte w boksach przesłoniętych kotarą. Przebiegłyśmy przez boksy, starając się nie tupać za głośno po wypolerowanej podłodze. Wyleciałyśmy przez drzwi, popędziłyśmy na tylne schody i ześliznęłyśmy się na sam dół po krętej poręczy. Jedna z kobiet pracujących w pralni widziała nas u dołu schodów.

- Co wy tu, łajdaczki, robicie? - zapytała. Starła się, żeby w jej głosie było słychać, że jest zła.

Nic nie odpowiedziałyśmy, tylko pobiegłyśmy jak spłoszone zające na podwórko z węglem i tam się ukryłyśmy, zgięte w pół, próbując wstrzymać oddech i śmiejąc się jednocześnie. Uspokoiwszy się, omówiłyśmy zagadnienie, czy powinnyśmy, czy też nie, pójść do spowiedzi. Ja powiedziałam, że nie zamierzam tego robić, a pozostałe stwierdziły, że one też nie pójdą, i wszystkie uzgodniłyśmy, iż to będzie nasza tajemnica.

Nie sądziłam więc, że to wycieczka do dormitorium jest powodem, dla którego chciała mnie widzieć matka Bernadette. Może się dowiedziała, że Mary Kelly i ja byłyśmy w buciarni. Zakradłyśmy się tam, poprzestawiały-

śmy wszystkie buty i powiązałyśmy je sznurowadłami, wywołując niezłe zamieszanie. Nikt nie mógł znaleźć właściwego rozmiaru, a niektóre supły zacisnęłyśmy tak mocno, że nie sposób ich było rozwiązać. Matka Paul musiała je rozciąć nożyczkami. Biegała, szukając nowych sznurowadeł, starając się, żeby żadna z nas nie spóźniła się do szkoły. Chciałam się przyznać do buciarni, ale Mary przekonała mnie, że mam trzymać buzię na kłódkę i w rezultacie wszystkie dostałyśmy pasem.

Kiedy siadłam nad śniadaniem, zastanawiając się, jaki mam kłopot z matką Bernadette, tak się zaczęłam martwić, że nie mogłam jeść. Chciałam tylko mieć już to wszystko za sobą, cokolwiek to było. W końcu Siobhan i ja wyszłyśmy z refektarza i ruszyłyśmy do siostry Bernadette. Całą drogę trzymałyśmy się za ręce. Gabinet był na samym końcu korytarza i wyglądał raczej jak wielka szafa. Trzęsłam się ze strachu, a Siobhan starała się mnie zapewnić, że wszystko jest w porządku i że nie mam żadnych kłopotów z matką Bernadette. Siobhan była jak starsza siostra, której nigdy nie miałam. Uwielbiałam jej lśniące, czarne włosy, czystą, białą skórę i jej piękny śpiew, chociaż nie wtedy, gdy setki razy dziennie słyszałam z jej ust „Och, mój Papa”.

- Mogłabyś zamiast tego zaśpiewać „Daleko stąd”? - zapytałam pewnego razu, a ona zagroziła, że trzepnie mnie w ucho.

Przed gabinetem matki Bernadette poprawiła mi krawat i zacisnęła wstążki. Idealnie naśladowując wielebną matkę, powiedziała: - Odwagi, moje dziecko.

Zachichotałam, a matka Bernadette otworzyła drzwi. Nie wyglądała na złą i od razu wiedziałam, że nie jestem w kłopotcie.

-Wejdźcie, dziewczynki - powiedziała - i usiądźcie.

Na początek napomniała Siobhan, że to bardzo ważne i żeby starannie wszystkiego słuchała.

- Jesteś jedną ze starszych dziewczynek - zauważyła - i chcemy ci powierzyć specjalną opiekę nad Evelyn.

Siobhan zrobiła wielkie oczy i skinęła uroczyście głową.

Matka Bernadette zwróciła swoją uwagę na mnie. - Evelyn, twój tata idzie dzisiaj do sądu, zapytać ministra, czy może cię zabrać do domu, a my spodziewamy się, że gazety będą bardzo zainteresowane tą sprawą.

Szłam do domu! Ledwie mogłam wysiedzieć. Moje serce łomotało jak szalone, a ręce się trzęsły.

-Spodziewamy się jednak, że proces potrwa jakiś czas. Wczoraj fotograf z gazety próbował zrobić ci zdjęcie. Nie chcemy, żeby to się zdarzyło. Rozumiesz, Evelyn?

Odparłam, że rozumiem. Ja też wolałam, żeby moje zdjęcie nie pojawiło się w gazetach i nie mogłam zrozumieć, dlaczego ktokolwiek chciałby je tam zamieścić. To tata walczył z ministrem, nie ja.

- Siobhan - powiedziała matka Bernadette - chcę, żebyś nie odstępowała Evelyn nawet na krok. Jeśli na ulicy w drodze do szkoły zobaczycie kogoś z wielkim aparatem, masz naciągnąć na Evelyn kaptur i jak naj-

szybciej dotrzeć na miejsce albo przyprowadzić ją z powrotem. Zrobisz tak, moja droga?

Siobhan ponownie skinęła głową i udało jej się przybrać wygląd jeszcze bardziej uroczysty niż przed chwilą.

Przez kilka następnych dni trzymała się blisko mnie i wpatrywała się we wszystkich mężczyzn, których widzieliśmy na ulicy, mimo że żaden z nich nie miał aparatu. Siobhan traktowała swoje obowiązki bardzo poważnie i dla nas obu było to podniecające. Każde przejście do i z Lark Hill stało się przygodą, kiedy wskazywałyśmy mężczyzn i mówiłyśmy: „To może być ten” albo „A może ten?”. Naciągałam kaptur i szłam jak mnich pogrążony w modlitwie, z pochyloną głową i złożonymi rękoma ukrytymi w rękawach. Czasami dołączały do nas inne dziewczęta i też udawały, że są mnichami. Wszystkie bełkotałyśmy monotonię, a na koniec długim, głośnym jękiem obwieszczałyśmy „Amen”. Dorośli rzucali nam dziwaczne spojrzenia, ale my świetnie się bawiłyśmy i byłam pewna, że kiedy Siobhan mnie pilnuje, nie ma szansy, że moje zdjęcie trafi do gazet.

Był maj. Tata siedział w sądzie okręgowym, starając się zrozumieć, co mówią prawnicy. Pan Conolly wyjaśniał trzem sędziom, że kiedy tata zgadzał się na oddanie swoich dzieci pod opiekę państwowych szkół industrialnych, sędzia w sądzie rodzinnym radził mu „nie zostawiać ich tam zbyt długo”. Naturalnie, zaznaczył pan Conolly, tata opuścił sąd rodzinny przekonany, że może odebrać swoje dzieci ze szkół, kiedy będzie na to gotów.

- Ponieważ pan Doyle nie miał w owym czasie adwokata, nie znał powodu, aby myśleć inaczej. Na pewno Wysoki Sąd wyobraża sobie, w jaką panikę musiał wpaść pan Doyle, kiedy mu powiedziano, że nie może tak zrobić. I że przyczyną, dla której córka nie wróci pod jego opiekę, okazuje się to, zacytuję list ministra do pana Doyle'a: „że nie będzie to leżało w interesie dziecka”. Widzimy tu - powiedział, wskazując tatę - ojca, który ma dom i środki, aby zapewnić byt dziecku. A jednak to dziecko jest utrzymywane na koszt podatników.

Przerwał dla podkreślenia efektu, potem wziął z biurka kawałek papieru i pomachał nim w powietrzu. To był kolejny z listów ministra do taty.

- Pan Doyle wypełnił warunki postawione w tym liście od ministra. Teraz jednak minister poradził się prawnika i odkrył, że złożone przez mojego klienta podanie o powrót jego dziecka do domu jest nieważne. Doradca ministra domaga się więc, żeby pan Doyle znalazł miejsce pobytu swojej żony i przekonał ją, by przepisała na niego ich dzieci.

Ta wzmianka o mamie i jej podpisie doprowadziła raz jeszcze do sporu nad słowem „rodzice” w Ustawie o Dzieciach i nad tym, jak dokładnie legislatorzy chcieli, by ten wyraz interpretowano. Sędziowie i adwokat ministra upierali się, że „rodzice” oznacza mamę i tatę razem; pan Conolly twierdził przeciwnie. Spór trwał ponad godzinę i dla taty stawało się oczywiste, że pan Conolly przegrywa.

Tata wstał i opuścił salę sądową. Potrzebował powietrza albo się napić. Szedł Ormond Quay, przez Ha'penny

Bridge i znalazł pub na Tempie Bar. Z kolejką whisky i pintą portera siedział w salce bocznej, rozmyślając nad swoimi planami „porwania” własnych dzieci, próbując sobie wyobrazić, czy udałoby mu się je zrealizować i jakie mogłyby być tego konsekwencje. Kiedy za pierwszym razem omawiał je z dziadkiem, ten zasugerował, że sam mnie zawiezie do Belfastu. Ale tata zdecydował wtedy, że to on powinien zabrać mnie, a dziadek ma dołączyć do nas z chłopcami. My dwoje złapalibyśmy prom z Belfastu do Stranraer w Szkocji, a stamtąd pojechalibyśmy do Anglii. Tata zastanawiał się, czy musiałby zmienić nazwisko, kiedy już przeprawilibyśmy się przez morze. Co by było, gdyby policja aresztowała nas w Anglii? Czy odesłaliby mnie do Irlandii, żeby minister zdecydował, co się ze mną stanie? A jeśli dziadek nie zdoła zabrać chłopców z klasztoru? Do czarnej rozpaczki doprowadzała go myśl, że oni zostaną w Irlandii i nie będą mogli dojechać do nas w Anglii, jeśli dotrzemy tak daleko. Tata opracował plan. Wkrótce zorganizuje wyjście na jeden dzień, zabierze wszystkie dzieci naraz i już nas nie odwiezie. Mielibyśmy co najmniej sześć godzin przewagi i byłibyśmy na promie, zanim zakonnice by się zorientowały. Poczul, że coś postanowił, dokończył drinka i udał się w drogę powrotną do Czterech Sądów.

Kiedy zajął swoje miejsce przy stole adwokata, pan Beatty spojrział na niego. Był zdumiony, że widzi go takiego spokojnego i odprężonego i miał nadzieję, że tata nie wypił za dużo. Nie musiał się martwić. Tata był trzeźwy i nie zamierzał robić scen. Miał teraz swój plan i jeśli oznaczał on życie

wśród tych „przeklętych Anglików”, to trudno, przynajmniej odzyska swoje dzieci i tylko to się dla niego liczyło. Skierował swoją uwagę na pana Conolly'ego, który mówił:

- Wysoki Sądzie - powiedział - zacytuję Ulyssesa S. Granta, osiemnastego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który powiedział w swojej mowie inauguracyjnej: „Nie znam żadnych sposobów na uchylenie złych albo ohydnych praw tak skutecznych jak ich rygorystyczne przestrzeganie”.

Tata nie potrafił zrozumieć, jak ci wszyscy sędziowie i adwokaci mogą być dla siebie tacy mili, kiedy stoją po przeciwnych stronach. I co miała znaczyć ta cała „poezja i łacina”? Pan Beatty szepnął do niego, że pan Conolly lubi cytować filozofów i mężów stanu.

- Ujawnia swoje uczucia, nie ryzykując przy tym, że zostanie posądzony o znieważenie sądu. I czasami - dodał - używa słów innych ludzi jako zawoalowanych pogróżek.

- Zwracam waszą uwagę na artykuł 42 Konstytucji Irlandii - kontynuował pan Conolly - który mówi o prawie rodzica do kierowania edukacją dziecka. Z całym należnym szacunkiem, Wysoki Sądzie, utrzymuję, że zatrzymanie Evelyn Doyle i paragraf Ustawy o Dzieciach, pozwalający na to zatrzymanie, są niezgodne z konstytucją.

-Wnoszę, by Sąd wydał nakaz habeascorpus, skierowany do ministra edukacji i zarządcy szkoły, by przyprowadzili to dziecko przed sąd, żeby je oddano ojcu na takiej podstawie, że jego dalsze zatrzymanie jest przeciwne postanowieniom konstytucji.

Usiadł, a przemówił sędzia McLoughlin.

- To tragiczny przypadek - powiedział - i nie znajduję żadnego określenia, które oddawałoby niechęć, z którą orzekam, że dziecko musi pozostać pod opieką państwa. Niemniej jednak obowiązkiem tego sądu jest orzekać tak, jak stanowi prawo, a nie tak, jak mogłoby stanowić.

Sędzia przyznał potem, że pan Conolly podniósł kwestię zgodności z konstytucją, a on przypomina mu, że sąd okręgowy nie ma jurysdykcji nad kwestiami konstytucyjnymi.

Pan Conolly wstał, wielce ośmielony wyraźną sympatią okazaną przez ławę. Domagał się złożenia apelacji do Sądu Najwyższego i to żądanie zostało uznane. Sędziowie podtrzymali jego twierdzenie, że paragraf 10 Ustawy o Dzieciach jest niewłaściwy i przekazali zapytanie o jego nieprawidłowość do Sądu Najwyższego. Pan Conolly wyglądał na zadowolonego, ale dla taty to był tylko kolejny sąd. Na szczęście miał swój plan.

Kiedy tata i jego adwokat wyszli przed sąd, powitały ich oślepiające błyski aparatów. Do taty podbiegł jakiś mężczyzna i zapytał go, co czuje po tym orzeczeniu. Pan Beatty wcisnął się pomiędzy reportera a tatę i wyjaśnił, że są rozczarowani, iż nie otrzymali korzystnej dla siebie decyzji, ale będą kontynuować walkę w Sądzie Najwyższym. Za nimi pan Conolly udzielał wywiadu innemu reporterowi.

Kiedy prasa odeszła, pan Conolly wyjaśnił tacie, że udzielił wywiadu, ponieważ będą potrzebowali całego wsparcia opinii publicznej, jakie zdołają zdobyć.

- Ludzie muszą zrozumieć, co się dzieje, Desmondzie. A kiedy to pojmą, będą po twojej stronie. Jakże zwykły obywatel ma być nieporuszony błaganiem ojca, walczącego o prawo do sprowadzenia własnego dziecka do domu? Głowa do góry, chłopcze!

Z tymi słowy machnął radośnie na pożegnanie i powiedział tacie, że skontaktuje się z nim raczej wcześniej niż później.

Tata zapytał pana Beatty i Nicka, czy pójdą z nim na jednego.

- Muszę wam coś powiedzieć - dodał.

Poszli do pubu, usiedli w zacisznym kącie i tata przedstawił im swój plan, by zabrać dzieci z kraju. Powiedział, że czuje, iż powinien ich powiadomić, by nie marnowali dalszych wysiłków ani swego czasu na przygotowania do kolejnych rozpraw.

- Kto wam zapłaci, jeśli to będzie się dalej tak ciągnąć? - zapytał. - Przeraza mnie myśl, że jeżeli przegram jeszcze jakąś rozprawę, będę pracować na wasze rachunki do końca życia. Podjąłem decyzję - powiedział. - Zabieram dzieci i spieprzam z tego kraju.

Nick oznajmił, że nie zamierza słuchać dalej tych nonsensów i wstał.

- Przemów mu do rozsądku, dobra? - polecił panu Beatty.

Ten próbował przekonać tatę, jak głupi jest jego plan.

- Po pierwsze, nie ma sposobu, żeby ci pozwolono zabrać wszystkie dzieci tego samego dnia. Jakiś idiota już tego próbował i może by z nimi uciekł, gdyby nie zawiózł ich prosto do domu na farmę w Mayo. A nawet jeśli zdołasz zabrać je wszystkie, na pewno złapią cię na granicy.

Przypomniał tacie o przychylności sędziów i powiedział, że teraz, kiedy przed nimi już Sąd Najwyższy, nie czas podejmować pochopne albo niezgodne z prawem działania.

- TJ skrupulatnie ryje konstytucję - zapewnił. - Skupia się na twoim prawie do kierowania edukacją Evelvn, czyli na atyku 42. Tym właśnie, Desmondzie, możemy podważyć ten przepis, na podstawie którego zabrano ci dzieci. Proszę więc, zachowaj tylko cierpliwość. Będę cię informować o wszelkich dalszych działaniach.

Uścisnęli sobie ręce, ale tata nic nie obiecał.

Został w pubie trochę dłużej, nie czując się jeszcze na siłach stanąć twarzą w twarz z dziadkiem i Jessie. Wszyscy byli przekonani, że pan Connolly dzisiaj wygra i planowali nawet cichą uroczystość na wieczór.

Ktoś w pubie włączył radio, a David Whitfield śpiewał najnowszy przebój Odpowiedz mi, o mój Panie. Tata parsknął szyderczo, przełknął resztkę piwa i wyszedł. Idąc przez Ha'penny Bridge, zobaczył długi kondukt posuwający się nabrzeżem. Na jego czele cztery wspaniałe, kare konie ciągnęły oszklony karawan. Ludzie na ulicy przystawali, żeby się przeżegnać, a tata zapytał jakiegoś starszego człowieka, czyj to pogrzeb.

- To świątobliwa doktor Kathleen Lynn - odpowiedział starzec.

Kathleen Lynn otworzyła pierwszy szpital dziecięcy w Dublinie, na przełomie wieków.

- Och, ona była naprawdę święta - mówił dalej staruszek. - Troszczyła się o piątkę moich maluchów, zanim umarli na gruźlicę.

Przetarł wilgotne oczy i przestał się tatą interesować.

Kiedy tatuś był chłopcem, tylu jego przyjaciół zmarło na gruźlicę, że nawet nie czuł się zbyt wstrząśnięty. Jego najlepszy przyjaciel Gussie Pomada stracił tak dwanaścioro rodzeństwa i potem był jedynym pozostałym przy życiu dzieckiem swoich rodziców.

Przyglądając się konduktowi, tata pomyślał o tym, że my wszyscy wciąż żyjemy. Wiedział, że powinien być za to wdzięczny.

Ginny była jedną z tych moich przyjaciółek, które mieszkały w domu z rodziną. Rankiem następnego dnia po ostatniej rozprawie taty w sądzie okręgowym chwyciła mnie, kiedy wchodziłam do łazienki.

- Szybko, Evelyn, chodź do ubikacji. Mam coś dla ciebie.

Podążyłam za nią do kabiny, a ona wyciągnęła z tornistra gazetę. Tam, na pierwszej stronie, było moje zdjęcie, jak wychodzę ze szkolnej bramy. Nad zdjęciem widniał wielki nagłówek: OJCIEC NIE MOŻE SPRAWOWAĆ OPIEKI NAD CÓRKĄ.

Pobiegłam szukać Siobhan. Czułam wstyd; myślałam, że wszyscy, których mijam w holu, na pewno wiedzą, że tata przegrał. Wbiegłam do panny

O'Donnell, naszej nauczycielki, i ona znalazła dla mnie Siobhan i powiedziała jej, żeby zabrała mnie do klasztoru. Przez większość drogi biegłyśmy. Widziałam tylko ścieżkę, bo kaptur od płaszcza miałam naciągnięty na całą twarz. Siobhan trzymała mnie mocno za rękę, żebym się nie potknęła. Wsunęłyśmy się przez zieloną bramę do ogrodu, zatrzasnęłyśmy ją za sobą i oparłyśmy się o nią, żeby złapać oddech.

Skoro miałam teraz chwilę do zastanowienia, dotarła do mnie treść nagłówka. Załamalam się i płacząc, waliłam pięściami w bramę. Nigdy stąd nie wyjdę. Siobhan próbowała mnie pocieszyć i zaprowadziła mnie za rękę do gabinetu matki Bernadette. Matka była zdumiona naszym widokiem, ale natychmiast zrozumiała, że wydarzyło się coś, co nas zdenerwowało. Podbiegła do mnie i pomogła mi zdejmować płaszczy i buty.

- Co się dzieje, dziecko? - zapytała Siobhan.

Biedna Siobhan poczuła się winna. Starła się nie rozplakać, ale łzy płynęły jej z oczu.

- Bardzo przepraszam, matko - powiedziała - przysięgam, że nie widziałam nikogo z aparatem. Ale zdjęcie Evelyn jest w gazecie i tam piszą, że jej tata przegrał i nie może jej teraz zabrać do domu.

Cichutko siąpnęła i mówiła trochę przez nos, a potem się przeżegnała. Matka Bernadette zabrała nas obie do szwalni. Rozpaliła ogień, który był przygotowany na wieczór, i wyszła z pokoju. Kiedy wróciła po kilku minutach, ogień już buchał. Usiadłam przy nim, wpatrując się w płomień i starając się nie myśleć o niczym, ale ten wielki ogień i okropne samopoczucie

przypomniały mi wieczór, kiedy tata palił wszystkie zdjęcia mamy. Siobhan siedziała na poręczy mojego krzesła, wciąż powtarzając, jak bardzo jest jej przykro. Otoczyła mnie ramieniem. Matka Bernadette powiedziała jej, że ona nie jest temu winna i że nawet gdyby zobaczyła fotografującego, nie mogłaby nic zrobić.

- Nie masz się czym martwić - stwierdziła. - Ten łajdus był prawdopodobnie przebrany za słup latarni czy coś w tym rodzaju.

Uśmiechnęła się mile i powiedziała, żebyśmy otarły łzy, a potem odmówiła krótką modlitwę. Weszła matka Imelda, niosąc tacę z herbatą i ciastkami z kremem. Siobhan i ja wypiliśmy swoją herbatę z delikatnych, porcelanowych filiżanek zakonnice i to sprawiło, że pomyślałam o pięknej kuchni babci.

Tego dnia nie musiałyśmy wracać do szkoły i zanim skończył się dzień, poczułam się nieco spokojniejsza. Ale w środku nocy obudziłam się po złym śnie, byłam cała rozpalona i bolało mnie gardło. Zawołałam matkę Paul, która miała nocny dyżur. Zanim nadeszła, upewniłam się, że moje ramiona są splecione na piersi i że leżę sztywno na plecach.

Matka Paula trzymała nade mną małą lampkę i powiedziała: - Dziecko! Wyglądasz, jakbyś miała świnkę.

Pomogła mi wstać z łóżka, zabrała mnie do infirmary i oddała pod opiekę siostrze Frances.

Siostra Frances była ubrana na czarno, nie jak reszta zakonnice, które nosiły całkiem białe habity. Była to bardzo miła, starsza pani. Dużo się

uśmiechała, mówiła do mnie „Evey, kochanie” i powiedziała, że mam się do niej zwracać „siostró”. Przez kilka pierwszych dni nie zwracałam się do niej w żaden sposób; wyglądałam, jakbym miała w ustach dwa gigantyczne kneble. Kiedy poczułam się lepiej, zaczęło chorować mnóstwo innych dziewcząt. Jedna po drugiej pojawiały się w infirmarium, wszystkie z olbrzymimi gułami po obu stronach twarzy. Nie mogłam się powstrzymać od myśli, że wyglądają śmiesznie.

Siostra Frances upierała się, żebyśmy codziennie jadły czerwone pomarańcze. Nienawidziłam ich i próbowałam swoje komuś odstąpić, ale ona stała koło mojego łóżka, aż przełknęłam wszystko do ostatniego kawałeczka. Gdyby myślała, że to nam pomoże, kazałaby nam jeść także skórki. W ramach okazywania specjalnych względów robiła nam francuskie tosty i po prostu rozpieszczała nas, sprawiając, że czułyśmy się kochane. To było dla mnie nowe doświadczenie, że ktoś tak o mnie dbał, i to bardziej, niż wymagały tego gule i bolące gardło. Ale każdego wieczoru, zanim poszłyśmy spać, musiałyśmy wypić pełną łyżkę gorzkiego, gęstego lekarstwa. To potworne, czarne coś gwarantowało, że żadna z nas nie spróbuje przedłużyć pobytu w infirmarium, kiedy tylko poczuje się lepiej.

Pewnego dnia odwiedzili mnie w infirmarium tata i dziadek. Spostrzegłam ich, zanim oni zobaczyli mnie, a tata miał tak bladą i zmartwioną twarz, że chciało mi się płakać. Ale kiedy zauważył, że na niego patrzę, podskakując na łóżku i wołając go, jego twarz natychmiast rozjaśnił szeroki uśmiech. Popędził do mnie, porwał w ramiona i obracał dokoła tak długo, aż zaczęłam piszczeć z radości.

Dziadek przyniósł mi trochę słodyczy i torbę pomarańczy. Nie miałam serca powiedzieć mu, że nie dam rady zjeść już ani jednego z tych owoców, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Zmilczałam, a kiedy tata i dziadek wyszli, rozdałam je innym dziewczynkom. Tata widział zdjęcie w gazecie, a matka Bernadette powiedziała mu, jak się zdenerwowałam. Chciał wiedzieć, czy wszystko ze mną w porządku.

- Tak - powiedziałam - ale chcę iść do domu.

Ze względu na moją świnkę tata musiał odłożyć plan zabrania mnie do Szkocji. Tymczasem pan Beatty przekonał go, by całkiem porzucił ten zamiar i zaczekał na wyrok sądu. Tata starał się być dobrej myśli. Wciąż miał nadzieję, że Korporacja da mu dom, tak żeby czekało na nas mieszkanie, jak już wszyscy wrócimy. Kiedy chłopcy skończą jedenaście lat, będą odsłani z klasztoru do Braci Szkolnych. Tata nie lubił Braci Szkolnych. Nazywał ich Cholernymi Braćmi, ponieważ krążyły pogłoski, że wbijali chrześcijaństwo w chłopców, których mieli uczyć.

Babcia wciąż przysyłała mi co miesiąc ćwierćfuntowe paczki herbaty i zielone wstążki. Wyglądałam jej paczek i kochałam ją za to, że o mnie nie zapomina. Wciąż udawało mi się utrzymać podarunki babci w tajemnicy przed tatą, ale czułam się z tego powodu winna i spowiadałam się z tego co sobotę. Co tydzień miałam te same grzechy: nie- odmawianie pacierza, nieposłuszeństwo, nieżyczliwe myśli - cokolwiek to było - i niemówienie tacie o sekrecie z babcią.

Na początku lata, pod koniec semestru, wychodząc do szkoły przez bramę ogrodu, spotkałam czterech czy pięciu mężczyzn. Jedni wykrzykiwali do mnie pytania, a inni mieli ogromne aparaty fotograficzne. Oślepiły mnie błyski fleszy; przez chwilę stałam skamieniała i oszołomiona. Siobhan została już do tego czasu zwolniona z obowiązku pilnowania mnie, więc tego ranka byłam całkiem sama. Odwróciłam się, przebiegłam przez bramę i zatrzasnęłam ją za sobą. Zobaczyłam matkę Bernadette i matkę Bridget i powiedziałam im, co się stało, a one pospieszyły do bramy i odprawiły mężczyzn. Do końca semestru nie wolno mi było chodzić do szkoły z innymi dziewczynkami, a siostry same dawały mi lekcje w klasztorze.

Z nadejściem kolejnego lata poczułam, że jestem w klasztorze od bardzo dawna. Teraz już zdarzało się, że całymi dniami nie myślałam o braciach. Nie zapomniałam ich, tylko już się o nich nie martwiłam, tak jak kiedyś, ani nie zastanawiałam się przez cały czas, co akurat robią. Tata przynosił mi wiadomości o nich, a ja dawałam mu moje książki i komiksy, żeby je przekazał chłopcom, kiedy pojedzie do Kilkenny.

Letnie miesiące były ciepłe, a ja czułam się szczęśliwa w klasztorze. Spędzałyśmy długie dni na polach i farmie. Lubiłam sześć świnek i nadałam im imiona, ale krowy mnie przerażały, więc unikałam farmy, kiedy spędzano je do dojenia. Matka Teresa i niektóre ze starszych dziewcząt pomogły mi uszyć nowe ubranka dla mojej lalki Molly, i teraz miała ona przepiękny, zielony płaszczyk, który pasował do jej białych, lalkowych bu-

cików. Kochały ją wszystkie dziewczęta i wszędzie z nami chodziła. Pod koniec lata Molly straciła głos i zaczęła wyglądać na znoszoną.

Mała Ann McCafferty złapała grzybicę. Siostry zgoliły jej włosy do skóry i musiała bawić się sama na podwórku z węglem. Pewnego dnia, kiedy schodziłam na dół z dormitorium, zobaczyłam Ann przez okno na półpiętrze. Bawiła się sama na podwórku i wyglądała bardzo smutno. Przypatrzywałam się jej przez kilka chwil. Chciałam jej pomachać, więc zapukałam w okno, żeby ściągnąć jej uwagę. Ale ona nie spojrzała w górę; bębny praklek łomotały za głośno i nie mogła mnie usłyszeć. Poszłam z powrotem do dormitorium, wyjęłam Molly z jej szafki i wysliznęłam się przez buciarnię i tylne drzwi. Dałam Molly Ann, żeby dotrzymywała jej towarzystwa i wydawało się, że to ją trochę pocieszyło. Matka Imelda przestraszyła się niemal śmiertelnie, kiedy odkryła, że byłam z Ann i kazała mi się rozebrać i wejść do kąpieli, która śmierdziała jak szpital.

Kiedy szorowała mi głowę cuchnącym mydłem, zauważyła: - Co by powiedział twój tata, gdyby przyszedł i znalazł swoją córkę z grzybicą i bez włosów?

Gdy dostałam Molly z powrotem, wszystkie jej nowe ubranka zniknęły, i była czarniejsza niż węgiel na podwórku. Bardzo mnie to rozzłościło. Dziewczęta z dormitorium pomogły mi ją wykapać, a kiedy patrzyłam, jak trzymają Molly głową w dół pod wodą, miałam nadzieję, że jeśli któraś z nich doczeka się kiedykolwiek prawdziwego dziecka, nie będzie go myć w ten sposób. Siobhan powiedziała, że pomoże matce Teresie zrobić całkiem

nowe ubranie dla Molly, i obiecała, że uszyje jej nawet kolejny zielony płaszczyk.

W piątkowe wieczory wszystkie ustawiałyśmy się w szeregu przed łazienką, a siostry obcinały nam włosy i paznokcie. Byłam jedyną dziewczynką, której nie obcinano włosów. Obojętnie która siostra miała dyżur, wyrównywała mi tylko końcówki. Bez względu na to, jak bardzo prosiłam, żeby mi zrobiły taką fryzurę, jaką mają inne dziewczynki, nie chciały o tym słyszeć. Tata zakazał im je obcinać i już.

- A co byś zrobiła z tymi wszystkimi pięknymi, zielonymi wstążkami, które przysyła ci babcia? - pytała matka Imelda.

Pewnego wieczoru, zanim poszłyśmy do łóżek, jedna ze starszych dziewczynek nawinęła pasma moich włosów na wąskie szmatki. Następnego ranka, kiedy zdjęła szmatki, miałam cudowną masę loków, zupełnie jak amerykańska dziewczynka, którą widziałam gdzieś na zdjęciu. Późnym rankiem spotkała mnie w korytarzu wielebna matka i stanęła osłupiała. Zabrała mnie do matki Imeldy i kazała jej usunąć moje loki. Matka Imelda natychmiast wsadziła mi głowę pod kran. Powiedziała, że takie ułożenie moich włosów było próżnością i grzechem i cmokała dużo, kiedy moczyła mi głowę, póki nie zniknął ostatni loczek. Ale ton jej głosu mówił mi, że nie jest na mnie zła.

W deszczowe dni matka Teresa pomagała nam robić skarpety na czterech drutach. Jej cierpliwość była nieskończona, zwłaszcza wobec dziewcząt takich jak ja, które nigdy wcześniej nie widziały drutów do dziania, nie mówiąc już o posługiwaniu się nimi. Tego dnia, kiedy zdołałam skończyć

swoją pierwszą skarpetę, czułam się bardzo dumna. Ponieważ zrobienie jej zajęło mi całe lato, była to też moja ostatnia skarpetka, ale fakt, że mam tylko pół pary, nie zmniejszył mojej satysfakcji.

Burmistrz częściej zabierał nas na wycieczki nad morze. Za którymś razem był zimny i wietrzny dzień, ale i tak brodziłyśmy w morzu, z sukienkami zakasanymi po majtki. Miałyśmy piasek w kanapkach, a na nogach gęsią skórę, ale bawiłyśmy się świetnie. Czułam się całkowicie beztroska, kiedy nie musiałam pilnować młodszych braci, i biegałam jak szalona z innymi dziewczynkami. To było złote lato. Do moich ulubionych dni należały te, kiedy kosiarze przychodzili kosić siano na zimę. Bawiłyśmy się dookoła stodoły. Siostry przynosiły nam na pole obiad i jadłyśmy go, otoczone zapachem świeżo skoszonej trawy.

Sąd Najwyższy zajął się sprawą taty w październiku. Kiedy zbliżała się data rozprawy, prasa poświęcała jej coraz więcej uwagi. W gazetach regularnie ukazywały się artykuły na jej temat. W szkole zaczął się nowy semestr i siostry zdecydowały nie puszczać mnie do Lark Hill, póki sprawa się nie rozstrzygnie. Byłam zazdrosna, patrząc, jak dziewczęta wychodzą rankami w swoich nowych szmaragdowych zimowych płaszczach i tęskniłam za szkolnymi koleżankami, które nie mieszkały w klasztorze. Ale siostry mnie rozpieszczęły i dawały mi wiele smakołyków, których inne dziewczęta nie dostawały.

Z początku nie zdawałam sobie sprawy, że gazety nadal są mną zainteresowane, ale dziewczęta ze szkoły, które mieszkały w domach, słyszały o tym 'od swoich rodziców i przekazywały wiadomości koleżankom z klasztoru. Kilka z nich przemyśliło nawet wycinki prasowe moim przyjaciółkom, a starsze dziewczęta w klasztorze założyły album z takimi wycinkami, trzymany w ukryciu przed zakonnkami. Niektóre zaczęły mówić: „kiedy Evelyn pójdzie do domu...”, wiedząc doskonale, że jeśli tata wygra sprawę i pokona rząd, niektóre z nich też opuszczą klasztor. Wciąż modliłam się za Siobhan i miałam nadzieję, że jej tata wkrótce po nią przyjedzie. Teraz, pomyślałam, mój tata musi wygrać, ponieważ od niego zależy los tylu dziewcząt w szkole.

Kilka razy, kiedy tata przyszedł z wizytą, przyprowadził ze sobą Jessie. Stopniowo zaczynałam godzić się z tym, że moja prawdziwa mama nigdy nie wróci i że Jessie ma zostać.

Pewnego dnia udaliśmy się w trójkę do Avoca, pięknej wioski w Wicklow, a tata przywiózł ze sobą wędzisko. Nie było braci, żebyśmy mogła się z nimi bawić, a Jessie i ja coraz bardziej się nudziłyśmy patrzeniem na taty łowienie, więc chodziłyśmy po wiosce. Weszłyśmy do kawiarni i zamówiłyśmy herbatę i babeczki. Jessie powiedziała, że my dwie musimy spróbować „żyć w zgodzie” dla dobra taty i że kiedy chłopcy i ja już wrócimy do domu, będziemy wszyscy razem szczęśliwi.

Ja jej tłumaczyłam, że tęsknię za swoją własną mamą i zapytałam, czy myśli, że ona kiedykolwiek wróci do domu.

- Nie, kochanie. Nie wydaje mi się. - A potem powiedziała bardzo cicho, jakby do siebie: - Nigdy nie ma drogi powrotnej.

Patrzyła gdzieś daleko, a ja pomyślałam, że zbiera jej się na płacz. Ale nie rozplakała się. Wzięła tylko głęboki oddech, zapaliła kolejnego papierosa i zamówiła jeszcze herbatę. Po chwili wróciliśmy na miejsce, gdzie tata łowił ryby. W rzece była mała sadzawka, otoczona wysokimi drzewami. Jessie zdecydowała, że ona też połowi i przywiązała kawałek sznurka do długiego patyka, a na końcu umocowała agrafkę. Patrzyłam z przerażeniem, jak wkłada rękę do taty puszki z przynętą, wyciąga stamtąd wielkiego robaka i nadziewa go na agrafkę. Jak kobieta może zrobić coś takiego? Majtnęła sznurkiem nad wodą.

Niemal natychmiast krzyknęła: - Dessie, szybko! Go mam robić? Złapałam coś!

Patyk podskakiwał dziko, a ona zdołała podnieść go trochę nad wodę. Na agrafce zawieszony był sporych rozmiarów pstrąg. Tata zdjął go z haczyka i powiedział, że albo biedna ryba popełniła samobójstwo, albo padła ofiarą szczęśliwego trafu początkujących. Ale Jessie upierała się, że złowiła pstrąga dzięki naturalnemu talentowi.

- Albo go masz, albo nie - powiedziała, zadarła nosa i posłała tacie zarozumiałe spojrzenie, bardzo z siebie zadowolona.

Śmiałam się z tego ich przekomarzania i pomyślałam, że może mimo wszystko będzie dobrze z tą nową mamą. Nigdy nie widziałam, żeby tata i moja prawdziwa mama śmiali się w ten sposób i zdecydowałam, że spróbuję żyć w zgodzie z Jessie. Po tym dniu łatwiej mi było nazywać ją mamą.

Jessie opowiedziała mi mnóstwo historii o Anglii, a ja przekazałam je koleżankom w mojej sypialni. Po każdym moim spotkaniu z tatą i Jessie dziewczęta czekały niecierpliwie na następny odcinek. Upiększałam te historie, żeby były bardziej interesujące, i sugerowałam, chociaż właściwie nie powiedziałam tego wprost, że moja nowa mama zna osobiście królową Elżbietę. Sprawiała mi przyjemność cała ta uwaga, która wiązała się z posiadaniem angielskiej mamy. Kiedy Jessie podarowała mi najnowszy wynalazek, o nazwie Biro, cieszyłam się wielkim powodzeniem. To był tylko długopis, ale nagle wszystkie dziewczęta zaczęły mieć coś bardzo pilnego do napisania i zawsze prosiły mnie o pożyczenie Biro. Siostry nie pozwalały mi go używać w zeszytach szkolnych. Matka Paul stwierdziła* że to tylko przelotna moda i że nigdy się nie przyjmie. Powiedziała, że lepiej byśmy zrobiły, ucząc się pisać jak należy piórem i atramentem. Wiedziałam, że się myli. Kiedy używałam atramentu i pióra, zawsze miałam plamy na pierwszych dwóch palcach i kleksy w zeszycie, a z Biro nigdy nie robił się taki bałagan.

Kiedy Biro wyszło, byłam pewna, że je popsułam, i bałam się powiedzieć o tym Jessie. Ale ona sama się tego domyśliła, ponieważ wkrótce kupiła mi wkład i wyjaśniła, jak to działa. Po tym wydarzeniu dołączyłam Jessie do swoich wieczornych modlitw. Nigdy nie wyrzuciłam z nich mojej

prawdziwej mamy, po prostu przestawiłam ją na koniec. Nadal nie podobało mi się, gdy tata trzymał Jessie za rękę albo obejmował ją ramieniem. Nie robił tego z moją prawdziwą mamą i, chociaż nie wiem dlaczego, uznawałam to za niepokojące.

Kiedy tata przychodził w ostatnich tygodniach przed rozprawą, często przyprawdzał ze sobą dwóch czy trzech mężczyzn z prasy. To była część planu pana Conolly'ego, by podgrzać opinię publiczną. Wstydziłam się, nie mówiłam za wiele i chciałam, żeby ci panowie sobie poszli. Zawsze zadawali mi pytania o zakonnice i o to, jakie jest życie w klasztorze. Chcieli nawet wiedzieć, co jemy na śniadanie. Wymyślałam historie o tym, że mamy najlepsze masło i steki na obiad i codziennie galaretkę i budyń. Powiedziałam im, że nigdy nie miałyśmy czarnego puddingu i że czasami jesteśmy tak najedzone, że nie możemy wstać od stołu. To ich rozśmieszyło, nawet tatę. Ale tatuś zaniepokoił się, kiedy jeden z mężczyzn zapytał, czy lubię swoją nową, angielską mamę.

- Przypominam, że pani Brown jest moją gospodynią - powiedział tata
- więc proszę nie zadawać dziecku takich pytań.

Czasami przychodził z tatą człowiek z aparatem i mówił nam, żebyśmy stanęli tu czy tam. Nigdy się nie uśmiechałam na zdjęciach. Nie lubiłam, jak ci ludzie zabierali mi cenny czas z tatą.

- Postaraj się być miła dla tych ludzi, malutka - poprosił tata. - Oni pomogą ci wydostać się z klasztoru. - Nigdy mi nie wyjaśnił, na czym ta pomoc polegała.

W owym czasie dziadek nie przychodził za często z wizytą. Przygotowywał się do występu z orkiestrą Gaiety Theatre na Festiwalu Opery Włoskiej. Nie grał w orkiestrze od kilku lat i nie mógł się doczekać spotkania ze starymi przyjaciółmi.

- Włóż coś ekstra - przestrzegł go tata.

Dziadek nie dbał o niektóre rzeczy i często zakładał stary sweter z dziurami na łokciach i wiekową, tweedową marynarkę, o której tata mówił, że dziadek nosił ją od zarania dziejów. Ale jego buty były zawsze wypastowane i zawsze też nosił sztywne, białe kołnierzyki, przypinane do koszuli mosiężnymi spinkami. Tata mówił dziadkowi, że powinien zmieniać koszule równie często jak kołnierzyki. Dziadek fukał i prychał, nazywał tatę „ważniakiem” i dalej ubierał się na swój sposób, cytując jedno ze swoich ulubionych powiedzeń: „Fakt, że chłopcom wolno w ogóle istnieć, jest dowodem znaczącej chrześcijańskiej wyrozumiałości ludzi”.

- Ja tylko próbuję pomóc - bronił się tata.

Pewnego wieczoru w czasie prób dziadek niemal został wyrzucony. Przyjezdny dyrygent, gorącej krwi Włoch, zobaczył, jak dziadek związuje jedną ze strun swojej wiolonczeli po tym, jak ta się zerwała. Z makabryczną fascynacją Morelli patrzył, jak dziadek gra solówkę. Potem powiedział dziadkowi, że jego nerwy były napięte bardziej niż struna i że nie zniesie tego napięcia wieczorem, kiedy przyjdzie publiczność. Poleciał dziadkowi natychmiast wymienić strunę.

Dziadek się oburzył. Cichym i pełnym godności głosem wyjaśnił, że o strunach swojej wiolonczeli wie więcej niż Morelli, „zagraniczny idiota”, o spaghetti. Przez trzydzieści lat grania dziadek nie raz wiązał struny. Inni członkowie orkiestry czasami robili zakłady, czy dziadkowi pęknie struna w trakcie solówki, ale nigdy nieszczęśliwy wypadek nie zdarzył się w czasie przedstawienia. Grał nawet solówkę umierającego łabędzia z *Jeziora łabędziego* z węzłem na strunie.

Tata próbował zorganizować dla mnie i moich braci wyjście na nowy film Walta Disneya *Zakochany kundel*, ale nie pozwolono mu wziąć naraz nas wszystkich - pan Beatty miał rację. Zabrał więc mnie i Jessie. Teraz jednak, kiedy rozprawa była tak blisko, tata musiał zachować ostrożność w pokazywaniu się z Jessie publicznie. Miała być jego gospodynią, a on bardzo się bał, że mógłby wywołać jakieś negatywne głosy opinii publicznej. Jessie grała swoją rolę. Wiedziała dobrze, że to kraj katolicki i że jeśli mężczyzna żyje z angielską protestantką jak z żoną, to jest to niemal pewny powód zgorszenia. Ja także grałam rolę. Z oporami zaakceptowałam Jessie jako nową mamę, ale uparłam się, że nie pozwolę na to, by była kimkolwiek więcej niż gospodynią taty. Tatuś powiedział, żebym nikomu nie mówiła o swojej nowej mamie, zwłaszcza mężczyznom z prasy, którzy przychodzili z nim, kiedy odwiedzał mnie w klasztorze.

Ponieważ gazety śledziły naszą historię i coraz częściej ukazywały się artykuły na nasz temat, tata dostawał z całego kraju listy z głosami poparcia. Ludzie pisali, że modlą się za niego. Życzyli mu szczęścia i zachęcali,

żeby walczył do skutku. To go martwiło, bo czuł, że jest postrzegany jak jakiś bohater. On chciał tylko odzyskać swoje dzieci, a stał się centrum zainteresowania, którego nie chciał i z którym nie za bardzo sobie radził. W całym Dublinie ludzie go rozpoznawali. Zupełnie obcy podchodzili do niego, żeby uścisnąć mu dłoń i życzyć powodzenia. Kobiety żegnały się na jego widok i mówiły, że będą się za niego modlić. Wyglądało na to, że cała Irlandia modliła się za tatę, a on martwił się, że jeśli przegra, stanie się obiektem takiej żalości, że nie będzie w stanie tego znieść.

Jego ulubiony pub umówił się na zbiórkę pieniędzy, by pomóc mu pokryć koszty prawników. Wszyscy hojnie się zrzucali. Pensy, trzy- i sześciopensówki szybko urosły do znacznej sumy. Kiedy o sprawie wspomiano w radiu, wszyscy w pubie się uciszali, a potem następowała solidna dyskusja i każdy wygłaszał swoją opinię na ten temat. Na ogół tata trzymał się z dala od sporów. Słuchał tylko i szeptał do dziadka, że wszyscy nagle stali się ekspertami od dzieci i prawa.

Proces przed Sądem Najwyższym miał się zacząć 12 października, a prawnicza drużyna taty miała jeszcze trzy tygodnie, by przygotować się do rozprawy. Zamierzali oprzeć się na argumentach, które pan Conolly przedstawił w mowie końcowej w sądzie okręgowym. Pan Conolly upierał się, że tata byłby w stanie bez zgody mamy zabrać mnie z klasztoru, i twierdził, że paragraf Ustawy o Dzieciach, który zabrania mu tego, jest sprzeczny z artykułem 42 konstytucji, dającym tacie prawo do kierowania moją edukacją,

i z artykułem 41, przyznającym rodzicom i dziecku fundamentalne, obopólne prawo do spędzania razem czasu.

Mniej więcej w tym czasie Korporacja wysłała tatę i jego brygadę na wieś do malowania i nie widziałam go przez ponad tydzień. Od czasu gdy wrócił z Anglii, widywałam go co kilka dni, i to, że teraz nie mogłam się z nim spotkać, wyprowadziło mnie z równowagi. Dla Jessie jego nieobecność była szczególnie trudna do zniesienia, ponieważ nigdy nie wiedziała, czy kiedy zechce wyjść, nie znajdzie na progu reportera, a tata nakazał jej z nikim nie rozmawiać, żeby nie powiedziała czegoś nie tak.

- To mogą być przebiegłe łajdaki - przestrzegł ją.

Jessie nie była przygotowana na takie przejścia i czasami chciała wsiąść na prom i wrócić do Anglii. Nadal miała trudności z dogadaniem się z dziadkiem, a zwłaszcza teraz, kiedy nie było taty. Nie pozwalał jej gotować dla siebie ani sprzątać i zrozumiała, że lepiej będzie, jeśli zrobi wieczorem kanapkę, niż przyrządzi gorącą kolację. Piła dużo herbaty i paliła trzydzieści, czterdzieści papierosów dziennie. Zanim tata wrócił, Jessie zamieniła się w szkielet. Złajał ją za to, że o siebie nie dbała. Nie zdawał sobie sprawy, jak było jej trudno, kiedy kisiła się w domu ze zrzędliwym starcem, bojąc się nawet pochodzić po sklepach.

Tata nie wiedział jeszcze jednej rzeczy - że wrócił do domu dokładnie na czas, żeby powstrzymać Jessie przed powrotem do Anglii.

Odkąd pamiętała, zawsze na siłę podejmowała jakieś decyzje. Poślubiła Davida, by wyrwać się z domu matki i jego okropności. Ojciec Jessie zginął na pierwszej wojnie światowej, kiedy ona była jeszcze dzieckiem. Jej matka wyszła potem za okrutnego i samolubnego człowieka. W wieku jedenastu lat Jessie zaczęła pracować w rodzinnym sklepie ze smażonymi rybami i frytkami. Mniej się przez to uczyła, a jej ubrania śmierdziały tłuszczem. Dzieci w klasie nie chciały siedzieć obok niej, a ona była samotna i wiecznie zawstydzona.

Kiedy spotkała Davida, pomyślała, że to jest rozwiązanie jej problemów. Na początku małżeństwa wszystko było w porządku, ale David pił coraz więcej, a Jessie z trudem wiązała koniec z końcem. Musiała przyjmować lokatorów i podejmowała różne pomocnicze zajęcia w stołówce fabrycznej, by wesprzeć budżet. David uznał, że on wcale nie musi pracować. Potem, w czasie drugiej wojny światowej, został powołany do wojska. Jessie poszła do pracy w fabryce amunicji. Lata wojny, o dziwo, były najlepsze i najszcześniejsze w jej życiu. Ale kiedy nastał pokój, jej żalosne życie z Davidem zaczęło się na nowo.

W spotkaniu z tatą dostrzegła kolejną szansę na szczęście. Nigdy się nie spodziewała, że mogłaby się wpakować w sytuację, od której będzie jej jeszcze smutniej i będzie ją bolało serce bardziej niż przy Davidzie.

Nie chciała go opuszczać, ale była pewna, że jeśli wkrótce nie wyjedzie z domu, oszaleje. Ponad rok wcześniej, kiedy zgodziła się wyruszyć z tatą do Irlandii, wydawało jej się, że on odbierze „dzieciaki”, jak nas nazywała, i wszyscy zaczniemy nowe życie.

Jessie nie była skłonna do narzekań. Powiedziała tacie, że jest wdzięczna za radio. Tata sam je zrobił, a Jessie mogła odbierać BBC. Lubiła słuchać Czasu Robotnika, programu muzycznego, który był nadawany codziennie w porze lunchu. Ściszała bardzo aparat, bo dziadek nie lubił wszystkich tych „nowoczesnych śmieci”, nowej muzyki swingowej, która stała się tak popularna. Tata powiedział Jessie, że ma się nie przejmować dziadkiem, bo on więcej szczeka niż gryzie, i poprosił dziadka, żeby był bardziej tolerancyjny dla Jessie. Dziadek stwierdził, że nie ma z Jessie żadnego problemu i prawdę mówiąc, całkiem ją lubi. Tylko że nie potrzebuje, żeby się z nim cackała jakaś kobieta.

- Jestem sam od śmierci twojej mamy - powiedział - i jakoś udało mi się przeżyć, póki co.

Tata powstrzymał się przed wytknięciem dziadkowi, że dom jest w straszliwym stanie i że praktycznie żyje na samym chlebie i marmoladzie, a jego ubrania i pościel wołają o pranie. Jaki to miałyby sens? Tata miał inne sprawy na głowie. Poza tym pamiętał o swoim podaniu w Departamencie Spraw Mieszkaniowych. Nie wracał do tego straszliwego miejsca od czasu, kiedy wypełnił formularz, ale pisał tam wiele razy, przypominając o swojej prośbie. W odpowiedzi dostawał jedynie krótkie listy, które donosiły, że sprawa jest rozważana, i pouczały go, że ma poinformować departament natychmiast, jeśli zmieni się jego sytuacja. Pomimo tego braku zachęty tata miał nadzieję, że już niedługo dostanie dom z Korporacji. A kiedy to nastąpi, Jessie będzie mogła gotować i sprzątać bez końca.

W dzień, w którym pan Conolly przyszedł do klasztoru spotkać się ze mną, siostry narobiły wielkiego zamieszania wokół mojego ubrania i fryzury. Matka Bernadette nie wiedziała, dlaczego pan Conolly chce się ze mną spotkać, ale powiedziała mi, że mam się nie martwić, ponieważ będzie przy mnie wielebna matka. Ja wcale się nie martwiłam. Znałam pana Conolly'ego od dnia, kiedy tata zabrał mnie do jego biura, i lubiłam go.

Matka Bernadette zaprowadziła mnie do gabinetu wielebnej matki. Pan Conolly już tam był i pił herbatę. Wstał z krzesła, podał mi swoją wielką rękę i powiedział, że miło mnie znowu widzieć.

- Jesteś już dużą dziewczynką - zauważył, ściskając moją dłoń.

Wielebna matka kazała mi usiąść. Wybrałam krzesło stojące obok pana Conolly'ego, tak że siedzieliśmy ramię w ramię, naprzeciwko biurka.

- A teraz, dziecko - powiedziała - pan Conolly chce zadać ci kilka pytań. Nie bój się i mów prawdę.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja zastanowiłam się, czy znowu zapomniała, jak mam na imię.

Pan Conolly chciał wiedzieć, jak się „trzymam”.

Odpowiedziałam, że nie rozumiem pytania.

- Jesteś tu bardzo nieszczęśliwa? - zapytał.

Wielebna matka stuknęła palcem w biurko i powiedziała: - Ostrzegam pana. Rozmawialiśmy o tym, jakie pytania ma pan zadawać dziecku.

Pan Conolly roześmiał się i przeprosił ją. - Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało - wyjaśnił. Ale ja wiedziałam, że dokładnie o to mu chodziło, bo miał śmieszne, psotne spojrzenie. Potem spoważniał: - Jak byś się czuła, Evelyn - zapytał - gdybyś nie mogła wrócić do domu aż do chwili, kiedy będziesz bardzo dużą, szesnastoletnią dziewczynką?

Powiedziałam mu, że byłoby mi bardzo smutno. Ale dodałam, że nie martwię się, że zostanę w klasztorze na zawsze.

-Tata już niedługo mnie stąd wydostanie. Pomagają mu sprytni ludzie i jego sprawa idzie do Sądu Najwyższego.

Pan Conolly skinął głową. Był jednym z tych sprytnych ludzi. - Podoba ci się tutaj? - zapytał.

Powiedziałam, że tu jest fajnie, że mam wiele przyjaciółek i że większość sióstr jest dla mnie miła.

- Ale tęsknię za braćmi - dodałam - i chcę, żebyśmy wszyscy byli w domu razem z tatą.

Potem spojrzałam na wielebną matkę. Nie chciałam zranić jej uczuć, więc stwierdziłam, że kiedy już zamieszkam z tatą, zawsze będę tu wracać i przychodzić w odwiedziny.

"V - Powiedz temu dżentelmenowi, czego się nauczyłaś, odkąd do nas przyszłaś - poleciła wielebna matka.

- Umiem robić skarpetki na czterech drutach, karmić kurczaki i gotować karmę dla świń - powiedziałam z dumą.

- Rozumiem - pan Conolly skinął głową. - A jakie jeszcze prace wykonujesz? - Położył nacisk na słowo „prace”.

- Czasami pracuję w pralni i czasami w buciarni - odparłam.

-Ach. To chyba jesteś bardzo zmęczona, moja droga?

Wielebna matka znowu go ostrzegła. Zagroziła, że przerwie rozmowę, jeśli dalej będzie postępował w ten sposób.

Odpowiedziałam panu Conolly'emu, że nie jestem zmęczona.

- Ale mam bóle głowy, kiedy matka Paul zmusza mnie do zajęć z chóru - dodałam.

Pan Conolly skinął głową i uśmiechnął się do mnie. - Cóż, moja droga - powiedział - głowa do góry. I módl się za naszą drużynę. - Potem zwrócił się do wielebnej matki: - Proszę się nie denerwować. Już skończyłem. Usłyszałem wszystko, co chciałem usłyszeć.

Podziękował mi, że poświęciłam czas na rozmowę z nim. Wielebna matka zadzwoniła małym dzwoneczkiem i niemal natychmiast pojawiła się matka Bernadette, by zabrać mnie z powrotem do klasy.

Pan Conolly zameldował się u taty, Nicka i pana Beatty. Powiedział, że wątpi, czy zdołam wiele pomóc w zdobywaniu sympatii sędziów.

- Ona rozpaczliwie tęskni za braćmi i chce być w domu z tobą, Desmondzie, ale wyraźnie podoba jej się życie w klasztorze. Możliwe - dodał - że wszystko sobie upiększa. Dzieci są odporne. Ale wzywanie jej na świadka wydaje się raczej ryzykowne.

Uzgodniono, że mimo wszystko nie powinnam zeznawać. Czterech mężczyzn omówiło zamiast tego możliwość, żeby sędziowie porozmawiali ze mną w swoim pokoju. Pan Conolly uważał, że to także może być ryzykowne, ale tata twierdził, że powinnam zostać przesłuchana. Pamiętał, jaka byłam smutna, że muszę iść do klasztoru i jak się ożywiłam, kiedy zobaczyłam chłopców w Kilkenny. Czuł, że jeśli dadzą mi szansę, jasno dowiodę, że chcę być z powrotem z rodziną.

Po długiej debacie mężczyźni zgodzili się z tatą.

Zanim rozeszli się tego wieczoru, tata poruszył kwestię, która musiała go bardzo dręczyć.

- Nie wiem, jak wam za to wszystko zapłacę - powiedział.

- Nie martw się, Desmondzie - odparł pan Conolly. - To pro bono. Innymi słowy, nie robimy tego dla pieniędzy.

Kiedy został ledwie tydzień do posiedzenia Sądu Najwyższego, pan Conolly otrzymał list od ministra z prośbą o spotkanie. Pan Conolly wyraził zgodę i umówili się na czwartą po południu w następny czwartek. Poinformował tatę o liście i o swoich przypuszczeniach, dlaczego minister chce się z nim spotkać osobiście na tym etapie postępowania.

- Podejrzewam, że Mulcahy chce zaproponować ci ugode - powiedział.

- Na podstawie paragrafu 69 Ustawy o Dzieciach może nakazać warunkowe zwolnienie Evelyn. Domyślam się, że to zrobi, z klauzulą, że może ją ponownie powołać, kiedy uzna za stosowne. Ten moment, oczywiście, na-

stapi, kiedy już ustanie wszelkie zainteresowanie sprawą. I w tym momencie będziemy musieli zacząć cały proces od zera.

TLR

TLR



Jessie - nowa mama

Tata przez chwilę nic nie mówił. Dla niego wyglądało to jak promyk światełka po osiemnastu miesiącach całkowitej ciemności. Gotował się do walki. Jessie nie chciała zostać już ani miesiąca dłużej z dziadkiem, a on się martwił o chłopców. Bardzo się przyzwyczaili do życia w klasztorze w Kilkenny, a młodszy zdawali się nie pamiętać, że w ogóle kiedykolwiek mieszkali z rodziną i byli jej częścią.

Martwił się też o mnie. Czyż pan Conolly nie powiedział mi, że jestem szczęśliwa w klasztorze? Nasze rozdzielanie nie było już dla mnie takie bolesne jak na początku, i to nie umknęło uwadze taty. Wesoło machałam mu na pożegnanie i widział, jak skacze radośnie, wracając do koleżanek. Uważał też, że robię się bardzo „święta”, i nie podobało mu się to. Wszystkie te rzeczy przyszły mi do głowy, kiedy myślał o tym, co powiedział pan Conolly. Tata zaczynał się bać, że straci nas na zawsze, a okruszek był lepszy niż całkowity brak chleba.

- Jeśli Mulcahy proponuje układ - odrzekł panu Conolly'emu - to ja na to idę. Przynajmniej dzieci wrócą do mnie, a zanim on znowu spróbuje położyć na nich łapę, będzie się musiał od cholery nastarać. Prawdę mówiąc, TJ, nie wiem, czy potrafię znieść kolejny tydzień w sądzie. Cały ten cholerny nonsens. I nie zapominaj, że są spore szanse, że nie wygramy. Weź, cokolwiek on proponuje. - Wstał, żeby wyjść.

- Usiądź. Jest coś, co powinieneś wiedzieć. Mam niemal pewność, że on zaproponuje zwolnienie tylko Evelyn. Mocno wątpię, czy puści chłopców. A co więcej, będziemy musieli zgodzić się na odstąpienie od dalszych

roszczeń. Desmon- dzie, doszliśmy za daleko, żeby się teraz poddać. Rozważ to raz jeszcze. Jestem pewien, że możemy wygrać tę sprawę.

Tata pokręcił głową.

- Słuchaj - mówił dalej pan Conolly - Mulcahy musi myśleć, że mamy spore szanse na wygraną, bo w przeciwnym wypadku nie prosiłby o spotkanie. Wiesz, ile dzieci jest zamkniętych w tych tak zwanych szkołach, w warunkach o wiele gorszych, niż te, w których przebywają twoje dzieci? Pomyśl, człowieku, pomyśl.

Tata odpowiedział, że nie jest zainteresowany zmienianiem świata. Chciał tylko dostać nas wszystkich z powrotem, żebyśmy mogli żyć swoim życiem. Jeśli inni ludzie będą mieli korzyści z zainteresowania, które wywołuje ta sprawa, to dobrze. Ale jego nie obchodzą problemy innych; niech sami je sobie rozwiązują.

- Jeśli on zaproponuje zwolnienie Evelyn i chłopców - powiedział - chcę, żebyś przyjął tę propozycję.

Pan Conolly dalej spierał się z tatą, próbując przekonać go, żeby nie dawał za wygraną. Po posiedzeniu sądu okręgowego tata zrezygnował z porwania, ale tylko tymczasowo. Teraz, siedząc w biurze pana Conollyego, wiedział, że jeśli przegra przed Sądem Najwyższym, zabierze nas z Irlandii, w taki czy inny sposób. Oczywiście, nic o tym nie powiedział panu Conolly'emu. Później omówi to z Jessie. Ale jeśli mógł odzyskać swoje dzieci bez chodzenia do Sądu Najwyższego i bez uciekania do Anglii, zrobi to. W

końcu tata uparł się przy swojej decyzji: jeśli minister zgodzi się wypuścić nas wszystkich, to dogadają się. Jeśli uwalnia tylko mnie, odmawiają.

- Kiedy się dowiem, co było na tym spotkaniu? - zapytał tata.

-Wpadnij do mnie około szóstej w czwartek.

Tego dnia tata wyszedł z biura pana Conolly'ego z wielkim ciężarem na barkach. Miał dopiero trzydzieści jeden lat, ale czuł się jak starzec. Dni w Strawberry Beds wydawały się inną epoką.

Kiedy tata po raz pierwszy został ojcem, nie posiadał się z radości. Prawdę mówiąc, był tak podniecony, że ludzie w pracy się z niego naśmiewali. Joe Conlan, pozbawiony poczucia humoru stary malarz, który pracował razem z tatą, zauważył pewnego dnia, kiedy tata uroczyście donosił o kolejnym „zaślinionym gaworzeniu i bezzębnym uśmiechu” swojej małej córeczki: - Pewnie myślisz, że to jest pierwsze dziecko, jakie kiedykolwiek się urodziło.

Joe stwierdził, że gadanie o dzieciach jest nudne i że poszedł do pracy, żeby od tego wszystkiego uciec. Według ostatnich wyliczeń jego pani urodziła dziewięcioro, a teraz jej brzuch był napchany następnym. - I jak dla mnie one wszystkie są cholernie takie same - powiedział - na jednym końcu rozdziawione gęby, a z drugiego wychodzi gówno. Ta, chłopcze, będziesz miał dość tych atrakcji, zanim twoja dojdzie do szóstego.

Z tymi słowy chlapanął fusami ze swojej puszki przez całe podwórko i odszedł ciężkim krokiem, by w spokoju wypalić skręta. Mick, majster, po-

wiedział tacie, żeby się Joem nie przejmował. Wyjaśnił, że jest mu trudno wykarmić wszystkie te gęby i że pani Joego zawsze męczy go, by brał więcej nadgodzin.

- Taaa, gdyby ten pieprzony Kościół pomagał wykarmić te wszystkie dzieci, o które zawsze się dla nas modli, życie byłoby usłane różami, to pewne.

Tata namyślił się nad negatywnym nastawieniem Joego do dzieci i zdecydował się ograniczyć swoją rodzinę do trójki potomstwa. Oczywiście ten plan się nie powiódł. Po trzecim dziecku panika taty rosła z każdą kolejną ciążą. Ale kochał ostatnią trójkę swoich dzieci równie mocno jak pierwszą i postanowił, że nawet jeśli będzie musiał pójść do piekła, odzyska je co do jednego.

Po spotkaniu z panem Conollym tata poszedł do pracy. Malowali nowe domy Korporacji w północnej części Dublina. Martwił się, że kiedy się skończy ta robota, znowu będzie bez pracy. Zaczynał się już październik i zbliżała się zimna, mokra zima. Taka pogoda utrzyma się przynajmniej do lutego, a roboty budowlane będą wstrzymane aż do wiosny.

Taty koledzy z pracy przekonali go, żeby tego dnia po robocie poszedł z nimi na szklaneczkę. Con Reilly, jeden z weteranów, wyjął pieniądze z koperty z wypłatą i starannie podzielił je na dwie części, jak to robił co ty-

dzień, po czym w sunął jedną połowę do górnej kieszeni i poklepał się po piersi.

-To dla mojej starej - powiedział, mając na myśli żonę.

Drugą połowę zatrzymał na swoje „sporty”. Co tydzień grał o pieniądze w jakimś ciemnym zaułku i przegrywał co do pensa swoją połowę zarobków. Con, wieczny optymista, sięgał wtedy do połowy przeznaczonej dla żony, póki i ta część nie zniknęła, a wtedy pozostawało mu błaganie ludzi, by pożyczili mu kilka pensów do czwartku. Wszyscy wiedzieli, że nigdy już nie zobaczą tych kilku pensów, ale Con był dobrym kumplem, więc uznawali, że te pożyczki to część stałych, cotygodniowych kosztów. Czasami biedny Con pojawiał się w poniedziałkowy poranek z podbitym okiem, a kiedy ktoś zapytał go, skąd ma limo, odpowiadał:

- Skoczyła na mnie latarnia, cholera, jak Boga kocham!

W klasztorze wrzało. Szorowano i polerowano każdy kąt. Pomagały w tym kobiety z zakładu karnego. Poustawiały wszędzie drabiny, myjąc okna i malowidła. Zakonnice powiedziały, że mamy ich nie denerwować - innymi słowy, że musimy się od nich trzymać z daleka. Ale kobiety z zakładu żartowały sobie i tak się śmiały, że starałyśmy się być w ich towarzystwie jak najczęściej. Poznałam słowa, których nie słyszałam nigdy wcześniej, a instynkt podpowiadał mi, żeby nie powtarzać ich w towarzystwie sióstr. Stary Joe krzątał się na swoich ociężałych nogach, malując wszystko, co się nie ruszało i wrzeszcząc na każdego, kto podszedł bliżej niż na trzy jardy.

- Trzymajcie łapy z dala od malowania!

Na każde pytanie, po co to całe sprzątanie, siostry odpowiadały: - Nie teraz, dziecko.

Matka Paul była jeszcze bardziej zrzędliva niż zwykle i nawet słodka, miła matka Imelda miała zmartwiony wyraz twarzy, kiedy chodziła w górę i w dół po drabinie, polerując posągi w długim korytarzu.

Dowiedziałyśmy się, co się dzieje. Przyjeżdżał do nas inspektor szkolny, razem z ministrem edukacji i biskupem. Miał też się zjawić reporter z „Evening Press”, żeby zrobić zdjęcia.

Kiedy nadszedł ten wielki dzień, wszystkie stanęłyśmy w szeregu wzdłuż podjazdu i powiedziano nam, żebyśmy machały i się uśmiechały, kiedy pojazdy zatrzymają się przed wejściem. Kilka starszych dziewcząt dostało nowe mundurki i miały czekać z zakonnicami przy frontowych drzwiach, by powitać naszych gości. Mnie postawiono przy matce Bernadette.

Zajęłyśmy swoje miejsca i na podjazd wjechały dwa wielkie, czarne samochody, a za nimi policjanci na motorach. Z aut wysiadło kilku mężczyzn. Zakonnice ucałowały biskupa w pierścień, a wielebna matka uściśnęła dłoń ważnie wyglądającemu mężczyźnie w ciemnym garniturze. Uśmiechał się szeroko, kiedy przebiegał wzrokiem po szeregu sióstr i dziewcząt. Fotograf robił mnóstwo zdjęć i mówił: „Tak właśnie, panie ministrze” i „Uśmiechnijcie się, dziewczęta”.

Siostry odesłały mnie do szwalni, gdzie miałam zostać z matką Teresą, tak żeby nie zrobiono mi zdjęcia z ministrem. Wtedy nie wiedziałam, dla-

czego kazały mi iść do szwalni. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że to ten sam minister, z którym tata walczy w sądzie.

Kiedy poszliśmy do refektarza na podwieczorek, doznałyśmy szoku. Stoły nakryto białymi obrusami. Na nich ułożono stosy pięknie przyrządzonych kanapek i ciastek oraz dzbany z herbatą. Nie mogłyśmy uwierzyć, że cokolwiek z tego jest przeznaczone dla nas, i zawahałyśmy się, zanim zajęłyśmy swoje miejsca. Wielebna matka i znakomici goście stali przy stole najdalszym od wejścia. To był kolejny szok: wielebna matka nigdy nie jadła z nami w refektarzu. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wyobrażałyśmy sobie, że ona kiedykolwiek je. Albo że korzysta z ubikacji, skoro już o tym mowa.

Tata siedział w biurze pana Conolly'ego, który opowiadał mi o swoim spotkaniu z ministrem.

- Proponuje, że zwolni Evelyn, ale tylko pod warunkiem, że może ją odwołać w każdej chwili. A chłopcy zostają w Kilkenny. To smutne, oczywiście, chociaż tego właśnie się spodziewaliśmy.

Tata nic nie powiedział. - A więc idziemy do sądu - rzekł. - Zobaczymy się we wtorek.

W dniu pierwszej rozprawy przed Sądem Najwyższym tata wstał wcześnie i ubrał się starannie w najlepszy garnitur i płaszcz. Założył buty z

ozdobnymi noskami, kupione przez dziadka specjalnie na tę okazję. Kiedy wychodził z domu, Jessie podała mu jego kapelusz filcowy. Powiedziała, że ma być dzielny.

Dziadek zapewnił, że przyjdzie pod sąd później. - I pamiętaj - dodał - nie ty wybierasz, co ci przeznaczone.

Tata spotkał się z panem Beatty prawie w wejściu do gmachu Czterech Sądów. Hol wejściowy stanowił potężną, owalną przestrzeń, nakrytą kopułą. Sale sądowe były promieniście rozmieszczone wokół niego. Tacie wydawało się, że przewijają się tam setki ludzi, ale on i tak słyszał odgłosy własnych kroków. Kiedy spojrział w stronę sali sądowej Chancery, gdzie miała być rozpatrywana jego sprawa, zobaczył, że utworzyła się już kolejka reporterów.

- To ważne wydarzenie, Desmondzie - stwierdził pan Beatty. - Być może tu, w tym sądzie, w tym tygodniu dopiszesz rozdział historii prawa.

Tata usłyszał, jak z tyłu woła go po imieniu jakiś głos, i odwrócił się. Zobaczył, że w jego stronę przepycha się pani Sullivan.

- Ach, Dessie, musiałam przyjść - wysapała. - Modłę się za ciebie, od czasu jak usłyszałam o tej sprawie. Powiedz mi, jak dzieciaki?

Paplała i paplała, ale tata nie zwracał na to zbyt wielkiej uwagi. Dostrzegł go już tłum reporterów, którzy teraz pędzili do niego na oślep. Natychmiast zarzucili go pytaniami. Tata nie wiedział, komu odpowiadać najpierw. Pan Beatty interweniował i przepchnął go przez tłum reporterów w stronę gabinetu adwokata. Poinformował dziennikarzy, że później wydadzą

oświadczenie i że wtedy tata będzie szczęśliwy, mogąc odpowiedzieć na ich pytania. Jeden z reporterów zastanawiał się, czy naprawdę spodziewają się wygrać. Powiedział, że to walka Dawida z Goliatem, i zapytał pana Beatty, czego mają zamiar użyć jako procy.

- Prawo idzie przed siłą - odparł pan Beatty i dodał, że wierzą w olśniewające zwycięstwo nad archaicznym i drakońskim prawem.

Dokładnie o dziesiątej woźny nakazał ciszę na sali i powiedział wszystkim, że mają wstać.

W sali zapadła cisza. Z bocznych drzwi wyszło pięciu sędziów i zajęło miejsca za stołem. Za nimi na ścianie wisiała wielka tablica z Irlandzką Harfą, godłem Irlandii. Przewodniczący Maguire siedział na środku składu, a wszystkich pięciu sędziów patrzyło w dół z ogromnej - jak się tacie wydawało - wysokości. Nosili czarne togi i krótkie, białe peruki i wydawali się najpoważniejsi na świecie. Wszyscy mieli grube, różowe teczki z aktami. Otworzyli je teraz i zaczęli przeglądać, wpatrując się tak wnikliwie, jakby nigdy wcześniej nie widzieli ich na oczy.

Pan Conolly i Nick, którzy także mieli czarne togi i peruki, siedzieli za swoim stołem, twarzą do ławy. Niesforne, siwe loki pana Conolly'ego wymykały się spod peruki, co sprawiało wrażenie, jakby przypadkiem wylądowała mu ona na głowie. Adwokat, reprezentujący Państwo, siedział przy stole kilka stóp z boku. Rozprawa zaczęła się, kiedy pan Kenny, główny adwokat ministra, wstał i zaczął mowę wstępną. Przypomniawszy sądowi, że sprawa jest „wyłącznie kwestią zasadności prawa, na podstawie którego zatrzymano Evelyn Doyle”.

Zreferowano poprzednie rozprawy sądowe i to, na jakiej podstawie adwokat taty uznał prawo do apelacji przed sądem okręgowym. Wyliczono różne listy, które wymieniano między ministrem a adwokatem taty od czasu, gdy tata ponad rok temu wysłał pierwszą prośbę o moje zwolnienie. Pan Conolly i Nick szybko pisali w swoich żółtych notatnikach. Tata się zastanawiał, co takiego oni piszą, ponieważ wydawali się notować więcej słów niż mówiono. Tata słuchał, jak adwokat Państwa wylicza wydarzenia od dnia, kiedy odeszła mama.

Głos z galerii publicznej powiedział: - Niech diabli wezmą tę sukę. - Był pewien, że to pani Sullivan. Z galerii dobiegły pomruki: „To hańba”, „Oddajcie dziecko temu człowiekowi”.

Woźny sądowy wezwał do spokoju, a przewodniczący zagroził, że jeśli będą dalsze zakłócenia, każe opróżnić salę.

Tata chciałby, żeby wyproszono ludzi, ale pan Beatty powiedział mu, że publiczność jest im bardzo potrzebna.

- Skoro ludzie są po naszej stronie, gazety też tam staną - szepnął.

Tata zauważył, że dziadka nie ma ha galerii publicznej. Później okazało się, że próbował się tam dostać, ale został zawrócony przez woźnego, który powiedział, że nie ma już miejsca. Kiedy dziadek wyjaśnił, że jest ojcem pana Doyle[^], woźny skierował go do części dla prasy i znalazł mu miejsce na końcu rzędu. Dziadek widział stamtąd tył głowy taty. Po raz pierwszy zauważył, że włosy syna siwieją, i zaniepokoił go ten fakt. Miał

nadzieję, że tata nie pójdzie w ślady jego wuja Francisa, który osiwiął, ledwie przekroczył trzydziestkę. Wuj Francis był księdzem. Nikt nie zauważył, jaki z niego dziwak, dopóki nie znaleziono go, jak biegał całkiem goły po O'Connel Street. Mama dziadka powiedziała, że umrze ze wstydu, że jej własnego brata zamknęli w domu wariatów. Dziadek modlił się, żeby te wszystkie sprawy z sądami nie odebrały rozumu jego synowi, a czasami myślał, że może lepiej by było zostawić nas w klasztorach, gdzie nie działałyby się nam krzywda, dopóki on i tata często by nas odwiedzali. Tata się denerwował, kiedy dziadek mówił takie rzeczy.

- Za każdym razem, gdy ich tam zostawiam - powiedział

- czuję się, jakby to był pierwszy raz. Nie mogę patrzeć na ich smutne buźki. I przecież nie mam pojęcia, co oni myślą. Chłopcy nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym ich zostawił Cholernym Braciom, i ja bym sobie tego nigdy nie wybaczył.

Dziadek to rozumiał, ale wierzył też, że kochanie kogokolwiek zawsze sprawia ból nie do zniesienia. W każdym razie w jego wypadku.

Pan Kenny znowu zwrócił się do Sądu. Odczytał artykuły 41 i 42 konstytucji, oba odnoszące się do rodziny. Artykuł 41 głosił, że rodzina ma „niezbywalne i nieulegające przedawnieniu prawa” i gwarantował, że Państwo będzie chronić rodzinę „swoją władzą i konstytucją”. Artykuł 42 głosił, że rodzina jest „podstawowym i naturalnym nauczycielem dziecka”.

Pan Conolly odwrócił się do swojej drużyny i powiedział:

- Wiem, do czego on zmierza.

Pan Kenny mówił dalej, podnosząc kwestię, co dokładnie stanowi „rodzinę”.

- Czy „rodzina” to w tym wypadku pojęcie filozoficzne? - zapytał. - Czy też jest to fizyczne zgromadzenie jednostek żyjących w czterech ścianach?

Pan Conolly wstał i przerwał panu Kenny'emu.

- Z całym szacunkiem, Wysoki Sądzie, to, o co się tu spieramy, to bez wątplenia zasadność paragrafu 10 Ustawy o Dzieciach i to, czy jest on, czy też nie jest zgodny z konstytucją.

Przewodniczący składu naradził się z czterema kolegami, potem powiedział: - Może należy rozważyć, czy dzisiejszej rozprawy nie powinien otwierać pan Conolly?

Pięciu sędziów znowu się naradziło.

- Niewątpliwie - rzekł przewodniczący - dla sądu byłoby korzystniej, gdyby niekonstytucyjności dowodziła strona zainteresowana w jej utrzymaniu. Wszyscy jednak uważamy, że byłoby logiczne, gdyby to pan Conolly otworzył rozprawę. Odraczamy sprawę do dziesiątej jutro rano, by umożliwić panu Conolly'emu przygotowanie argumentów wstępnych.

Wszyscy wstali i sędziowie wyszli.

Pan Conolly powiedział Nickowi, że mają przed sobą długą noc. Spojrzał na tatę i wyjaśnił, że nie mają czasu nic w tej chwili omówić i że ma

nadzieję, iż tata to rozumie. Zasugerował, żeby tata wyszedł przed gmach Czterech Sądów i zaprzyjaźnił się z pismakami z gazet. Pan Beatty zebrał ze stołu swoje papiery. Kiedy wychodził z tatą z sali sądowej, zapytał: - Czytałeś kiedyś konstytucję, Des?

Tata pokręcił głową.

- Niewielu ludzi czytało - powiedział. - Czy wiesz, na przykład, że Irlandczyk nie może przyjąć tytułu szlacheckiego od królowej Anglii bez pozwolenia irlandzkiego rządu? To dziwna rzecz jak na konstytucję, nie sądzisz?

Kiedy tylko doszli do frontowego wejścia, natknęli się na hordę reporterów i fotografów, a wszyscy krzyczeli i błyskali fleszami. Pan Beatty odpowiedział na kilka pytań, potem obiecał dwóm czy trzem pismakom, że będą mogli pójść z tatą, kiedy następnym razem odwiedzi mnie w klasztorze.

Gdy wydostali się z tłumu, zapytał tatę, czy chciałby pójść na lunch. Tata powiedział, że nie, bo ma coś do zrobienia i nie zostało mu za dużo czasu.

Pan Beatty pomachał mu na pożegnanie, a tata cofnął się w stronę Church Street, gdzie zaparkował samochód.

Tam czekał na niego dziadek. Oparty o mur, palił sweet aftona. Płaszcz miał zapięty pod szyję i postawił kołnierz, by chronić uszy przed zimnym wiatrem.

Zamiast skierować się prosto do domu dziadka, tata pojechał na południe, przez O'Connell Bridge.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytał dziadek.

- Jedziemy do Biblioteki Narodowej - odparł tata. - Przebrniemy przez każde słowo Konstytucji Irlandii. Pomożesz mi?

Tuż po drugiej przybyli do biblioteki na Kildare Street. Mężczyzna za biurkiem był nieco zdumiony ich prośbą; stwierdził, że jeszcze nikt nigdy nie prosił o konstytucję. Tata chciał dostać dwa egzemplarze.

- Po angielsku, jeśli można.

Dziadek powiedział, że nie, że on wolałby egzemplarz po irlandzku. - Może się nieco różnić od angielskiej wersji - szepnął do taty. - Ty nie wiesz, jak to jest.

Resztę popołudnia spędzili w bibliotece, czytając i robiąc notatki. Nie wychodzili nawet na papierosa. Bibliotekarz zerkał na zegarek i wymyślał rozmaite preteksty, by przechodzić obok ich stolika; nieczęsto widział, żeby tego rodzaju ludzie siedzieli przez cały dzień w czytelni. Zakaszłał znacząco, a dziadek obiecał mu, że nie zostaną już długo.

- Proszę dać nam szansę - powiedział. - To bardzo ważne. - Machnął ręką, żeby odprawić bibliotekarza i wrócił do swojego zadania.

Ślęczeli nad dwiema konstytucjami, póki literki nie zaczęły im tańczyć przed oczyma. W końcu tata powiedział: - To jest to! Znalazłem! Spójrz na to, ojciec.

Pokazał dziadkowi fragment zawierający artykuł 42. Dziadek zgodził się, że ten punkt wydaje się ważny, odnośny do sprawy, a tata starannie go przepisał. Mówił o Państwie, które w pewnych okolicznościach zastępuje rodziców, „ale zawsze z właściwym poważaniem dla naturalnych i nieulegających przedawnieniu praw dziecka”. Tata nie pamiętał, czy jego prawna drużyna kiedykolwiek wspominała coś o prawach dziecka. Oddał dokumenty bibliotekarzowi i wcisnął mu w rękę pięć szylingów, dziękując za to, że został niemal godzinę po zamknięciu.

Następnego ranka tata bardzo powoli przepychał się przez hol sądu, tak był zatłoczony. Ludzie koniecznie chcieli uścisnąć mu rękę i życzyć powodzenia. Reporterzy szli za nim krok w krok i zadawali mu pytania. Mając na względzie radę pana Conolly'ego, by przemyślał starannie to, co mówił prasie, zdecydował się nie mówić nic. Woźny dostrzegł tatę i ruszył z pomocą, eskortując go przez tłum i do sali sądowej. Pan Conolly już siedział obok Nicka. Tata przekazał mu złożony kawałek papieru, na którym zapisał fragment z konstytucji. Ale pan Conolly nie miał szansy na niego spojrzeć, ponieważ właśnie wtedy woźny nakazał ciszę i pięciu sędziów podeszło do ławy.

Sędzia Lavery zwrócił się do pana Conolly'ego.

- Czy nakaz ministra zgodny z paragrafem 69 Ustawy o Dzieciach skończyłyby tę sprawę, panie Conolly?

Pan Conolly naradził się z Nickiem i odpowiedział sędziom.

- Zakończyłby, Wysoki Sądzie, ale pozostałby problem zakwestionowania przez sąd okręgowy zasadności omawianej ustawy.

Pan Kenny wstał.

- Minister przystał już na zgodny z paragrafem 69 nakaz zwolnienia dziecka - powiedział - ale jego propozycja została odrzucona przez adwokata pana Doyle'a.

- To było zwolnienie warunkowe - oddał strzał pan Conolly - i nie leżało w interesie mojego klienta.

Przewodniczący wskazał, że pan Conolly powinien rozwinąć ten argument. Pan Conolly odczytał paragraf 10 Ustawy o Dzieciach. Powiedział, że sąd okręgowy rzeczywiście zastosował tę ustawę tak, jak ona stanowi.

- Niemniej jednak - mówił dalej - wnoszę, że ta ustawa stoi w sprzeczności z prawami rodzicielskimi gwarantowanymi przez konstytucję, jako że pozwala na zatrzymanie dziecka w państwowej szkole industrialnej wbrew woli ojca.

Pan Conolly przerwał, by wziąć łyk wody. Zaczynał się nieźle bawić. Nick szepnął do taty, że teraz nic już go nie zatrzyma.

-Wdniach swej świetności TJ potrafił każdego przekonać, że czarne jest białe. - Nick uśmiechnął się do siebie i dalej robił notatki.

Sędzia Lavery zwrócił się do pana Conolly'ego: - Nie ma już konieczności odnosić się do opinii sądu niższej instancji - powiedział. - Zbędne jest

już również odnoszenie się do kwestii, czy ojciec sam ma, czy też nie ma prawa odebrać dziecka ze szkoły. Problem, nad którym debatujemy, to czy prawo, które mu tego zabrania, jest zgodne z konstytucją.

Włączył się sędzia Kingsmill-Moore: - Jest oczywiste, że ta sprawa to casus omissus.

Tata zapytał Nicka, co to znaczy casus omissus.

- To sprawa niewzięta pod uwagę przez ustawę - wyjaśnił Nick. - Innymi słowy, legislatorzy nie pomyśleli, że sytuacja taka jak ta może kiedykolwiek nastąpić.

Ława zdawała się żywić sympatię do adwokata taty, a pan Conolly mówił coraz pewniej.

- Dwa zaliczone, trzy przed nami - szepnął Nick do taty.

Pan Conolly odczytał stosowne artykuły konstytucji, jak również wybrane paragrafy Ustawy o Dzieciach, próbując zmusić Sąd, by przyznał, że paragraf 10 jest sprzeczny z konstytucją, a zatem niezgodny z prawem.

Tata słuchał uważnie, kiedy posiedzenie odroczone do następnego dnia, i myślał o kawałku papieru, który wręczył panu Conolly'emu tego ranka.

Wszystkie dziewczęta z mojego dormitorium stały w szeregu przed łazienką, czekając, aż ich włosy i paznokcie zostaną obcięte przez matkę Imeldę i matkę Bernadette. Kiedy nadeszła moja kolej, błagałam matkę Imeldę, by obcięła mi włosy, które sięgały do pasa, ale ona nie chciała o tym słyszeć. A ja pragnęłam być jak wszystkie inne dziewczęta.

- Nie, nie, malutka - odrzekła - wiesz, że nie mogę ci obciąć włosów. Może wkrótce pójdziesz do domu, a co powie twój tatuś, kiedy przyjedzie, a jego ukochanych włosów nie będzie?

Z tymi słowy wygoniła mnie z łazienki. Kiedy siostry skończyły ze wszystkimi dziewczętami i poszły na dół, zwróciłam się do Siobhan:

- Obetniesz mi włosy?

- Och, nie - odparła. - Matka Bernie obdarłaby mnie żywcem ze skóry.

Błagałam ją. Obiecałam, że nie zdradzę, kto to zrobił. Ale ona nadal odmawiała.

- No dobrze - powiedziałam. - W takim razie będę musiała zrobić to sama.

Wzięłam z łazienki nożyczki, a pozostałe dziewczęta zebrały się dookoła. Kiedy miałam wykonać pierwsze cięcie, Siobhan wrzasnęła: - Jezu Chryste, Evelyn! Nie rób tego.

Odebrała mi nożyczki. Przeżegnała się trzy razy, potem spojrzała na moją głowę z różnych stron, próbując zdecydować, gdzie zacząć. Ręce się jej trzęsły, a niektóre dziewczynki wydały głośne „Ooooooch”. Siobhan

kazała im się zamknąć. Patrzyłam, jak długie blond loki zbierają się na podłodze. Kiedy Siobhan skończyła, włosy sięgały mi tuż za uszy. Podobało mi się. Ani przez chwilę nie pomyślałam, co powie tata na mój widok.

Kiedy zamiotłyśmy podłogę, poszłyśmy na dół na herbatę. Wszystkie dziewczęta były podniecone moją nową fryzurą, ale kiedy zobaczyła mnie matka Bernadette, niemal wrzasnęła: - Evelyn Doyle! Kto ci obciął włosy?

Odmówiłam odpowiedzi. Potem stwierdziłam, że zrobiłam to sama. Nie uwierzyła mi, aleja uparłam się przy swojej wersji.

Kiedy rozbierałam się do łóżka tego wieczoru, zobaczyłam kosmyk na podłodze, i przypomniało mi się, jak rodzice mieli straszliwą awanturę o włos mamy.'

Pewnego wieczoru tata wrócił po pracy do domu w złym humorze, a mama powiedziała nam wszystkim, żebyśmy byli bardzo cicho. Postawiła na stole obiad, złożony z tłuczonych ziemniaków, kiełbasy i groszku i usiadła przy ogniu, żeby poczytać sobie książkę.

Tata zaczął jeść, ale nagle wrzasnął strasznie na mamę.

-Co to, do cholery, ma być?! - wyciągnął ze swoich ziemniaków długi, czarny włos.

- Mnie się wydaje, że to wygląda jak włos - odparła mama i dodała, że nie ma pojęcia, jak on się dostał do jego obiadu.

- No to przynieś mi nowy talerz - zażądał tata. Ale mama powiedziała, że nie ma więcej obiadu, a wtedy tata zaczął krzyczeć o „pracującym człowieku, który nie może nawet dostać przyzwoitego obiadu”. Mówił i mówił o tym włosie.

- Zamkniesz się w końcu? - zapytała mama. - To tylko cholerny włos.

Tata nie odpuścił. Siedziałam z chłopcami na wielkim krześle. Patrzyliśmy, nie mówiąc ani słowa. Widzieliśmy, że zbiera się na walkę. Ale byliśmy wstrząśnięci tym, co mama wtedy zrobiła.

Wyszła do łazienki i wróciła ze swoją szczotką do włosów w ręku. Tata czytał gazetę opartą o butelkę mleka, a obiad wciąż stał przed nim na stole. Mama przyłożyła palec do ust, żeby nas uciszyć, potem na palcach poszła do taty od tyłu. Przechyliła się nad jego ramieniem i rzuciła do przodu swoje włosy, szczotkując je nad talerzem.

- Teraz w twoim obiedzie jest włosów od cholery - powiedziała. - Teraz rzeczywiście masz na co narzekać!

Potem rzuciła szczotkę na podłogę, chwyciła płaszcz, który wisiał na gwoździu przy drzwiach wejściowych, i wypadła z mieszkania. Tata siedział, wpatrując się w swój talerz, i nic nie mówił. Mama nigdy wcześniej nic takiego nie zrobiła. Wszyscy zaczęliśmy się śmiać, ale szybko przestaliśmy. Tata był w strasznym humorze i wpadł jak burza do sypialni.

Kiedy szliśmy tego wieczoru do łóżek, mamy nadal nie było. Następnego ranka siedziała jednak na swoim zwykłym miejscu przy ogniu, jakby nic się nie wydarzyło.

Podniosłam kosmyk włosów z podłogi i wrzuciłam go do toalety w łazience. Nie myślałam już o naszym życiu w Fatima Mansions, ale przez chwilę za nim zatęskniłam. I zastanawiałam się, co pomyślałaby mama o moich krótkich włosach.

Kiedy sąd zakończył posiedzenie drugiego dnia, tata przyjechał do klasztoru razem z panem Conollym, panem Beatty, Nickiem i pięcioma czy sześcioma mężczyznami z gazet. Zakonnice ubrały mnie w śliczne, nowe ubrania. Matka Teresa powiedziała, że mam mieć zdjęcie do gazet.

- Musisz się uśmiechać do Irlandii, moja droga - stwierdziła i na czubku głowy zawiązała mi jedną z zielonych wstążek.

Kiedy tata zobaczył moje krótkie włosy, był wstrząśnięty. Miał już napisać na matkę Bernadette, ale powiedziałam mu, że sama je obcięłam.

Potrząsnął głową, nazwał mnie śmiałą dziewczynką i rzekł: - No cóż, pewnie odrosną.

Wiem, że gdyby nie było tam tych ludzi z gazet, rozpętałyby się święta wojna.

Spędziliśmy godzinę, chodząc po terenie klasztoru i robiąc zdjęcia. Uznałam to zajęcie za bardzo podniecające. Nie miałam szansy zapytać taty, co się działo w sądzie, ale reporterzy zdawali się myśleć, że on wygrywa. Jeden z nich zapytał, czy tata zamierza zabrać do domu swoich pięciu synów, gdy już odzyska mnie.

Tata odparł, że chłopców będzie mógł zabrać, kiedy dostanie większy dom.

Wstydziałam się tych wszystkich ludzi dookoła i zupełnie nie wiedziałam, co mówić. Kiedy reporter zapytał mnie, czy nie mogę się doczekać powrotu do domu, wbiłam tylko wzrok w ziemię i milczałam.

W końcu wydusiłam: - Tato, jakie masz ładne nowe, brązowe buty.

Tata się uśmiechnął. Powiedział mi, że musi teraz iść do biura pana Conolly'ego, ale że wkrótce znowu do mnie przyjdzie.

-Wszystko idzie dobrze dla nas, malutka, ale to jeszcze nie koniec. Siedź cichutko i módl się za pana Conolly'ego, żeby wygrał naszą sprawę.

Tego dnia w popołudniówkach, ku wielkiemu zawstydzeniu taty, doniesiono, że podobają mi się jego nowe, brązowe buty.

Z klasztoru tata poszedł do biura pana Conolly'ego, który rozmawia! z Nickiem o amerykańskiej konstytucji.

- Co konstytucja amerykańska ma wspólnego z naszą sprawą? - zapytał.

- No cóż - odpowiedział Nick - konstytucja irlandzka w pewnym stopniu jest na niej oparta. I uważamy, że niektóre poprawki do amerykańskiej konstytucji mogą pasować do naszej sprawy. Widzisz, dokąd zmierzamy?

Tata powiedział, że podpisuje się pod wszystkim, co może pomóc, ale ma nadzieję, że oni nie zamierzają gorszyć sędziów, przedstawiając wśród swoich argumentów Konstytucję Stanów Zjednoczonych.

- Czternasta poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych gwarantuje i chroni wolności obywatelskie wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych - wyjaśnił pan Conolly. - Jednym słowem, mówi, że żaden stan w Ameryce nie może wydawać ani stosować ustaw, które by ograniczały prawa i wolności żadnej osobie urodzonej lub naturalizowanej w Stanach Zjednoczonych. Nie może też pozbawiać ich mienia, wolności lub życia bez sprawiedliwego procesu.

I właśnie - ciągnął pan Conolly - to są zasady, które stosują się do twojej córki. Ona nie popełniła żadnej zbrodni, a jednak została pozbawiona wolności. Zatrzymano ją wbrew jej woli. Nie mówiąc o twojej.

Tata słuchał uważnie, mając nadzieję, że oni są na właściwym tropie.

- A co z tym fragmentem, który znalazłem tamtego wieczoru w bibliotece? - zapytał.

- Wykorzystamy go - odpowiedział pan Conolly - ale samo to może nie wystarczyć.

Omawiali taktykę na następny dzień i przekonywali sobie, że są gotowi na wszystko, co drużyna ministra może rzucić przeciwko nim. Tata nie był taki pewien. Los ma brzydki zwyczaj gryźć człowieka w dupę, kiedy on najmniej się tego spodziewa, a tata nie zamierzał wierzyć w żadne zwycięstwo, dopóki ono nie nastąpi.

Kiedy jednak jechał do domu, zdał sobie sprawę, że patrzy już na to wszystko z większym optymizmem.

Zatrzymał się przy trafice na Dorset Street, żeby kupić papierosy. Mimo że tego dnia udał się z fotografami do klasztoru, i tak był wstrząśnięty, widząc nasze zdjęcie na pierwszej stronie kilku egzemplarzy „Evening Press” wyłożonych na ladzie.

Tata wręczył sprzedawcy pieniądze i włożył sweet afto-ny do kieszeni płaszcza.

Kiedy mężczyzna wydawał tacie resztę, zapytał: - Czyja pana skądś nie znam?

- Nie, nie sędzę - odpowiedział tata.

Mężczyzna trwał przy swoim, wymieniając miejsca, w których bywał albo mieszkał i pytając tatę, czy je zna. Tata kątem oka widział swoją twarz na ladzie i zastanawiał się, jak długo potrwa, zanim mężczyzna go rozpozna.

Raz jeszcze pokręcił głową. - Jestem pewien, że mnie pan nie zna - powiedział, śmiejąc się i wyszedł z trafiki.

Kiedy tata przybył na trzeci dzień rozprawy, tłum fotografów i sympatyków już czekał. Obcy ludzie wykrzykiwali życzenia powodzenia i błogosławieństwa. Mężczyźni poklepywali go po plecach, a jakaś kobieta wcisnęła mu w dłoń cudowny medalik. Tata starał się przyjąć to ze spokojem.

Nadal nie był przyzwyczajony, że wzbudza tyle uwagi, ale teraz przynajmniej wiedział, czego się spodziewać.

Na początku rozprawy urzędnik sądowy odczytał główne zagadnienia, omawiane przez ostatnie dwa dni. Sędzia O'Dalaigh wezwał Nicka.

- Jak Wysoki Sąd wie - powiedział Nick, wstając - Konstytucja Irlandii jest oparta na Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Sąd Najwyższy tego kraju w wielu swoich wyrokach orzekł, że małżeństwo, prokreacja i relacje pomiędzy rodzicami a dziećmi są powiązane fundamentalnymi prawami, gwarantowanymi przez Konstytucję Stanów Zjednoczonych. Orzekł on też, że te prawa przysługują równo każdej jednostce.

Pięciu sędziów notowało gorączkowo, a adwokat ministra przeglądał grubą książkę prawniczą. Pan Conolly patrzył pogodnie na ławę. Nick powoli i rozważnie brnął przez rozłożone przed nim dokumenty, by dojść do puenty.

- Powołuję się na Czternastą Poprawkę do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, w szczególności na Część 1, która mówi: „Każdy, kto urodził się lub naturalizował w Stanach Zjednoczonych i podlega ich zwierzchnictwu, jest obywatelem Stanów Zjednoczonych i tego stanu, w którym zamieszkuje. Żaden stan nie może wydawać ani stosować ustaw, które by ograniczały prawa i wolności obywateli Stanów Zjednoczonych. Nie może też żaden stan pozbawić kogoś życia, wolności lub mienia bez prawidłowego wymiaru sprawiedliwości ani odmówić komukolwiek na swoim obszarze równej ochrony prawa”.

Pan Conolly przejął głos, zwracając uwagę sędziów na dwa orzeczenia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Jako pierwsze zacytował postanowienie w sprawie *Meyer kontra Stan Nebraska* z roku 1923. Wyjaśnił, że w tym wypadku Sąd orzekł, iż wolność, gwarantowana Czternastą Poprawką, zawiera prawo jednostki do angażowania się w zwykłe zajęcia życiowe, takie jak małżeństwo, zakładanie domu i poczynanie dzieci. Dalej, wykazał pan Conolly, Sąd Najwyższy odniósł się w swoim orzeczeniu do „naturalnego obowiązku rodziców zapewnienia swoim dzieciom wykształcenia”.

Pan Conolly naszkicował też zabezpieczenia, które zostały ustanowione w amerykańskim prawie, by chronić dzieci przed agresywnymi, zbrodnymi albo umyślowo nie zrównoważonymi ojcami, i przypomniał Sądowi, że tata nie należy do żadnej z tych kategorii.

Słuchając tego, tata trochę się zdenerwował, bo przypomniał sobie swoje zachowanie w sądzie rodzinnym niemal dwa lata temu. Miał nadzieję, że te wybuchy gniewu nie kwalifikują go jako „umyślowo nie zrównoważonego”. W owym czasie był oszalały ze zmartwienia. Gdyby tę scenę teraz wspomniano, sędziowie na pewno zrozumieliby męki, które wówczas przechodził, patrząc, jak obcy zabierają mu dzieci. Wciąż pamiętał wyraz twarzy Noela - jakby w środku chłopca gasło małe światełko.

Pan Conolly odniósł się następnie do orzeczenia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych w sprawie *Piercekontra Zgromadzenie Sióstr Najświętszego Imienia Jezusa i Maryi*. W tej sprawie Sąd wydał orzeczenie na

niekorzyść stanu, „bez uzasadnienia ingerującego w swobodę rodziców i opiekunów do kierowania wychowaniem i wykształceniem ich dzieci”.

- Na podstawie tych amerykańskich precedensów - powiedział - a także w oparciu o artykuł 42 naszej konstytucji, która także gwarantuje prawo rodziców do wyboru dzieciom wykształcenia, wnoszę do Wysokiego Sądu o uznanie, że Ustawa o Dzieciach z 1941 roku jest niezgodna z Konstytucją Irlandii.

Po tych słowach pan Conolly usiadł na swoim miejscu.

Przy sąsiednim stole rozległ się szelest papierów i szepty między adwokatami ministra. Pan Conolly zaczął coś notować. Kiedy tata spojrzął przez ramię, zobaczył, że jego prawnik rysuje karykaturę pana Kenny'ego, w której ten poci się i wygląda jak rażony piorunem, i daje nurka pod blat swego stołu. Pan Conolly złożył papier i podał go woźnemu, który z kolei wręczył kartkę panu Kenny'emu. Pan Conolly obejrzał się i ledwo zauważalnie machnął ręką, a pan Kenny skinął mu głową i uśmiechnął się.

Taty to nie ubawiło. Uważał, że każdy, kto nie stoi po jego stronie, jest jego wrogiem, i on na pewno by sobie z taką osobą nie żartował.

Kiedy Sąd zakończył posiedzenie, pan Conolly wyjaśnił mu, że on i adwokat ministra nie są wrogami.

- My tylko wykonujemy swoją pracę - powiedział. - W następnym tygodniu możemy się znaleźć w tej samej drużynie. Ale - dodał - musisz pamiętać, że nie cofniemy się przed niczym, albo prawie przed niczym, by wygrać tę sprawę.

Sąd miał się zebrać ponownie dopiero o drugiej. Tata wrócił do domu. Jessie przygotowała mu jego ulubiony obiad - kotlety wieprzowe.

Co jakiś czas od chwili, kiedy zabrał nas sąd rodzinny, tata zadawał sobie pytanie: „Dlaczego ja?”. Na co dziadek odpowiadał: „A dlaczego nie?”.

Dziadek wyjaśnił mi, że każdy ma swój krzyż, czasem więcej niż jeden, i często przytaczał zdanie: „Nie ma większego smutku, niż w chwili naszej nędzy przypomnieć sobie czasy, kiedy byliśmy szczęśliwi”. Powiedział, że warto to zapamiętać i że tata nie powinien roztrząsać, jak to było, tylko myśleć o tym, jak będzie w przyszłości.

Po południu tata był z powrotem w sądzie. Przemawiał pan Kenny.

- Mój punkt widzenia - powiedział - jest taki, że sprawa została właściwie rozpatrzona przed sądem okręgowym. Artykuły 41 i 42 nie odnoszą się do praw pojedynczego rodzica, o ile oboje rodzice żyją. Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, zacytuję sprawę Tilsona z 1951 roku i sprawę Frostaz 1947, rozpatrywaną w tym sądzie, a obie dotyczyły praw rodziców do edukacji ich dzieci.

Pan Kenny opowiedział o tych dwóch sprawach i o tym, jakie wyroki w nich zapadły.

- Wszelkie gwarantowane prawa, należne rodzicom, zostały im przyznane przez irlandzką konstytucję łącznie. Ledwie cztery lata temu ten Sąd,

w swojej mądrości, podtrzymał te gwarancje, decydując, że owe prawa są wykonywalne jedynie przez rodziców łącznie, dopóki oboje żyją, tak jak to jest w tym wypadku.

Pan Conolly wydał głębokie westchnienie. Sądząc po jego wyrazie twarzy, tata pomyślał, że sprawy przybierają zły obrót. Nick szybko wertował strony książki prawniczej. Tata zapytał go, co się dzieje, a Nick powiedział, że wyjaśni mu za chwilę.

Pan Conolly poprosił o odroczenie, by rozważyć kwestię przedstawioną przez pana Kenny, i sąd odroczył rozprawę.

Tata wyszedł z budynku z Nickiem i panem Conollym. Natknęli się na prasę, która jak zwykle zasypała ich pytaniami. Pan Conolly poinformował ich, że jeszcze daleko do końca walki. Reporter z radia podetknął mu mikrofon pod nos, a pan Conolly odepchnął go na bok, ale dopiero kiedy powiedział: - Mamy jeszcze kilka asów w rękawie, panowie.

Potem reporter zapytał tatę, czy chciałby zaapelować do swojej żony, żeby się ujawniła i położyła kres temu wszystkiemu. Powiedział, że tata mógłby wygłosić ten apel w jego programie radiowym.

Tata był zszokowany sugestią i niemal stracił cierpliwość, tam, na stopniach Czterech Sądów. Pan Conolly zatrzymał go w porę i odchyliwszy mikrofon, powiedział reporterowi, że pani Doyle opuściła kraj i wszystkie wysiłki, by wpaść na jej trop, zawiodły. Potem wraz z Nickiem szturchnęli tatę i wypchnęli go na zewnątrz, gdzie Nick zatrzymał taksówkę.

- Co tam dzisiaj, do cholery, poszło źle? - tata domagał się odpowiedzi, kiedy wracali do biura pana Conolly'ego.

Pan Conolly kazał mu się uspokoić. Wręczył tacie sporą porcję czystej whisky.

- Próbowali udowodnić, że dwa wcześniejsze orzeczenia Sądu Najwyższego ustanowiły precedens - powiedział. - Ale twoja sprawa różni się w istotny sposób od tych, które przytoczył Kenny. To było tylko małe zahamowanie, Desmondzie, nic więcej. Jutro się z nimi rozprawimy wszystkim, co mamy, w tym twoim znaleziskiem. Nie martw się. Jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa.

Z biura Conolly'ego tata nie poszedł prosto do domu dziadka. Wiedział, że na progu będą czekali ludzie z prasy.

Skierował się więc do centrum, ani przez chwilę nie zastanawiając się, co pomyślą sobie dziadek i Jessie. Pojechał na północ, bez żadnego konkretnego celu.

Zatrzymał się w porcie w Howth. Kiedy był chłopcem, spędzał tutaj z kumplami mnóstwo niedzielnych poranków. Przyjeżdżali tramwajem, który włókł się wzdłuż brzegu morza. Siadali na molo, a ich wędki zwisały nad falami. W zasadzie nie obchodziło ich, czy coś złapią. Lubili po prostu żartować i rozmawiać razem, i naprawiać świat. Jeśli dzień był ciepły, kąpali się w morzu. W tym wieku nie przejmowali się, czy woda jest zimna. Kie-

dy nadchodził wieczór i robiło się ciemno, zanim wrócili do Strawberry Beds, kradli kapustę i ziemniaki na pobliskich polach.

Przyjaciel taty, Gussie Pomada, zawsze brał udział w tych wypadach. Mama Gussiego, pani Murphy, była wdzięczna za to wspomnienie jej spiżarni. Pani Murphy przez całe swoje życie miała ciężko. Opuściła szkołę jako trzynastolatka i poszła prosto na służbę w wielkim domu w Dun Laoghaire, gdzie była na każde zawołanie swoich państwa. Co noc padała na łóżko wyczerpana i co rano wstawała o piątej, gotowa podjąć codzienne obowiązki.

Kiedy spotkała Thomasa Murphy'ego, miała ledwie szesnaście lat i poślubiła go, nim minął rok. Mieli razem trzynaścioro dzieci. Dwanaścioro z nich nabawiło się gruźlicy. Umierały jedno po drugim, aż jedynym dzieckiem został Gussie, Augustus Aloysius Thomas Murphy. Takie właśnie imiona dała mu matka. Zanim gruźlica zabrała jej dzieci, pani Murphy miała wobec nich wielkie plany. Nie chciała, by którekolwiek z nich prowadziło takie życie, jakiego ona doświadczyła, i myślała, że jeśli da im wielkie imiona, to im samym przydadzą one znaczenia. Zawsze strofowała tatę, kiedy wpadał do domu i pytał, czy Gussie wyjdzie się bawić. A jeszcze mniej się cieszyła, kiedy jej syn dorobił się przydomka Pomada.

Zaczęło się to w kinie pewnego popołudnia, w 1937 roku. Tata i jego przyjaciele wsiedli w tramwaj do centrum, żeby zobaczyć Zaginiony horyzont, w którym grał Ronald Colman. Zanim Gussie wyszedł z kina, miał nowego idola. Następnego dnia stawił się w szkole z włosami przyklejonymi do czaszki brylantyną, naśladując Ronalda Colmana. W ciągu dnia w

klasie robiło się ciepłej, a po twarzy Gussiego zaczął spływać tłuszcz, ku wielkiej uciechu klasowych kolegów.

Kiedy nauczyciel, pan O'Gorman, w końcu zobaczył, co powoduje całe to zamieszanie, wyciągnął biednego Gussiego za ucho na korytarz i wsadził jego głowę pod wodę, w próżnej próbie zmycia tłuszczu z włosów. Od tego dnia Gussie był znany jako Pomada.

Pud, Sniffy i Austin także byli członkami bandy taty. Chłopcy wszędzie chodzili razem, przynajmniej do chwili, kiedy zaczęli dorastać i jeden po drugim żenili się ze swoimi kobietami. Przychodzili na śluby kolegów, gdzie tata gra! na pianinie, i razem świętowali pojawienie się na świecie każdego nowego dziecka.

Nigdy nie świętowali narodzin żadnego dziecka Puda. Pewnego dnia w pracy, niedługo po ślubie, Pud spadł z dachu. Czterech przyjaciół czuwało przy jego łóżku przez dziesięć kolejnych dni po wypadku, ale nad ranem jedenastego dnia Pud uznał, że lepiej będzie się poddać niż walczyć i wydał swoje ostatnie, bolesne tchnienie. Lekarz powiedział Ginny, wdowie po nim, że to może i lepiej, bo Pud prawdopodobnie nigdy by już nie chodził, a najpewniej byłby sparaliżowany. Ginny odparła, że nic ją to nie obchodzi. Chciała tylko, żeby Pud wrócił; nie miała nawet jego dzieci na pamiętkę.

W dniu pogrzebu tata, Sniffy, Austin i Gussie razem z tatą Puda i jego dwoma braćmi nieśli trumnę przez deszcz.

Niedługo potem Austin pojechał do Anglii i został fryzjerem. Zanim wyjechał, powiedział innym, że w Londynie można zarobić mnóstwo pieniędzy na stryżeniu angielskich włosów.

- W tym życiu - stwierdził - każdy musi jeść, strzyc się i umrzeć. Są więc trzy gwarantowane roboty: kucharz, fryzjer i grabarz.

Sniffy przyznał mu rację, ale powiedział, że nie wyobraża sobie, jak można zadawać się codziennie ze zwłokami, i poradził Austinowi, żeby pozostał przy stryżeniu i gotowaniu. Ale zapytał jeszcze, czy Austin nie mógłby zarobić tyle pieniędzy, obcinając irlandzkie włosy? Austin walnął Sniffy'ego pięścią w ramię, nazwał go „cholernym idiotą” i wszyscy mieli dobry ubaw, kłócąc się, kto ma więcej włosów - Irlandczycy czy Anglicy.

Po tym wszystkim tylko Gussie, Sniffy i tata zostali w Dublinie. Ich czas coraz bardziej zajmowało rosnące potomstwo. Kiedy tata wyruszał na ryby, zabierał ze sobą rodzinę albo, rzadko, szedł sam. Od czasu do czasu, kiedy Austin przyjeżdżał z Anglii, spotykali się w czterech i wspominali dawne czasy, ale poczucie koleżeństwa zgasło razem z ich młodością.

Tata marzył, kiedy siedział na murze, tam, w porcie, myśląc o rzeczach, które się zdarzyły, i ludziach, którzy byli w jego życiu i teraz już z niego zniknęli. Zrobiło się ciemno, a on tego nie zauważył. Poszedł do samochodu i ruszył w drogę powrotną wzdłuż nabrzeża i przez północną część miasta, do domu dziadka.

Kiedy dotarł do domu, stwierdził, że Jessie płakała, ponieważ było już bardzo późno, a ona nie miała pojęcia, gdzie tata się podziewał. Nigdy nie zostawał poza domem tak jak tego dnia, nie dając im wcześniej znać. Przepraszył i zapewnił Jessie, że nie pił.

- Chciałem tylko pobyc chwilę sam - powiedział. - Pomyśleć.

Jessie czuła się nieco urażona, że jej nie zawierzył, ale próbowała zrozumieć. Była zmęczona i chciała spać. Tata nie jadł jednak nic od lunchu, więc przygotowała mu jajecznicę na bekonie. Dźwięki i zapachy obudziły dziadka, który wgramolił się do kuchni ze starą, przepoconą skarpetą, owiniętą wokół głowy. Jessie powiedziała mu, że tata jest nieco zdenerwowany i potrzebuje kolacji. Tata wyszedł do jadalni. Siedział na swoim krześle, wciąż w płaszczu, paląc i patrząc przed siebie. Dziadek zapukał do drzwi i wszedł, nie czekając na odpowiedź. Czasami te zachowania dziadka wywoływały kłótnie pomiędzy nim a tatą. Ale tego wieczoru tata nie był w zbyt bojowym nastroju.

Spojrzał na dziadka i powiedział: - Myślę, że możemy jutro przegrać. Ale jeśli tak się stanie, nie zamierzam po cichu zniknąć. Odzyskam swoje dzieci.

Dziadek polecił zjeść kolację i iść spać.

- Poczekaj, synu - powiedział. - Zobaczmy, co przyniesie jutro. Potem pomyślimy o tym, jaki powinien być nasz następny krok.

Zawsze od czasu śmierci mamy, gdy tata był jeszcze chłopcem, on i dziadek żyli swoim życiem i starali się nie wtrącać w sprawy tego drugiego.

Dziadek chronił i karmił tatę, dopóki ten nie był na tyle duży, żeby się usamodzielniał. Poza tym dziadek nie pytał o zbyt wiele. Teraz, tutaj dziadek mówił „nasz”, „my”. Minęło dużo czasu od dnia, kiedy byli „my”, a na pewno nie zdarzyło się tak od czasu śmierci mamy tatusia. Gdy jeszcze żyła, on i dziadek zazwyczaj wszystko robili razem, płatali jej drobne figle, żeby ją rozśmieszyć. Ale to się nagle skończyło i aż do tej chwili tata niemal nie pamiętał, że on i dziadek kiedykolwiek byli sobie bliscy.

Jessie przyniosła kolację do frontowego pokoju i cała trójka gawędziła o niczym, kiedy tata jadł. Jeśli tata albo Jessie wspominali sprawę, dziadek zmieniał temat, mówiąc, że wszyscy potrzebują przerwy, choćby tylko na godzinę.

- Co można było zrobić, zostało już zrobione - powiedział - a teraz wszystko w rękach sędziów i Boga Wszechmogącego.

ROZDZIAŁ 7

TLR



Ja, prawie czteroletnia, w Phoenix Park

Tej nocy tata nie mógł spać. Leżał w łóżku, patrząc, jak wskazówki zegara pełzną w stronę poranka. Słyszał, jak dziadek wstaje kilka razy w nocy, i wiedział, że on też się martwi.

O szóstej wstał i zaczął się przygotowywać. Zrobił dzbanek herbaty dla siebie i Jessie. Dziadek przyrządzał sobie herbatę osobno; miał specjalną metodę. Stawiał dzbanek z herbatą na piecyku i pozwalał jej się gotować, póki nie robiła się jak melasa i wyglądała na tak gęstą, że można by ją jeść łyżką. Kiedy uznał, że jest prawie taka, nalewał jej do wielkiego kubka i słodził tłustym, słodkim mlekiem skondensowanym Fussells.

Uwielbiałam dziadka i kochałam go odwiedzać, ale robiło mi się strasznie, kiedy mówił: - Weź łyka herbaty, malutka, jest dobra dla dzieciaków.

Potem nalewał mi wielką filiżankę obrzydliwego naparu. Jeśli patrzył, próbowałam się zmusić, ale najczęściej znajdowałam doniczkę, do której to wylewałam. Na szczęście dziadek nie był dobrą gospodynią domową i nigdy nie zauważył herbaty zastygłej w dziwnych miejscach.

Jessie weszła do kuchni z dziadkiem, który włączył radio. Kiedy cała trójka jadła śniadanie, tata usłyszał, że ktoś wspomina jego nazwisko. Naszą sprawę omawiano w radiu wiele razy przez ostatnie kilka miesięcy, ale ta debata była szczególnie gorąca, jako że odbywała się rankiem przed orzeczeniem Sądu Najwyższego. Dziadek zrobił głośniejsze i słuchali z prze-

jęciem. Męski głos mówił, jaka to hańba, że ojciec, aby odzyskać swoje dzieci, musi się posunąć tak daleko.

Drugi rozmówca, najwyraźniej reprezentujący rząd, powiedział: - Przestrzegamy prawa takiego, jakie jest, a ten człowiek dobrowolnie przeniósł odpowiedzialność za swoje dzieci na Państwo. Prawo jest jednoznaczne. To godne ubolewania, ale minister musi przestrzegać prawa...

Pierwszy rozmówca mu przerwał. Musiał to być prezenter programu. - Ale jakie prawo złamał ten mężczyzna czy też jego dzieci? Chce pan powiedzieć ludziom w tym kraju, że sześcioro dzieci, które nie popełniły żadnej zbrodni, musi być zamkniętych w różnych instytucjach, dopóki nie skończą szesnastu lat? One nie mogą nawet być razem. Co Kościół mówi o tak tragicznej sytuacji? Ojciec Nolan?

Dziadek zaczął coś mówić, ale tata go uciszył. Do tej pory Kościół ograniczał się do zabierania głosu w swojej prasie. Teraz jego przedstawiciel miał przemówić do ogółu społeczeństwa.

- Stanowisko Kościoła jest jednoznaczne - powiedział ojciec Nolan. - Świętość małżeństwa jest absolutna, a rozwój moralny i religijny tych dzieci, czy też jakiegokolwiek dziecka, jest kwestią najwyższej wagi. Jeśli i dopóki ich matka nie wróci do domu swego męża, Państwo ma obowiązek upewnić się, że te dzieci nie zostaną oddane ojcu i jego protestanckiej gospodyni.

Tata skoczył na równe nogi, tak że krzesło się przewróciło. Jego twarz była niemal sina z wściekłości.

- Cholerne łajdaki! - wrzasnął.

Dziadek próbował go uspokoić.

- Usiądź i słuchaj, co się mówi! To wypowiedź tylko jednej strony. -
Dziadek zwracał się do taty jak do chłopca.

Umknęła im ostatnia część komentarza księdza. Jessie była zdenerwowana. „Protestancka” zabrzmiało jak obelga. Nie była szczególnie religijną kobietą, ale czuła się znieważona, że oskarżano ją o narażanie dziecka, albo kogokolwiek, na moralne niebezpieczeństwo. Nic jednak nie powiedziała. Nie chciała pokazać tacie, jak bardzo została zraniona. To by go tylko jeszcze bardziej rozgniewało, a kiedy on miał stawić czoło ostatniemu i najważniejszemu dniu w sądzie, starała się go ukoić.

- Dessie - powiedziała. - Nie obchodzi mnie, co oni o mnie gadają. Zostaw to. Najważniejsze, żebyś dzisiaj zachował spokój i nie stracił panowania nad sobą. Zignoruj ich po prostu.

Znowu skupili się na radiu. Ale prezenter programu uczynił jasnym, że opinia publiczna jest po stronie taty.

Prezenter czytał z dokumentu: - „... .z właściwym przestrzeganiem rozwagi, sprawiedliwości i miłosierdzia, tak żeby zapewnić każdemu godność i wolność...”. To cytat z preambuły naszej konstytucji. Mówicie mi, że „godność i wolność” człowieka może być przestrzegana jedynie, kiedy rząd i Kościół uznają, kto jest uprawniony do tej „godności i wolności”? Gdzie tu jest sprawiedliwość i miłosierdzie? - zapytał.

Mężczyzna, który trzymał stronę rządu, spróbował odpowiedzieć. W jego głosie słychać było wzburzenie. Mówił coś o skrupulatnym przestrzeganiu prawa. Ksiądz przerwał mu i powtórzył zdanie o świętości małżeństwa. Trzej mężczyźni powtarzali swoje jeszcze kilka razy, a program zakończył się tym, że prezenter odczytał list od człowieka ze Sligo, który napisał, że jest w tej samej sytuacji co tata.

List kończył się słowami: „Proszę przekazać panu Doyle, że ja, moja rodzina i przyjaciele modlimy się za niego. Jest doskonałym przykładem irlandzkiej odwagi i wytrwałości. Niech Bóg go błogosławi i z Jego pomocą pan Doyle odniesie zwycięstwo”.

Prezenter powiedział, że otrzymał setki listów od zwyczajnych obywateli, a wiele z nich wyrażało to samo zdanie, co wypowiedź człowieka ze Sligo.

- Czekamy więc na werdykt Sądu Najwyższego - dodał - o którym poinformujemy państwa niezwłocznie.

Jessie nastawiła w garach wodę, żeby napęlić wielką, blaszaną wannę dla taty. Po programie radiowym czuła się jak wróg publiczny numer jeden, i to nie po raz pierwszy, odkąd przyjechała do Irlandii. Znowu się zastanawiała, czy nie popełniła błędu.

Kiedy tata był w kąpieli, Jessie prasowała jego nową białą koszulę. Wiedziała, że jego zdjęcie będzie dzisiaj we wszystkich popołudniówkach, a jutro w każdej porannej gazecie, i chciała, żeby wyglądał jak najlepiej.

Dziadek nie mógł znieść oczekiwania w domu na werdykt, a nie chciał iść do Czterech Sądów, gdzie kręcili się ci wszyscy reporterzy i fotografowie. zaproponował, żeby Jessie, czy też pani Brown, jak wciąż się do niej zwracał, pojechała z nim na przejażdżkę na wieś. Jessie zgodziła się natychmiast. Cieszyła się, że zazna jakiejś rozrywki i pomimo swoich problemów z dziadkiem wiedziała, że będzie on stanowił kojące towarzystwo.

Tata poszedł najpierw do biura pana Conolly'ego. Nick już tam był, a obaj siedzieli z głowami zanurzonymi w książkach prawniczych. Pan Conolly powitał tatę i powiedział mu, jaki mają plan działań.

- Zamierzamy dowieść, że chociaż oboje rodzice mają absolutne prawo wychowywać swoją rodzinę, twoja żona zrzekła się tego prawa, porzucając dzieci.

- A co z tym fragmentem, który mój ojciec i ja znaleźliśmy o prawach dziecka? Powinniście to wykorzystać.

Tata i dziadek byli bardzo podnieceni swoim znaleziskiem i pewni, że to istotne dla sprawy. Pan Conolly zdawał się za szybko porzucić ten pomysł. Upierał się, że sedno sprawy polega na ustaleniu prawa samotnego rodzica do objęcia opieki nad dziećmi, bez względu na to, czy jego małżonek żyje, czy nie. Niemniej jednak, powiedział, jeśli sprawy potoczą się źle, skorzysta z taty znaleziska.

Słowa Nicka były trochę bardziej zachęcające. - Przez cały ten proces nikomu nie przyszły do głowy prawa dzieci jako obywateli. Argument, że dziecko ma prawa obywatelskie, może być naszą kartą atutową.

Pan Conolly zdawał się to rozważać. Otworzył egzemplarz irlandzkiej konstytucji i sprawdził ją, porównując notkę taty z dokładnym sformułowaniem artykułu 42.

Mówił on, że kiedy Państwo stara się zastąpić rodziców, musi zawsze wziąć pod uwagę „naturalne i nieulegające przedawnieniu prawa dziecka”.

- Czas iść do sądu - tylko tyle powiedział.

Wsiadli do samochodu Humber Hawk pana Conolly'ego i pojechali na północ. Kiedy zbliżali się do Czterech Sądów, zobaczyli zbierający się tłum. Był nawet jeszcze większy niż poprzedniego dnia, a tata zauważył podniecenie pana Conolly'ego.

- Wilki krążą - powiedział adwokat. - Desmondzie, proszę, postaraj się nie wyglądać jak ich kolacja. Chodźcie, uśmiechy dla prasy. Do boju, chłopcy!

Kiedy szli Inns Quay w stronę Czterech Sądów, tata zobaczył wymierzoną w siebie kamerę filmową, a kiedy zbliżali się do sądu, zauważył słowa „Pathe News” na boku ciężarówki zaparkowanej przy krawężniku. Starał się schować za panem Conollym i Nickiem, ale pan Conolly powiedział mu, że ma zostać między nimi.

- Trzymaj głowę do góry, Desmondzie - polecił. - Nie masz się czego wstydzić. Więc dlaczego się chować? Uśmiechaj się tylko, rozmowy zostaw mnie.

Kiedy podeszli bliżej kamery, reporter zapytał pana Conollyego, czy może zamienić kilka słów z tatą. Pan Conolly odparł, że tata nie ma nic do powiedzenia, ale że będzie szczęśliwy, mogąc udzielić wywiadu później, kiedy już wygrają sprawę.

- Jest pan pewien wygranej? - zapytał reporter.

- Oczywiście, drogi chłopcze - powiedział pan Conolly. - Irlandia to wolny kraj, nie jakaś stalinowska dyktatura. A teraz proszę mi wybaczyć. - Pan Conolly dotknął czubkami palców swojego kapelusza filcowego; ukłonił się lekko i poprowadził tatę przez tłum.

Tego wieczoru nagłówek w jednej z gazet przekreślił słowa adwokata: WOLNE PAŃSTWO IRLANDZKIE PORÓWNANE DO STALINOWSKIEJ DYKTATURY.

W holu Czterech Sądów ludzie pozdrawiali tatę, kiedy szedł do Chancery Court. Pan Beatty stał w drzwiach. Uścisnął tacie rękę i życzył mu powodzenia.

- Nie mogę być dzisiaj z tobą, Desmondzie. Biedna Maloney mnie potrzebuje. Tym razem, mam nadzieję, może ją wsadzą przynajmniej na rok.

Tacie wydało się dziwne, że obrońca ma nadzieję, iż jego klient trafi za kratki, ale prawnicy, jak się zdołał zorientować, byli ludźmi innego gatunku, i im więcej miał z nimi styczności, tym dziwniejsze sprawiali na nim wrażenie.

Kiedy w sali sądowej zapadała cisza i wchodzili sędziowie, tata starał się rozszyfrować wyraz ich twarzy. Te jednak były pozbawione jakiegokolwiek wyrazu.

Przewodniczący Sądu Maguire podsumował argumenty poprzedniego dnia, potem zapytał adwokatów, czy są gotowi kontynuować.

- Dzisiaj musimy zakończyć postępowanie - przypomniał im.

Pan Conolly odpowiedział, że jest bardziej niż gotów, a pan Kenny skinął głową. Sędzia przewodniczący poprosił pana Kenny'ego, by zaczął.

Adwokat ministra wyjaśnił, że w artykule 42 konstytucja ustanawia Państwo „strażnikiem dobra publicznego”, z uprawnieniami do użycia wszelkich „stosownych środków”, które są konieczne, by zastąpić rodziców w wypadku niepowodzenia rodzicielstwa.

Pan Conolly podniósł kwestię tego, kto decyduje o tym, jakie środki są „stosowne” w tej sprawie. - I jak - zapytał - służy „dobru publicznemu” odebranie ojcu jego dzieci?

Pan Kenny mówił dalej. - Jeśli ta sprawa zostanie rozstrzygnięta na korzyść pana Doyle'a, jej konsekwencje będą dalekosiężne. Zwolnienie przez ten Sąd dziecka pana Doyle'a dostarczy, w dalszej kolejności, uzasadnienia innym rodzicom do odebrania Państwu opieki nad dziećmi, które są albo młodocianymi przestępcami, albo nie w pełni władz umysłowych. Taka sytuacja na pewno nie byłaby w interesie dobra publicznego i pozostawałaby w sprzeczności z intencją legislatorów, którzy tworzyli konstytucję.

Usiadł, patrząc na pana Conolly'ego wzrokiem, który mówił: „I co ty na to?”.

Zbliżała się już pora lunchu. Nick szepnął panu Conolly'emu, że to może być dobry moment, by wprowadzić wątek konstytucyjnych praw dziecka.

- Wysoki Sądzie - powiedział pan Conolly, wstając ze swego miejsca. - Dziecko, o którym mowa, Evelyn Doyle, ma prawa obywatelskie, zgodnie z artykułem 42 Konstytucji Irlandii. Ten artykuł wyraźnie stanowi, że dziecko ma „naturalne i niezbywalne prawa”. Wnoszę, że żadne środki nie są odpowiednie, jeśli pozostają w sprzeczności z tymi prawami.

Na galerii publicznej rozległ się pomruk, wśród adwokatów ministra szeptu. Pan Conolly wziął spory łyk wody, starając się wydawać obojętnym na oczywiste zdumienie pana Kenny'ego. Najwyraźniej nikt się nie spodziewał, że zostanie podniesiona kwestia praw dziecka.

Pan Conolly mówił dalej. Opierając się na postanowieniach artykułu 42, ustęp 5, twierdził, że „dziecko ma prawo wrócić do jednego lub obojga rodziców i nie można mu zabraniać korzystania z tego prawa”.

Sąd przerwał rozprawę na czas lunchu. Pan Conolly powiedział tacie, że czuje, iż sprawa przybrała korzystny dla nich obrót.

- Będą chcieli rozważyć tę ostatnią informację - stwierdził, najwyraźniej przewidując popołudniowe posiedzenie. Tata zapytał, czy istnieje możliwość, że tego dnia przywiezie mnie do domu.

Pan Conolly był ostrożny. - To zależy, co Kenny zrobi z kwestią konstytucyjnych praw Evelyn - odparł.

Kiedy wychodzili z sali sądowej, woźny wręczył panu Conolly'emu notatkę.

- Pan Kenny chce się ze mną spotkać w pokoju adwokatów - powiedział, spojrzawszy na kawałek papieru. - Nick, weź Desmonda na jakiś posiłek, a mi zamów to, co zwykle. Zaraz do was dołączę.

Pół godziny później pan Conolly wszedł do pubu. Poprosił o swoje danie, które trzymano w cieple w kuchni, i zabrał się za nie z zapałem.

- Muszę zjeść. Potem wyjawię wam, co powiedział Kenny.

Kiedy w końcu był gotów mówić, rzekł: - Nie chcę, żeby

sprawa posuwała się dalej ani trochę. Kenny zaproponował, że jeszcze dzisiaj uwolnią Evelyn, jeśli się zgodzimy nie poruszać kwestii konstytucyjnych praw dziecka. Nie mieli czasu przestudiować tej części konstytucji i zbiliśmy ich z nóg, wprowadzając ją.

Tata był uradowany i wyciągnął rękę, żeby wymienić uścisk z panem Conollym. Ale pan Conolly nie podał mu swojej.

- Nie powiedziałem, że przyjąłem te warunki, Desmondzie. Prawdę mówiąc, odrzuciłem je. Wybacz, ale musimy doprowadzić tę sprawę do końca.

Tata był wściekły i chciał wiedzieć, dlaczego pan Conolly nie zapytał go o zdanie.

- Mam tyle inteligencji, by podejmować decyzje dotyczące mojej rodziny.

Pan Conolly powiedział, że rozumie wściekłość taty. - Ale - dodał - i tym razem nie było mowy o chłopcach. Decyzję musiałem podjąć natychmiast, a długoterminowe skutki trzeba było porównać z natychmiastowymi korzyściami. Pamiętaj, Desmondzie, ta sprawa nie dotyczy już tylko ciebie.

Tata nadal był wściekły, ale zaczynał się uspokajać. Nie chciał już warunkowego zwolnienia, jak wtedy, kiedy mu je po raz pierwszy zaproponowano. Zapytał, co się może wydarzyć po południu.

- Wszystko zależy od sędziów - odparł pan Conolly.

Tata miał nadzieję na bardziej obiecującą odpowiedź, ale wiedział, że może tylko czekać.

Kiedy pan Kenny otworzył posiedzenie po przerwie, w sali rozpraw panowało napięcie. Pan Kenny stał przed Sądem, nic nie mówiąc przez kilka sekund, co tylko pogorszyło stan nerwów taty.

- Chciałbym raz jeszcze przypomnieć Wysokiemu Sądowi - powiedział w końcu - o konsekwencjach unieważnienia paragrafu 10 Ustawy o Dzieciach...

Długa pauza.

- .. .poza tym nie mam nic do dodania.

Uklonił się w stronę ławy i usiadł.

Pan Conolly wstał.

- Oboje rodzice w porozumieniu mają absolutne prawo decydować o wychowywaniu swoich dzieci. W tym jednak wypadku wchodzi w grę tylko jedno z rodziców, a jego pozycja nie jest słabsza, niż gdyby razem złożyli prośbę o zwolnienie córki. Ta sprawa nie traktuje o konflikcie między rodzicami, tu matka porzuciła rodzinę. Przypominam także Wysokiemu Sądowi, że prawa dziecka są gwarantowane konstytucją. Wnoszę, że Ustawa o Dzieciach jest niezgodna z konstytucją, ponieważ odmawia ojcu, *inter alia*, prawa do kierowania edukacją dziecka.

Pan Conolly uklonił się Sądowi i usiadł.

Tata poczuł się nieco odprężony. Argument jego adwokata brzmiał nieodparcie i tata pozwolił sobie pomyśleć, że tylko godzina lub dwie dzielą go od zabrania mnie do domu.

Głos zabrał Przewodniczący Sądu. Omówił najistotniejsze punkty sprawy i argumenty, wytoczone w ostatnich dniach zarówno przez adwokata ministra, jak i taty. Pochwalił obie strony za dżentelmeńskie prowadzenie. Tata chciał, żeby przeszedł już do sedna; niemal czuł, jak krzyczy: „No dalej!”.

- Niemniej jednak... - kontynuował Przewodniczący.

Pan Conolly jęknął na dźwięk „niemniej jednak”. Powiedział kiedyś tacie, że można zgadnąć, na którą stronę przechyli się szala, licząc słyszane „niemniej jednak”.

Sędzia patrzył na niego z ławy, a pan Conolly pochylił głowę, przeproszając za zakłócenie.

Nie spuszczając wzroku z pana Conolly'ego, sędzia kontynuował:

- Niemniej jednak kwestia konstytucji należy do tych, które wymagają starannego przemyślenia. Musimy spróbować zdecydować o intencjach autorów konstytucji i czy sprawa, z którą mamy do czynienia, stanowi czy też nie *casus omissus*. Musimy także wziąć pod uwagę prawa dziecka i ustalić, jakie są jej życzenia odnośnie do tej sytuacji.

Przemawiał przez niemal czterdzieści minut. Pan Conolly patrzył na zegarek i kręcił głową.

W tym tempie - szepnął - nie dostaniesz dzisiaj Evelyn.

Przewodniczący ustalił datę wydania wyroku na grudzień i dodał: - Proszę przyprowadzić dziecko przed sędziów do pokoju we wtorek dwudziestego grudnia 1955 roku.

Do ministra wystosowano nakaz zwolnienia „dziecka Evelyn Doyle”.

Tym poleceniem sąd zamknął rozprawę. Tata był gorzko rozczarowany. Miał nadzieję, że sprawa zakończy się tego dnia. Pan Conolly spotkał się na zewnątrz z prasą. Po raz kolejny wyraził wiarę w zwycięstwo, ale

powiedział, że naturalnie rozczarował go fakt, iż sprawa będzie się ciągnąć przez kolejne dwa miesiące.

Dziadek i Jessie nie musieli czekać na tatę, aż wróci do domu, żeby wysłuchać wiadomości; w radiu był to główny temat. Przeprowadzono wywiad z burmistrzem, Denisem Larkinem. Powiedział, że na miejscu pana Doyle'a byłby rozczarowany, że nie wydano orzeczenia, ale dodał, że on zawsze ufa w sprawiedliwość i miłosierdzie sądu. Jessie była zdruzgotana. Zapytała dziadka, czy ta sprawa w ogóle się kiedyś skończy, a dziadek odpowiedział, że wszystko kiedyś się kończy, w taki czy inny sposób. Zacytował Clive'a Staplesa Lewisa: Przyszłość to coś, „co każdy osiąga z szybkością sześćdziesięciu minut na godzinę, niezależnie od tego, czym się zajmuje i kim jest”⁵.

Kiedy tata przybył do domu, Jessie i dziadka zdumiało jego nastawienie; spodziewali się, że będzie skrajnie zrozpaczony. Ale on powiedział im, że kiedy sąd zakończył rozprawę, pan Conolly poradził mu, by złożył podanie o dom z Korporacji.

- TJ czuje pewność, że dzieci będą w domu na Boże Narodzenie - stwierdził. Wyjaśnił im nakaz zwolnienia.

- Jak mówi TJ, to, że sędziowie chcą widzieć Evelyn, to dobry znak.

Powiedział, że jutro pójdzie do Departamentu Spraw Mieszkaniowych i poprosił Jessie, żeby udała się tam z nim.

Następnego dnia tata i Jessie wybrali się do Departamentu Spraw Mieszkaniowych, znajdującego się niedaleko domu dziadka. Na Gardiner Street był duży ruch i kiedy tamtędy szli, tatę kilka razy zatrzymywali obcy ludzie, którzy rozpoznali go ze zdjęć w gazetach. Wszyscy chcieli uścisnąć mu rękę i życzyć powodzenia. Jessie żartowała sobie z niego i powiedziała, że musi się czuć jak gwiazda filmowa.

- Chciałbym mieć tyle pieniędzy, co gwiazda filmowa - odparł tata. - Wtedy nie musiałbym się przejmować, że jestem wszędzie rozpoznawany.

Przy całym tym zainteresowaniu Jessie cieszyła się, że ubrała się starannie i użyła pudru i szminki. Wiedziała, że stanowią przystojną parę. Kiedy przechadzali się Mountjoy Square, zagadały do nich dwie kobiety. Powiedziały tacie, jak jest im przykro, że musi borykać się z tymi wszystkimi kłopotami.

-Cóż, to wszystko już za nami - zauważyła Jessie. - Teraz musimy patrzeć w przyszłość.

Starsza z kobiet rzuciła jej ostre spojrzenie. Zwróciła uwagę na jej angielski akcent. Przeżegnała się i zapytała: - Pani jest tą protestancką gospodynią? Jessie nie odpowiedziała. Słowo „gospodyni” zabrzmiało w ustach tej kobiety jak „prostytutka”. Jessie zrobiło się niedobrze; zastanawiała się, jak ma przeżyć w tym kraju, z całą tą goryczą i uprzedzeniami. Próbowwała szturchnąć tatę, żeby poszli, ale on także wychwycił obraźliwy ton i nie zamierzał tego odpuścić starej krowie.

- Pilnuj swoich spraw, ty stara dziwko! - krzyknął.

Jessie była trochę zaskoczona, ale wiedziała, że przez tatę przemawia napięcie całego minionego roku.

- Daj spokój - powiedziała - idźmy już. Nie obchodzi mnie to.

Ale tata chciał wyrzucić z siebie wszystko, co mu leżało na sercu.

- Nie sądzę, żebyś ty zostawiła swój dom i kraj, że by doglądać cudzych dzieci - wysyczał do kobiety. - Nie, zdecydowanie nie.

Kobiety się przeżegnały i odeszły pospiesznie, raczej zszokowane. Tata powiedział Jessie, żeby się nimi nie przejmowała.

- To tylko pieprzone, ciemne wieśniaczki.

Wziął ją za rękę i szli dalej Gardiner Street. Było tuż po dziesiątej, kiedy dotarli do biur Korporacji, która mieściła się na stosownie nazwanej ulicy - Corporation Street. Poczekalnia była zapchana nędznie ubranymi kobietami i krzyczącymi, zasmarkanymi dziećmi, zupełnie jak wtedy, gdy tata przyszedł tu po raz pierwszy. Przytknął do twarzy chusteczkę w daremnej próbie stłumienia nieświeżego odoru. On i Jessie zajęli miejsce na końcu ostatniej ławki, przesuając się o milimetry, kiedy kobiety w kolejce powoli były obsługiwane.

Nagle tata usłyszał swoje nazwisko.

- To on! To ten pan Doyle we własnej osobie!

Krzyczała kobieta, która ciągnęła za sobą pół tuzina dzieci. Wszyscy w pomieszczeniu odwrócili głowy i spojrzeli na tatę i Jessie. Gwar podekscytowanych rozmów przeszedł przez pokój. Tata nie miał wyjścia, mógł tylko

siedzieć, kiedy te wszystkie kobiety i dzieci gapiły się na niego. W drzwiach na końcu pomieszczenia pojawił się urzędnik i podszedł do taty.

Nachyliwszy się, wyszeptał: - Czy pan jest TYM panem Doyle'em?

- No cóż - odpowiedział tata - to zależy, którego Doyle'a ma pan na myśli.

Urzędnik wyjaśnił, że chodzi mu o tego Desmonda Doyle'a, o którym piszą we wszystkich gazetach.

Tata przyznał, że jest tym właśnie Doyle'em. Zgromadzeni w poczekalni nadal nie odrywali od niego wzroku.

- Proszę za mną, panie Doyle - rzekł urzędnik. - I pani także, miss.

Poprowadził tatę i Jessie do małego pokoju i poprosił ich, by usiedli. Potem wyszedł. Tata poczęstował Jessie papierosem i sam zapalił, kiedy ona odmówiła. Kilka minut później wszedł niski, pulchny mężczyzna. Miał na sobie czarny garnitur, złoty zegarek na łańcuszku, przyczepiony do kamizelki, i trzymał teczkę.

- Nazywam się O'Brien - przedstawił się. - Jestem kierownikiem działu kwaterunku. Bardzo mi miło poznać państwa. A teraz proszę spojrzeć.

Otworzył teczkę i tata zobaczył zielony formularz, który wypełnił tyle miesięcy temu. Pan O'Brien odczytał formularz, stukając przy tym piórem o biurko.

- Pańskie warunki nadal są takie, jak podał pan tutaj, panie Doyle?

Pokazał papier tacie, a on przejrzał go i potwierdził, że nic się nie zmieniło.

- Spodziewa się pan jednak wielkich zmian - powiedział pan O'Brien. - I to raczej szybciej niż później, jak sędzę.

Tata zastanawiał się, co, do cholery, ma na myśli ten stary głupiec.

- Co ma pan na myśli? - zapytał.

- No cóż, przyszło mi do głowy, że może będzie pan potrzebował większego domu, kiedy pańskie dzieci zostaną zwolnione z tych przeklętych szkół. Ja sam spędziłem w takiej dwanaście lat - dodał.

Pan O'Brien powiedział tacie z dumą, że ma pewną dozę swobody w podejmowaniu decyzji w sprawach takich jak ta i ze względu na nadzwyczajną sytuację taty będzie w stanie natychmiast zaproponować mu dom.

- Jeśli zechce pan wypełnić ten drobiazg, będziemy mogli sfinalizować pańską sprawę.

Wręczył tacie różowy formularz. To była oficjalna oferta „mieszkania”. Tata wypełnił blankiet, a pan O'Brien wyjął z kieszeni komplet kluczy. To były klucze do domu. Tata był przytłoczony wdzięcznością i potrząsał ręką mężczyzny. Pan O'Brien pożegnał się z nimi, a kiedy znaleźli się sami na ulicy, tata spojrzął na przywieszkę przymocowaną do kluczy i przeczytał, gdzie dom się znajduje.

- 62 Kildonan Drive, Finglas West.

Pospieszyli z powrotem do dziadka, przekazać mu dobre nowiny, i tata zaprosił go, żeby poszedł z nimi obejrzeć dom. Niespełna godzinę później tata wsuwał klucz w zamek niebieskich drzwi. Był zachwycony, kiedy się okazało, że pan O'Brien przekazał im całkiem nowy dom z trzema sypialniami i ogrodem od frontu i z tyłu budynku.

- I wiecie co - powiedział - nie musiałem nawet pisać do taoiseacha, żeby go dostać.

Tata i dziadek chodzili po domu, mierząc podłogi pod linoleum i licząc, ile będą potrzebowali farby. Od czasu do czasu pytali Jessie o jej zdanie na temat kolorów, po czym następował łagodny spór. Jessie wyobrażała sobie cuda jasnej, nowej łazienki i luksus solidnej kąpieli na osobności, i zachwycała się nowoczesną kuchnią, której drzwi otwierały się prosto na ogród.

Kiedy tata i Jessie przyszli mnie znowu odwiedzić, zabrali mnie, żebym obejrzała nowy dom. Był tam dziadek, który malował salon. Tata obiecał, że skoro jestem już dużą dziewczynką, będę miała tylko dla siebie małą sypialnię, i pozwoli mi wybrać kolor na ściany. Powiedział, że powinienam wybrać pomiędzy kremowym, bladokremowym albo złamaną bielą. Wybrałam jasnokremowy. Wydawało się niewiarygodne, że w końcu wszyscy mieliśmy być razem. Zapytałam tatę, czy wrócimy do domu na święta.

- Tak myślę, malutka - powiedział - ale nie możemy jeszcze dzielić skóry na niedźwiedziu.

Zaczął malować z dziadkiem, a mi polecił, żebym poszła pomóc Jessie. Była w łazience i polerowała ogromny, miedziany zbiornik na gorącą wodę. Chociaż powzięłam postanowienie, że będę z Jessie „żyć w zgodzie”, nadal unikałam, jak mogłam pozostawiania z nią sam na sam. Zamiast jej pomóc, przeszkadzałam tacie i dziadkowi, kiedy oni malowali. Martwili się, że będę miała farbę na ubraniu.

- Idź i zobacz, co robi twoja mama - powiedział tata.

Mimo że tata już wiele razy wcześniej mówił o Jessie

jako o mojej mamie, to teraz, w nowym domu, dźwięk tego słowa mnie zszokował. Przypomniał mi prawdę o przyszłości i zmiany, które się szykowały. Teraz rzeczywiście będę musiała mieszkać z nową mamą, i to wszystko wyglądało niedobrze. Gdzieś w mojej podświadomości ukształtował się niewielki lęk na myśl o przyszłości.

Tego dnia, kiedy tata odstawił mnie do klasztoru, wyznałam mu: - Nie chcę iść do tego domu z nią.

Tata powiedział, że na pewno nie wiem, co mówię. Czyż nie rozwiązaliśmy już problemu z nową mamą?

- Dlaczego zmieniałaś zdanie? - zapytał. - Czy ktoś ci coś powiedział? Na pewno jesteś zmęczona, malutka. Obiecuję, że wszystko będzie w porządku, kiedy chłopcy wrócą do domu i wszyscy zamieszkamy razem. Musisz się postarać polubić nową mamę.

Chciałabym, żeby przestał nazywać ją „moją mamą”. Wydawało się, że za każdym razem, kiedy tak mówił, rosła we mnie pewność, iż nigdy jej nie polubię. Powiedziałam o tym Siobhan, a ona odparła, że nie obchodziłoby jej, czy ma nową mamę, czy nie.

- Chciałabym tylko, żeby tata po mnie przyjechał - powiedziała. - Pomyśl, ile masz szczęścia.

Matka Paul stwierdziła, że nie zaśpiewam solówki na koncercie bożonarodzeniowym.

- Prawdopodobnie nie będzie cię z nami w tym roku, moja droga.

Byłam bardzo rozczarowana, bo ćwiczyłam przez ładne kilka tygodni. Miałam w żołądku pustkę, coś w nim trzepotało, i nie mogłam zrozumieć, o co w tym wszystkim chodziło.

Zapytałam matkę Bernadette, a ona powiedziała mi, że prawdopodobnie boję się wielkich zmian, które nastąpią, kiedy opuszczę klasztor.

- A mimo wszystko - dodała - wynik sprawy wciąż nie jest pewien. Nikt nie wie, co orzekną sędziowie. Muszą podjąć bardzo poważną decyzję. - Wyjaśniła, że chociaż sędziowie to bardzo mądry ludzie, wciąż potrzebują pomocy i przewodnictwa Pana Naszego, i że muszę się modlić, żeby podjęli właściwą decyzję.

Tata nie zabrał mnie już do nowego domu. Odwiedzał mnie na krótko w soboty i niedziele w drodze do Finglas. Nie martwiłam się, że nie oglądałam domu, bo nie musiałam widzieć Jessie. Kiedy poprzedniego dnia dostałam od babci paczkę z herbatą i zielonymi wstążkami, wspomniała ona w

liście, że moja prawdziwa mama pyta o mnie i modli się za mnie. Jej słowa doprowadziły mnie do płaczu. To był ostatni list, jaki dostałam od babci, chociaż nadal przychodziły od niej paczki.

Siostry przygotowywały klasztor na Boże Narodzenie. Oprócz matki Paul, która powiedziała, że nie będę śpiewać na koncercie, i matki Teresy, która nie dała mi nowej wełny na zrobienie zimowych mitenek, nikt mnie z niczego nie wyłączał. Wciąż brałam udział w jasełkach i robiłam paczki dla „czarnych dzieci” w Afryce razem z innymi dziewczynkami. Ale w zabawny sposób czułam się wykluczona, jakbym już opuściła klasztor. Siostry były dla mnie miłe jak zwykle, ale coś się zmieniło. Czasami myślałam, że zostaję w klasztorze i wcale nie idę do domu. Albo że wracam do mieszkania, a tam są wszystkie moje przyjaciółki. Mieszkanie w Fatima Mansions było znajome i bezpieczne, podczas gdy nowy dom wydawał się pusty i zimny. Starłam się nie myśleć o tym za bardzo, ale nie zawsze mi się udawało.

Kiedy matka Imelda widziała, jak rozmyślam, mówiła: - Wszystkie te zmarszczki zostaną na zawsze, moja droga, i nie będziesz już ładna.

Tata powiedział panu Conolly'emu i Nickowi, że martwi się o rozmowę z sędziami. Nie był pewien, co im powiem. Mimo że panu Conolly'emu mówiłam mile rzeczy o Jessie, teraz znowu twierdziłam, że jej nie lubię.

Pan Conolly postanowił, że jeszcze raz ze mną porozmawia. Ale w każdym razie, dodał, wciąż mieli nadzieję, że decyzja sędziów zostanie

oparta na tym, że Ustawa o Dzieciach okazała się niezgodna z konstytucją, a nie na tym, co ja mogę powiedzieć, cokolwiek to będzie.

- Prawdę mówiąc, Desmondzie, niewiele przełomowych decyzji wyszło z tego sądu. Ale gdybym był bukmacherem, dałbym ci szanse trzy do dwóch. *Nil desperandum*, jak mówi Horacy. Nie należy rozpaczać. Razem popracujemy nad naszym cukiereczkiem.

Kilka tygodni przed świętami tata zabrał mnie na spotkanie z panem Conollym. W drodze do jego biura zatrzymaliśmy się w centrum, ponieważ tata chciał kupić kilka prezentów. Zostawił samochód przy St Stephen's Green i poszliśmy na Grafton Street. Wszystkie sklepy były jasne i barwne od świątecznych dekoracji i kolorowych, wesołych świateł. Widziałam dwóch albo trzech Mikołajów, a tata wyjaśnił mi, że to byli „prawdziwi” pomocnicy świętego Mikołaja. Nie powiedziałam mu, że wiem, iż świętego Mikołaja tak naprawdę nie ma, że on jest dla moich małych braciśzków. Stary mężczyzna w łachmanach grał gigi i reele na wąskiej piszczałce, a ludzie wkładali pieniądze do stojącej przed nim puszką. Za każdym razem, kiedy ktoś rzucał mu monetę, staruszek przestawał grać i mówił „Niech Bóg cię błogosławi”. Kiedy zobaczył, że mu się przyglądam, uśmiechnął się i mrugnął do mnie okiem. Miał błyszczące, niebieskie oczy, a ja odwzajemniłam jego uśmiech.

Na ulicy były też Cyganki. Trzymały na plecach swoje dzieci zawinięte w szale. Kiedy poruszały się w tłumie, prosiły o kilka miedziaków dla dzieci. Większość ludzi je ignorowała. Wyglądały tak brudno, że chciałam, żeby ktoś dał im kilka pensów na mydło. Tata powiedział, że bym nie zwraca-

ła na nie uwagi. Stwierdził, że najpewniej one mają więcej pieniędzy od niego. Kiedy dotarliśmy do O'Connell Street, zobaczyliśmy orkiestrę grającą kolędy przed Clery's. Zrobiło mi się smutno," kiedy ich usłyszałam, i po raz pierwszy od wieków poczułam w piersi kamień. Tata zaprowadził mnie do Clery's. Myślałam, że idziemy do działu zabawek, ale zamiast tego skierowaliśmy się szerokimi, drewnianymi schodami do działu odzieży damskiej. Posadził mnie na krześle i powiedział, że mam na niego poczekać. Widziałam, jak rozmawiał ze śliczną sprzedawczynią. Pokazała mu kilka damskich płaszczy. Kiedy już obejrzał mnóstwo, wybrał beżowy z futrzanym kołnierzem. Wiedziałam, że to dla Jessie, i to wprawiło mnie w zły humor. Tata podszedł do mnie z płaszczem.

- Co o tym myślisz, Ebbs, malutka? Spodoba się twojej mamie?

- Jestem pewna, że jej się spodoba - odpowiedziałam - ale ja za nic w świecie nie włożyłabym tego na siebie.

Zdawałam sobie sprawę, że zraniłam taty uczucia i poczułam się źle, ale tylko odwróciłam wzrok od niego i płaszcza. Biedny tata. Nie wiedział, co robić. Miał nadzieję, że pan Conolly zdoła zmienić moje nastawienie.

Zeszliśmy na dół do działu męskiego i tata pozwolił mi wybrać prezent dla dziadka. Zdecydowałam się na pudełko chusteczek do nosa z monogramem D, ale tata wyjaśnił, że imię dziadka zaczyna się na H, więc je zamieniłam. Potem poprosiłam mężczyznę za kontuarem o skarpetki. Powiedziałam mu, że muszę mieć pewność, iż skarpetki będą wystarczająco długie, by owinać całą głowę dziadka i zapytałam, czy może je dla mnie rozciągnąć. Tata wybuchnął śmiechem, a mężczyzna też się roześmiał i pokrę-

cił głową. Nie wiedziałam, co w tym takiego śmiesznego. Czyż nie wszyscy dziadkowie miewali bóle głowy?

Wręczyłam mężczyźnie banknot dziesięcioszylingowy, który tata mi dał, żebym kupiła prezenty, a sprzedawca wydał mi szylinga i pensa reszty. Tata powiedział, żebym zatrzymała tę resztę i kupiła za nią słodycze dla koleżanek w klasztorze. Zabrał mnie jeszcze do Woolwortha, żeby zobaczyć baśniową stajenkę, a potem zjedliśmy obiad w restauracji. Na deser dostałam nową amerykańską słodycz o nazwie Nowojorska Wspaniałość. Składała się z warstw kolorowej galaretki, kremu, owoców i lodów. Na samej górze była wisienka. Tata patrzył z niedowierzaniem, jak zjadam wszystko do ostatniej łyżeczki. Spędziłam całe wieki, wybierając słodycze dla dziewcząt. Tymczasem niemal się spóźniliśmy do pana Conolly'ego. Pospieszyliśmy z powrotem do St Stephen's Green co sił, śmiejąc się po drodze. Tata udawał, że jest samochodem, i mówił „pibip”, kiedy ktoś wchodził nam w drogę. Gdy dotarliśmy do ruchliwej ulicy, wziął mnie na ręce i pobiegł na przelaj. Piszczalam, a wszyscy ludzie mijali nas z uśmiechem.

Pan Conolly czekał na nas w biurze.

Tym razem nie podał mi ręki, ale uściskał mnie i powiedział: - Ach, jest moja ulubiona, słodka, mała dziewczynka.

On i tata rozmawiali przez kilka minut o „sądzie” i o tym, jakie są nasze szanse.

Potem pan Conolly odwrócił się do mnie i rzekł: - No cóż, kochanie, może wszystko będzie zależało od ciebie. Pomożesz nam?

Wyjaśnił, że za kilka dni tata zabierze mnie do sądu, gdzie kilku miłych panów zada mi mnóstwo pytań. Żeby mi pomóc, powie mi, co mam mówić.

- Nie masz się czego bać, ponieważ twój tata usiądzie blisko i będziesz go widziała przez całą rozmowę z tymi panami. Rozumiesz?

Powiedziałam mu, że nie boję się niczego, jeśli będzie przy mnie tata.

- Dobrze. A teraz co tam z panią Brown?

Odparłam, że nie znam nikogo, kto się nazywa pani

Brown, a pan Conolly wyjaśnił, że to jest dama, która ma zostać moją nową mamą.

- Oczywiście - dodał - wszyscy wiemy, że to nie jest naprawdę twoja mama, ale musimy udawać, prawda?

Powiedziałam mu, że dopóki ona nie jest moją prawdziwą mamą, to wszystko w porządku.

- Evelyn - ciągnął pan Conolly - panowie, o których mówiłem, zapytają cię, z kim wolisz mieszkać, ze swoją prawdziwą mamą, która odeszła, czy z twoim tatą. Możesz mi zdradzić, co na to odpowiesz?

Pomyślałam o tym przez chwilę. Chciałam być z tatą i braćmi, ale to oznaczało mieszkanie również z moją udawaną mamą. Jeśli chodzi o moją prawdziwą mamę, nie wiedziałam nawet, gdzie jest, więc jak mogłam ją wybrać? Tata przyglądał mi się, a ja zdawałam sobie sprawę, że kiedy podejmę decyzję, nigdy nie będę mogła jej zmienić. Nie chciałam w ogóle nic

mówić. Zaczęłam płakać, a pan Conolly powiedział tacie, że może lepiej zostawić to dzisiaj. Czułam się żałośnie. Pomyślałam, że pozwalam tacie i panu Conolly'emu przegrać, ale byłam zmieszana i nieszczęśliwa.

- Nie martw się, malutka - pocieszał tata. - Wszystko będzie dobrze. - Potem powiedział panu Conolly'emu, że to jest zbyt straszne jak na barki dziecka. - Znajdź inną drogę do zwycięstwa.

W jego głosie słyhać było niepokój. Pan Conolly stwierdził, że omówi to z Nickiem.

W klasztorze matka Bernadette pomogła mi zapakować prezenty gwiazdkowe dla dziadka.

- Jesteś bardzo spokojna, dziecko - zauważyła. - Coś cię martwi?

Opisałam swoją wizytę w biurze pana Conolly'ego i powiedziałam, że muszę iść do sądu w następnym tygodniu, żeby porozmawiać z sędziami.

- Nie boję się tych ludzi - zapewniłam - ale nie wiem, co im odpowiedzieć o nowej mamie.

Matka Bernadette powiedziała, że wszyscy przez całe życie musimy o czymś decydować.

- I czasami - wyjaśniła - musimy podejmować decyzje wielkie i bardzo ważne, które mają wpływ na życie innych ludzi, a wtedy nie możemy myśleć tylko o sobie. - Zapewniła mnie, że jeśli poproszę Boga, on na pewno mi pomoże.

Tej nocy miałam koszmar. Jessie zawijała wszystkich moich braci w wielki, czarny płaszcz z czerwoną podszewką. Tata znowu był pod wodą w Liffey, a mama machała nam wszystkim na pożegnanie. Ja byłam sama z warczącym Rexem.

W dniu, w którym miałam iść na spotkanie z sędziami, przygotowała mnie matka Teresa. Uczesła mnie i zawiązała na głowie kokardę z nowej zielonej wstążki. Siedziałyśmy ponad godzinę w szwalni, a ona przymierzała mi jedną po drugiej kolejne sukienki. W końcu zdecydowała się na pierwszy strój, który przymierzała.

- Lepiej, żebyś poszła w szkolnym mundurku, moja droga.

Ubrała mnie w ciemnozielony bezrękawnik, żółtą koszulę i szmaragdowy krawat. Po raz pierwszy miałam na sobie mundurek dużej dziewczynki i drżałam. Dała mi parę otwartych, skórzanych butów, które były zapięte na pasek przez wierzch stopy i na guziki z boku. Były to najpiękniejsze buty, jakie w życiu widziałam. Kiedy skończyłyśmy ze wszystkim, zabrała mnie do gabinetu wielbnej matki.

- Usiądź, moje dziecko - powiedziała wielbna matka. - Musimy trochę porozmawiać, zanim przyjedzie po ciebie ojciec.

Po raz pierwszy zostałam sama na sam z wielbną matką i byłam zdenerwowana. Ona uśmiechnęła się do mnie.

- Jak ci się podobało życie tutaj z nami? To jest pytanie, które dzisiaj zostanie ci zadane, moja droga, i musisz mówić prawdę.

Zauważyłam, że znowu zapomniała mojego imienia.

- Chcę, żebyś wiedziała - kontynuowała - że cokolwiek powiesz, i bez względu na to, jaką decyzję sąd podejmie w środę, kochamy cię i nasze modlitwy zawsze są z tobą.

To było coś bardzo poważnego. Ja w modlitwach wielebnej matki!
Matko Przenajświętsza!

- Idziesz na spotkanie z sędziami, żeby mogli porozmawiać z tobą, zanim podejmą decyzję, czy odesłać cię z tatą do domu. Evelyn, moja droga, ty chcesz iść ze swoim tatą, prawda?

Kiedy nazwała mnie moim imieniem, poczułam w piersi ciepło; uśmiechnęłam się do niej. Klasztor stał się moim domem i czułam się tu bezpiecznie i pewnie. Nic złego mi się nie przydarzyło, odkąd tu zamieszkałam, oprócz zastanawiania się, czy diabeł przyjdzie do dormitorium, jeśli będę spała na brzuchu. Czułam się zmieszana. Straszliwie chciałam wrócić do taty i braci, ale dom w Finglas wydawał mi się obcy, i nie miałam pojęcia, jakie będzie nasze nowe życie. Zastanawiałam się, dlaczego to, co powiem sędziom, ma być takie ważne; normalnie dorosłych nie obchodziło, co dzieci myślą. Powiedziałam wielebnej matce, że czułam się w klasztorze bardzo szczęśliwa i że jeśli będę musiała odejść, będę tęsknić za wszystkimi swoimi przyjaciółkami i matkami. Ona odparła, że szybko znowu się przyzwyczaję do życia rodzinnego.

- Zawsze będziesz tu mile widziana, jeśli zechcesz nas odwiedzić - zapewniła. - Ale najpierw zobaczymy, co się wydarzy, dobrze? Potem porozmawiamy o przyszłości.

Do drzwi zapukała matka Bernadette i powiedziała, że tata czeka na mnie na dole. Wielebna matka pochyliła się i uściskała mnie. Wróciła do biurka i wyciągnęła coś z szuflady.

- To dla ciebie, dziecko. Dzięki temu staniesz się silna i będziesz wiedziała, że Nasza Pani zawsze jest przy tobie.

Włożyła mi do ręki białą, skórzaną sakiewkę i pobłogosławiła mnie. Na sakiewce złotymi literami były wypisane słowa Zdrowaś Mario, a w środku znajdował się najśliczniejszy różaniec, jaki w życiu widziałam. Miał złoty łańcuszek i krzyżyk, a paciorki wyglądały jak maleńkie perełki. Poczulałam w gardle wielką kluchę. Pomyślałam, że się rozplaczę. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką ktokolwiek dał mi w życiu, ładniejsza nawet niż Molly.

Kiedy jechaliśmy do centrum, tata wydawał się nerwowy. Przeklinał inne pojazdy i krzyczał przez okno na kierowcę autobusu: - Wygrałeś swoje prawo jazdy na loterii, cholera? Ty pieprzony głąbie!

Nawet mój różaniec nie ocali taty przed czyścem. Chciałam wiedzieć, dlaczego dzisiaj jest taki zły na wszystkich.

- Na mnie też się złościsz? - zapytałam.

- Nie, malutka, na ciebie nie. Bardzo się denerwuję, czekając na decyzję w naszej sprawie.

Powiedział, że mam się nim nie przejmować. Zapewnił też, że wkrótce znowu będzie taki, jak kiedyś. Przez całą drogę do miasta ruch był duży, a kiedy dodatkowo zaczął lać deszcz, musieliśmy zwolnić jeszcze bardziej, co nie poprawiło taty nastroju. Było mi żal biednych koni, które pochylały łby w obronie przed wiatrem i deszczem. Musiały ciągnąć wozy po ulicy na śliskiej nawierzchni i starały się schodzić z drogi autobusom i tramwajom. W końcu zaparkowaliśmy w pobliżu Czterech Sądów i pobiegliśmy przez deszcz. W wejściu chronili się ludzie, a tata przepchnął się między nimi i znalazł woźnego, który polecił, żebyśmy usiedli. Kiedy czekaliśmy, do taty podeszło kilka osób i rozmawiały z nim o „jego wytrwałej walce”. Jeden z nich powiedział, że nadszedł czas, kiedy ktoś miał odwagę „zabrać się za tych łajdaków”. Inny włożył mi do ręki sześciopensówkę i pobłogosławił mnie.

Woźny wrócił i powiedział, że mamy iść za nim. Poprowadził nas długim korytarzem. Minęliśmy kilku mężczyzn w czarnych togach, wciąż mieli na głowach peruki, które nosili na rozprawach. W końcu dotarliśmy do wielkich drzwi. Woźny zapukał i zaczekaliśmy, aż ktoś zawołał: - Wejść.

Pokój sędziów wydawał się ogromny i był tam najdłuższy stół, jaki w życiu widziałam. Próbowałam policzyć stojące przy nim krzesła, ale było ich za dużo. Trzej starzy mężczyźni w prążkowanych garniturach siedzieli na skórzanych krzesłach, pijąc herbatę z małych, biało-złotych filiżanek.

- Wysoki Sądzie - powiedział woźny - pan i panna Doyle.

Poczułam się bardzo duża, skoro ktoś nazwał mnie „panną Doyle”. Jeden z mężczyzn podszedł i zapytał, czy można mówić do mnie „Evelyn”.

- Tak będzie należycie, proszę pana - odpowiedziałam.

Potem polecił woźnemu, żeby zabrał tatę do herbaciarni. Tata powiedział, że chce zostać.

- Evelyn może być trochę przestraszona, jeśli zostanie sama.

Mężczyzna stwierdził, że będę się czuła doskonale. A zwracając się do mnie, zapytał: - Prawda, moja droga?

Podobał mi się ten starzec. Przypominał mi świętego Mikołaja w jednej z książek z bajkami, chociaż jego biała broda była krótsza i miał skrzyjące się oczy, które wydawały się same uśmiechać. Powiedziałam tacie, że nic mi nie będzie i że ma się o mnie nie martwić. Kiedy tata wyszedł z pokoju, starzec z brodą wziął mnie za rękę i zaprowadził tam, gdzie siedzieli pozostali. Wskazał, żebym spoczęła na małym, skórzanym stołku.

Pozostali dwaj panowie przywitali mnie: - Witaj.

Zapewnili, że nie ma się czym martwić, oni chcą tylko trochę ze mną pogawędzić. Mężczyzna z ciemnymi włosami podał mi szklanekę lemoniady. Poprosili, żebym im o sobie opowiedziała. Trzeci mężczyzna zaczął pisać w wielkim żółtym notatniku, a pan, który przypominał świętego Mikołaja, patrzył na mnie i zadawał pytania o klasztor. Powiedziałam mu, że lubię karmić świnię, ale nie lubię krów. Zapewniłam też, że sama obciąłam sobie włosy i że nigdy nie miałam grzybicy.

- Tata byłby wściekły, gdybym w ogóle nie miała włosów - dodałam.

Roześmiali się na moje słowa, a ja cieszyłam się, że sprawiłam im radość. Mężczyzna, który pisał, poprosił, żebym im opowiedziała o „pani”, która ma się nami zajmować, jeśli będę mieszkać z tatą.

- Ma pan na myśli nową mamę? - upewniłam się.

Skinął głową i spytał: - Jaka ona jest?

Nie byłam pewna, co oni chcą usłyszeć. Pamiętałam, że wielebna matka powiedziała mi, żebym mówiła prawdę.

- No cóż - zaczęłam - ona jest Angielką i doprowadza tatę do śmiechu, a moja prawdziwa mama nigdy tego nie robiła. Moja prawdziwa mama już nigdy nie wróci, wiedzą panowie. Pan Conolly pytał mnie, czy chciałabym z nią mieszkać, ale ja nie wiem, gdzie ona jest. Tata jednak mówi, że ona przebywa w miejscu, które się nazywa jebana Szkocja.

Mężczyzna, który pisał, odwrócił się do mnie plecami, a pozostali dwaj panowie zaczęli kaszleć w chusteczki, aż ich twarze zrobiły się czerwone. Kiedy znowu na mnie spojrzeli, ich oczy były załzawione i ocierali je chusteczkami.

- Chciałabyś pójść do domu i mieszkać z tatą i braćmi? - zapytał pan o ciemnych włosach.

Powiedziałam mu, że najbardziej na świecie chciałabym mieszkać z tatą i braćmi. Ale stwierdziłam, że nie sądzę, iż będzie tak samo, ponieważ mama już do nas nie wróci.

- Chcesz mieszkać ze swoją nową mamą?

Nie myślałam, że potrzebuję nowej mamy, ale wiedziałam, że jeśli to powiem, pozwolę tacie i panu Conolly'emu przegrać. Wcisnęłam dłonie między kolana i skuliłam ramiona, próbując wymyślić, co odpowiedzieć. Mężczyzna, który wyglądał jak święty Mikołaj, zapewnił, że mam czas. Wyjaśnił, że powinnam im powiedzieć, czego naprawdę chcę.

- Zapomnij wszystko, co inni ci mówili, moja droga. Powiedz nam po prostu, co ty czujesz.

Namyśliłam się.

- Chcę, żeby moja prawdziwa mama wróciła do domu, ale wiem, że ona nie może. Więc domyślałam się, że muszę mieć nową mamę. To uszczęśliwi tatę, a chłopcy nie będą musieli pójść do Braci Szkolnych.

Matka Bernadette stwierdziła, że czasami trzeba pomyśleć o innych, „jak mówi Pan”, a nie tylko o sobie. Mężczyzna zapytał mnie, czy jestem pewna, że tego właśnie chcę. Powiedział, że mogę zmienić zdanie.

- Nie - odparłam. - Chcę iść do domu z tatą i jestem pewna, że moi bracia też tego pragną.

Kiedy mężczyźni skończyli zadawać pytania, woźny zabrał mnie tam, gdzie czekał tata. Tatuś zapytał mnie, co się działo w pokoju, a ja powiedziałam mu, że nie pamiętam wszystkiego, co mówiłam.

- Ale na pewno powiedziałam im, że chcę wrócić z tobą do domu.

Odparł, że jestem dobrą dziewczynką i że mama się ucieszy. Poszliśmy z powrotem do domu dziadka, a Jessie zrobiła herbatę. Tata przez cały posiłek starał się nakłonić mnie, żebym porozmawiała z Jessie.

- Powiedz swojej mamie o przyjaciółkach w klasztorze - poprosił. A potem: - Powiedz swojej mamie, jak poszliśmy do Phoenix Park i niosłaś dla mnie aparat. Pamiętasz ten dzień? Byliśmy tylko ty, ja i Noel.

Pozwoliłam mu opowiadać historie, ale sama odzywałam się jak najmniej. Dziadek mówił niewiele więcej, a kiedy skończyliśmy herbatę, zapytał, czy pójdę z nim do sklepu po papierosy.

- I trochę ciasteczek Pontefract, gdybyś chciała.

Tata stwierdził, że powinnam pomóc mamie ze zmywaniem, ale dziadek odparł, że prawie nie ma co zmywać i że ona na pewno sama sobie poradzi.

Dziadek i ja poszliśmy ręką w rękę przez Innisfallen Paradę i dalej Dorset Street. Padało, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Dziadek miał swój kapelusz filcowy i podniósł kołnierz płaszcza aż po uszy. Ja naciągnęłam na głowę kaptur. Zapytał, czy chciałabym mu o czymś powiedzieć.

Ufałam dziadkowi równie mocno jak tacie. Był moim kumplem, odkąd pamiętam. Wyjawiałam mu, że nie chcę, żeby Jessie była moją mamą.

- Powiedziałam tym miłym panom w sądzie, że chcę wrócić do domu i mieszkać z tatą i chłopcami, ale...

Nie umiałam wyjaśnić, jak naprawdę się czułam, dziadek jednak był o krok przede mną.

- Ale nie masz pewności co do pani Brown? Chcesz, żeby twoja mama wróciła, tak żebyście wszyscy żyli szczęśliwie na zawsze, prawda?

Powiedziałam, że tego dokładnie chcę i nie rozumiem, dlaczego tak nie może być.

- No cóż, moje drogie, słodkie dziecko, jestem już starym człowiekiem i odkryłem, że prawda tkwi w słowach pewnego poety: „Tajemnica życia to nie czynić tak, jak się innym podoba, ale polubić to, co człowiek musi czynić”. Rozumiesz? Zrobiłaś dzisiaj to, co było konieczne, a teraz musisz żyć z tym, najlepiej jak potrafisz.

Wiedziałałam, co dziadek miał na myśli i przyszło mi do głowy, że dopóki mam tatę i braci, nie może być tak źle. Dziadek był bardzo stary i mądry, a ja wierzyłam we wszystko, co mi mówił. Kiedyś go spytałam, ile ma lat, a on odpowiedział, że sto cztery.

- Poza tym - zapewnił - ja będę o ciebie dbał. Chodźmy, kupimy lepiej trochę słodczy i odwieziemy cię do klasztoru, zanim siostry wyślą swoje sekcje poszukiwawcze.

Kiedy tata zostawił mnie w klasztorze tego wieczoru, powiedział: - Mam nadzieję, że ostatni raz mówimy sobie do widzenia na tych schodach, kochanie. Jutro może będziesz w domu na dobre, z mamą i ze mną.

Pocałował mnie na pożegnanie, a ja patrzyłam, jak odjeżdża. Matka Imelda zabrała mnie z progu, a ja trzymałam kurczowo jej rękę, kiedy szliśmy korytarzem, a wszyscy święci patrzyli na nas z góry. Nie rozumiałam, dlaczego czuję taki ogromny smutek i dlaczego nie umiem się cieszyć, że to moja ostatnia noc w klasztorze. Stałam przez chwilę w drzwiach dormitorium, patrzyłam, jak moje przyjaciółki biegają w koło w swoich długich koszulach nocnych, wykonując codzienne wieczorne czynności: opróżnianie misek, szczotkowanie włosów sobie nawzajem, śmianie się z sekretnych żartów. Nowej dziewczynce pomagała starsza, tak jak mnie kiedyś, a grupa trzech czy czterech dziewcząt siedziała na łóżku w dalekim kącie, ćwicząc role na bożonarodzeniowe jasełka. Czulałam się, jakbym już nie była częścią klasztoru, a dziewczęta zdawały się ledwie mnie zauważać, kiedy weszłam do dormitorium. Przygotowałam się do łóżka najszybciej i najciszej, jak umiałam, i schowałam się pod kocami, póki matka Imelda nie odmówiła pacierza i nie wyłączyła światła.

ROZDZIAŁ 8

TLR



Tata z dziećmi. Zdjęcie, które bardzo lubię

Tata wstał wcześnie następnego ranka i wyszedł z domu, nie budząc Jessie ani dziadka. Pojechał na Church Street i zaparkował samochód. Chciał być sam, żeby pomyśleć i zdecydował się pospacerować trochę. Gwar codziennego życia jeszcze się nie rozkręcił, ulice były ciche. Jedyne dźwięki, poza jego krokami, to dziwny wóz z mlekiem, ciągnięty przez wyścieńczone konie, gwizdy chłopców, dostarczających poranne gazety, i kroki koszarnie ubranych, grymaśnych staruch, człapiących do domu po sprzątnięciu biur i sklepów.

Kiedy tata dotarł do Czterech Sądów, zatrzymał się i stał, patrząc na gmach przez kilka minut. Na filarach portyku wciąż widać było blizny, powstałe podczas okupacji budynku przez siły antytraktatowe w czasie wojny domowej w 1922 roku. Teraz, pomyślał, dobiega tu końca jego własna walka, tak czy inaczej. Dzisiaj w końcu może odzyska swoją rodzinę. Przeszedł całą drogę przez Ormond Quay i przez O'Connell Street i dalej aż do Custom House, niegdysiejszej siedziby brytyjskiej administracji, zanim Irlandia wywalczyła sobie niepodległość. W 1921 ten budynek został niemal zupełnie zniszczony przez pożar, ale jeszcze go nie odbudowano. Tata znalazł małą, brudną kafejkę na Amiens Street, gdzie dokerzy wypijali swoją poranną herbatę i zjadali wielkie, gorące placki chleba, grubo posmarowane masłem. Zamówił kubek herbaty, znalazł ciemny kąt i starał się być niewidzialny. Wiedział, że nie pasuje do ludzi pracy w swoim garniturze i wypastowanych butach. Pił herbatę i zastanawiał się, jak będzie się czuł za kilka godzin, kiedy w końcu usłyszy decyzję sędziów.

Gdy wskazówki brudnego zegara wskazywały niemal dziesiątą, tata pomyślał, że lepiej skieruje się do Czterech Sądów. Już na rogu Upper Ormond Quay zobaczył zebrany na zewnątrz tłum dziennikarzy i fotoreporterów. Postawił kołnierz płaszcza najwyżej jak się dało i opuścił rondo kapełusza, starając się nie rzucać w oczy. Ku swojej uldze, przeszedł przez tłum nierozpoznany. Dziadek siedział samotnie na ławce w najdalszym kącie holu, paląc papierosa i czytając „Irish Independent”. Był w nim jakiś spokój, który tatę pokrzepił. Kiedy tata podszedł, zobaczył nagłówek na pierwszej stronie dziadkowej gazety: **DZISIAJ ORZECZENIE SĄDU NAJWYŻSZEGO W SPRAWIE O OPIEKĘ**. Tata usiadł obok niego i dziadek złożył gazetę.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział tata.

- Oczywiście, że przyszedłem. A po cóż są ojcowie? Jakkolwiek to się potoczy, a modłę się do Boga, żeby poszło po twojej myśli, synu, musisz mieć przy sobie rodzinę. A w tej chwili masz tylko mnie.

Dostrzegł ich pan Conolly i przyspieszył. Uścisnął rękę dziadkowi i tacie, potem powiedział im, że czas już iść.

- Nick powinien już tam być, a spodziewam się, że Michael też za nic w świecie tego nie opuści.

Dziadek zajął na sali sądowej miejsce na jednej z ławek dla prasy, a tata usiadł przy stole adwokata z przodu pomieszczenia. Nick i pan Beatty byli tam, przeglądając jakieś papiery.

Tata zapytał adwokatów, co myślą o szansach na wygraną.

- Wszystko zależy od tego, jak będą patrzeć na konstytucyjne prawa Evelyn i paragraf 10 Ustawy o Dzieciach - odparł pan Conolly. - Wkrótce się dowiemy.

Tata stwierdził, że kiedy sędziowie ze mną rozmawiali poprzedniego dnia, wyjaśniłam im, że chcę iść do domu, a on czuje pewność, że nie powiedziałam nic, co mogłoby zniechęcić ich do orzeczenia na naszą korzyść. Adwokaci ministra przybyli i skinęli głowami drużynie taty. Pan Conolly podszedł do ich stołu i uściskał rękę panu Kenny'emu i innym.

- Cóż, panowie - powiedział, a jego głos dudnił w sali sądowej - to była raczej uczciwa walka i może najlepszy zwycięży.

Woźny zawołał o ciszę i polecił, żeby wszyscy wstali. Gwar rozmów zamarł. Weszło pięciu sędziów. Tata miał serce w gardle, kiedy sędzia Kingsmill-Moore zaczął mówić. Odczytał paragraf 10 Ustawy o Dzieciach.

Potem powiedział: - Niezależnie od kwestii, czy ów paragraf jest niezgodny z konstytucją, ten sąd musi rozpoznać prawo dziecka Evelyn Doyle do wyboru, jak stanowi to artykuł 42, punkt 5 konstytucji.

Tata i jego adwokaci pochyłili głowy, nie śmiejąc spojrzeć na ławę. Pan Conolly ścisnął ołówek tak mocno, że przełamał go na pół. Słuchali, jak sędzia relacjonuje części rozmowy, przeprowadzonej ze mną poprzedniego dnia.

- Niemniej jednak, o ile mamy pewność, że dziecko jest inteligentne i elokwentne, ta ława doszła do wniosku, że na pragnienia wyrażone przez dziewczynkę wpłynęły inne osoby i niekoniecznie dokładnie oddają one jej

rzeczywiste życzenia. A zatem, chociaż niechętnie, nie możemy wziąć pod uwagę jej słów.

Kiedy sędzia Kingsmill-Moore skończył, zaczął sędzia przewodniczący. Przemawiał przez ponad godzinę o wielu aspektach sprawy. Mówił o chęci taty do „odzyskania kontroli” nad jego edukacją i kwestii, czy Państwo ma władzę ingerować w jego prawo. Pochwalił tatę za zdobycie stałego zatrudnienia i za uzyskanie domu odpowiedniego dla potrzeb jego rodziny. Wskazał powagę orzeczenia o nieważności jakiegokolwiek ustawy, jako że jej postanowienia z osobna mogą być zgodne z konstytucją.

Dochodziła już pora lunchu, a sędziowie nie wydawali się ani trochę bliżsi oznajmienia swej decyzji. To, czego tata wysłuchał do tej pory, nie brzmiało obiecująco, i w miarę upływu czasu czuł się coraz bardziej przygnębiony. Chciał, żeby wszystko się już skończyło, ale jednocześnie, jeśli sędziowie zamierzali orzec niekorzystnie dla niego, na pewno nie miał ochoty usłyszeć tego zbyt szybko. Potem dotarł o do niego, że Przewodniczący Sądu odroczył posiedzenie; na lunch i nakazał stronom, by zebrały się o drugiej trzydzieści. Woźny wezwał wszystkich, by wstali. Tata i jego drużyna pozostali, podczas gdy sąd opustoszał. Pan Conolly zapytał, czy ktoś chce iść na lunch. Nick i pan Bearty powiedzieli, że wyskoczą na szybką kanapkę.

-A ty jak, Desmondzie? - zapytał pan Beatty.

Tata stwierdził, że nie jest głodny i żeby poszli bez niego. Chciał zostać sam na chwilę.

Pan Conolly poklepał tatę po ramieniu, kiedy wstawał od stołu i powiedział: - Nadal nie jest jasne, jaką podejmą decyzję. Nie upadaj na duchu.

Tata wyczuł obecność dziadka obok siebie, jeszcze zanim go zobaczył. Dziadek usiadł. Tata trzymał głowę w dłoniach. Kiedy poczuł rękę dziadka na ramieniu, nie wytrzymał już i się rozplakał. Dobrze mu zrobiło, że pozwolił ujść napięciu. Dziadek przez chwilę nic nie mówił i chociaż było to całkowicie niezgodne z jego charakterem, objął tatę.

Sąd był już pusty, tylko oni zostali, a woźny czekał. Tata wydmuchał nos i otarł oczy.

- Jezu, tato, muszę się napić - rzekł.

Dziadek powiedział mu, żeby spryskał najpierw twarz zimną wodą, ale tata nalegał: - Chodź, po prostu chodź.

- Zakładasz, że przegrałeś - powiedział dziadek. - Fiat justitia et ruant coeli.

- Co to znaczy?

- To znaczy mniej więcej, że sprawiedliwości stanie się zadość, chociaż niebiosy upadną. Wiem, że dzisiaj sprawiedliwości stanie się zadość. Odwagi, synu.

Woźny wypuścił ich bocznymi drzwiami i powiedział, żeby zapukali, jak wrócą. Tata był wdzięczny za tę uprzejmość. Nie czuł się wtedy na siłach stawić czoło bezlitosnym pytaniom prasy. Dziadek kupił mu wielką brandy i przekonał, żeby zjadł kanapkę. Pan Conolly, Nick i pan Beatty

znaleźli ich i usiedli razem z nimi. Wszyscy byli w posepnym nastroju, ale pan Conolly powiedział, że bez względu na to, jaki okaże się wynik sprawy, wszyscy pójdą wieczorem na obiad do Gresham Hotel.

- I ja stawiam - dodał.

Tata powiedział mu, że nie sądzi, żeby był w odpowiednim nastroju do udzielania się towarzysko.

- Gdzie stąd idziemy? - zapytał.

- Prosto do High Park, mam nadzieję - odparł Niek.

Udali się w drogę powrotną do sądu. Kiedy woźny zawołał, żeby wszyscy wstali, wielkie pomieszczenie wypełniło szuranie nóg. Ludzie wykorzystali ostatnią minutę na odkaszlnięcia i chrząknięcia. Tata próbował coś wyczytać z twarzy sędziów, kiedy ci wchodzili na salę, ale nie zdołał.

Sędzia O'Dalaigh przemawiał krótko, zajmując się argumentem, przytoczonym przez adwokata ministra, że artykuł 42 nie odnosi się do sytuacji rozbitej rodziny.

„...opuszczenie przez matkę bez dokładnej przyczyny pozostawia nie-naruszoną władzę nad rodziną i w żaden sposób nie pomniejsza władzy rodzicielskiej w kwestii edukacji dzieci”.

Sędzia O'Dalaigh usiadł. Przewodniczący Sądu odchrząknął, przygotowując się do przemowy.

- Zdaniem tego sądu - zaczął - punkt 5 artykułu 42 nie umożliwia władzy ustawodawczej odebrania prawa rodzicowi, który jest w stanie sprawować kontrolę nad edukacją swego dziecka, tam gdzie nie ma nic naganego ze strony ani rodzica, ani dziecka.

Tata spojrział na pana Conolly'ego, ale ten nie dał żadnego znaku; słuchał uważnie Przewodniczącego Sądu.

- Sąd, w odpowiedzi na przedłożony mu wniosek o zdecydowanie w rzeczonyj sprawie, uznaje, że paragraf 10 Ustawy o Dzieciach jest nieważny jako niezgodny z konstytucją, ponieważ pozbawia rodzica, za którego zgodą dziecko zostało wysłane do szkoły industrialnej, prawa do odzyskania kontroli nad tym dzieckiem, a także zapewnienia mu edukacji, kiedy ten rodzic chce i jest w stanie to uczynić.

Galeria dla publiczności wybuchła wiewatami i okrzykami. Tata siedział przez chwilę osłupiały. Potem zapadł się na swoim miejscu, nie mogąc powstrzymać łez radości. Pan Conolly pompował jego rękę, a tata usłyszał głos swego adwokata: - Wygraliśmy! Wygraliśmy!

Po kilku minutach w sali sądowej przywrócono porządek. Tymczasem wyszli z niej niemal wszyscy ludzie z prasy i większość publiczności zebrała się na zewnątrz, w holu i na schodach, czekając, aż tata wyjdzie. On zaś ledwie słyszał resztę orzeczenia, tak bardzo się trząsł.

- Orzeka się również i zasądza, że wspomniane strony zwrócą rzeczoznemu Desmondowi Doyle'owi jego koszty sprawy...

Jedynymi ludźmi, pozostałymi na sali, by wysłuchać polecenia powstania, byli adwokaci ministra i drużyna taty, która cała ukloniła się sędziom, a ci wstali i zniknęli w małych, bocznych drzwiach obok końca ławy.

Kiedy tata wyszedł z sądu, zobaczył ogromny tłum, zalewający olbrzymi hol i schody. Poprosił pana Conolly'ego, by wyśliznęli się bocznymi drzwiami.

- Pozwól im mieć swego bohatera przez kilka minut, Desmondzie - powiedział pan Conolly. - Jak to określił ten człowiek, jesteś jak Dawid, który pokonał Goliata, a oni wspierali każdy twój krok. Wyjdź tam i pozwól im dzielić się swoim zwycięstwem. Oni tylko tego chcą.

Nick i pan Beatty stali za tatą, a pan Conolly popchnął go lekko na zewnątrz. Z tłumy dobył się wielki wiew i tacie wydawało się, że błysnęły setki fleszy. Mnóstwo mężczyzn poklepywało go po plecach, kiedy przedzierał się do głównego wejścia, a on nie wiedział, w którą stronę się skierować. W zamieszaniu nie widział nigdzie dziadka. Przed wejściem do Czterech Sądów zatrzymał się lśniący, czarny Rolls Royce, a z tylnego siedzenia wysiadł burmistrz, wyposażony w urzędowy łańcuch. Tłum rozstąpił się, kiedy Denis Larkin szedł ku tacie.

- Gratulacje, panie Doyle! - powiedział, uśmiechając się do aparatów. - Mój samochód jest do pańskiej dyspozycji. Możemy już jechać i odebrać pańską córkę?

Matka Bernadette miała łzy w oczach.

- Twój tata wygrał sprawę, kochanie, i idziesz dzisiaj do domu. Ale my będziemy za tobą tęsknić.

Poszła ze mną do dormitorium i pomogła mi spakować do małej, brązowej walizki kilka rzeczy osobistych. Pojawiła się matka Imelda. Nie starała się ukryć faktu, że płakała. Pociągała głośno nosem, kiedy udała się do swoich obowiązków w łazience. Sześć czy siedem moich najlepszych przyjaciółek przyszło i usiadło na łóżku Siobhan, obserwując w milczeniu moje przygotowania do wyjścia. Smutek zawisł nad pomieszczeniem i nagle dziewczęta zostały zbesztane przez matkę Bernadette za przebywanie w dormitorium w ciągu dnia. Z daleka usłyszałyśmy dzwonek do drzwi wejściowych, a Siobhan podbiegła do okna.

- To oni! - krzyknęła.

Matka Bernadette uściskała mnie mocno i zapewniła, że zawsze będzie o mnie pamiętać i modlić się. Matka Imelda powiedziała, że jest zbyt zajęta, by zejść ze mną na dół.

- Więc żegnam się z tobą tutaj. Bądź teraz dobrą dziewczynką. - Uściskała mnie i mrugnęła, mówiąc: - Powinnam poprosić, żebyś mnie nauczy-

ła, jak robić ten węzeł na sznurówkach. Do widzenia, kochanie. Będę za tobą tęsknić.

Wybiegłam z dormitorium i popędziłam w dół schodami, zostawiając za sobą na łóżku otwartą walizkę. Staralam się być szczęśliwa, że tata wygrał, ale te pożegnania sprawiły, że zrobiłam się bardzo smutna. Wielebna matka czekała u stóp schodów. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez hol do drzwi wejściowych.

- Te drzwi na zawsze pozostaną dla ciebie otwarte, dziecko. Będziemy bardzo za tobą tęsknić. Pamiętaj o nas w swoich modlitwach.

Uczyniła znak krzyża na moim czole i pocałowała mnie w policzek, zanim otworzyła drzwi. Na podjeździe było pełno samochodów. Tata wyskoczył z wielkiego, czarnego auta, a za nim podążył burmistrz. Pobiegnęłam do taty, a on podniósł mnie i zakręcił w kółko.

- Dzisiaj na dobre wracasz do domu, malutka. Jesteś szczęśliwa?

Odparłam, że tak, chociaż nie miałam pewności, czy jestem, czy nie. Ludzie z prasy zrobili mnóstwo zdjęć, a tata powiedział im, że jest uradowany wyrokiem. Denis Larkin oświadczył, że cały czas wiedział, iż tata wygra. Tata powiedział mi, że wszyscy jedziemy na przyjęcie do Gresham Hotel i że pan Conolly tam będzie z panem Beattym i Nickiem. Kiedy wsiedliśmy do wielkiego samochodu, zobaczyłam mnóstwo dziewcząt, stojących w drzwiach klasztoru, machających mi na pożegnanie, ale Siobhan nie było wśród nich. Matka Bernadette podeszła do samochodu z moją walizką, a za nią biegła mała Ann McCafferty, ściskając Molly.

- Zapomniałaś o niej - powiedziała, podając mi lalkę.

Odparłam, że nie, że nie zapomniałam.

- Ona tu mieszka - wyjaśniłam. - Ona nie chce stąd wyjeżdżać. Ale nie wkładaj jej głowy pod kran.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam Siobhan w oknie dormitorium. Pomachałam jej. Wiedziałam, że płacze, kiedy ona też mi pomachała, patrząc, jak odjeżdżam w przyszłość. To będzie szczęśliwa przyszłość, prawda? Gdy wsiadałam do wielkiego samochodu, ścisnęłam mocno swój różaniec i poprosiłam Matkę Boską, żeby poszła ze mną.



Ja w roku 1989 z siostrami zakonnymi. Tego dnia sprawiały wrażenie bardzo delikatnych i wrażliwych

Przypisy tłumaczki

¹* NSPCC - National Society for the Prevention of Cruelty to Children (Narodowe Towarzystwo Zapobiegania Przemocy wobec Dzieci).

²*cruelty man - inspektor Narodowego Towarzystwa Zapobiegania Przemocy wobec Dzieci.

³*W. Szekspir, Ryszard III, przeł. J. S. Sito, Warszawa 1971, s. 69.

⁴*Taoiseach - premier Irlandii.

⁵*C. S. Lewis, Listy starego diabła do młodego, przeł. S. Pietraszko, Warszawa 1993, s. 137.